odgłosy

TYGODNIK

ROK VIII

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY M. ŁODZI

NR 51—52 (361—362)
26—31. XII. 1965
20 stron
Cena 2 zł

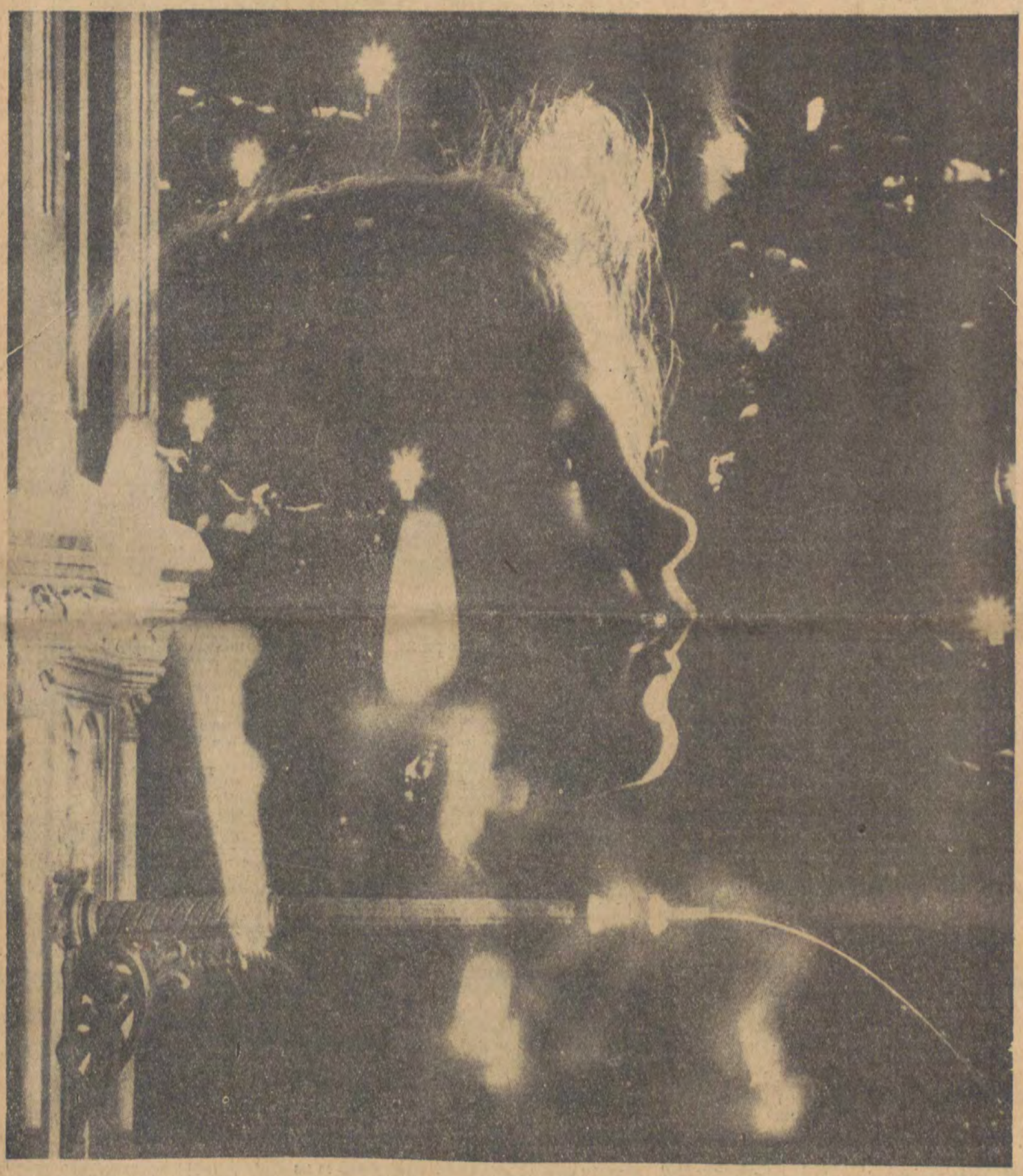

W numerze:

- *Łodzianin — istota nieznana, czyli spójrz w lustro statystyki*
- Jak to dawniej bywało w czas karnawału
- Safari w Polsce czyli Francuz oko w oko z żubrami
- ***Aiera choinkowa***
- **Niedyskrecje Dumasa i Sztaudyngera**
- Wspomnienia archeologa
- ***Jubiler, który był asem lotnictwa myśliwskiego***
- Przyjaciele mojej żony (lektura tylko dla dorosłych)
- ***Łodzianie roku 1965***
- Czy jesteś jajogłowy? czyli — z geniuszami nigdy nic nie wiadomo
- Janusz Roszko oprowadza po pracowni alchemika Ociepki
- **Labirynt filmowy**

  Hitchcock poucza czy opłaca się wynająć mordercę?

Nie wiem, gdzie zamierzasz spędzić Święta i Nowy Rok, Przyjacielu. Czy w domu, to jest, jak mawiano dawniej: na łonie rodziny, czy może skorzystasz z tak rozpowszechnionego obecnie spędzania świąt w domach wczasowych, czy też wyjedziesz z „Orbisem" za granicę, bo i taki wybór jest do zrealizowania. Ale gdziekolwiek się znajdziesz, jestem pewien, że w tym czasie dużo i często będziesz myślał o swoim mieście, o swoim kraju i o czasie minionym.

Mimo, iż miniony rok był tak Uroczysty, tak Jubileuszowy, Obrachunkowy i Podsumowujący, mimo iż od stycznia po grudzień myśleliśmy i dyskutowaliśmy o całym minionym 20-leciu — raz jeszcze podejmiemy próbę takiego bilansu.

Bo takie już jest prawo życia, że w chwilach odświętnych i wyjątkowych człowiek ogląda się wstecz, za siebie i dokonuje tzw. obrachunku. Tak postąpisz Ty, tak postąpię ja, tak postąpimy wszyscy.

Wiemy, cośmy przeżyli, ale nie wiemy, co przeżyjemy. W Nowy Rok 1966, który jest przed nami, patrzymy z nadzieją, mamy wielkie plany i marzenia, lecz nie od nas samych tylko zależy, co z tych naszych marzeń zostanie spełnione. Żyjemy w świecie, który nie skąpi nam wydarzeń. Nasi przodkowie mawiali nieraz: „Obyś żył w ciekawych czasach!" Żyjemy w czasach ciekawych i burzliwych. Jesteśmy świadkami wspaniałych osiągnięć cywilizacyjnych i technicznych. Patrzymy na osiągnięcia i zdobycze, które napawają nas dumą i radością. Ale zarazem nie możemy nie zauważyć, że w różnych miejscach tego „najpiękniejszego ze światów" gromadzą się chmury. W roku, który upływa, powstały nowe ogniska niepokoju, a jednym z najdotkliwszych i najokrutniejszych jest wojna w Wietnamie, gdzie od kul i bomb najeźdźcy giną kobiety i dzieci, starcy i młodzież. Fakt ten, choć nie dotyczy nas bezpośrednio, zamąca naszą radość. Wiem, że nie uwolnisz się od tej myśli, Przyjacielu. Że nie uwolni się od niej on, że nie uwolnię się ja i my wszyscy.

A przecież przełom roku starego i nowego to chwila osobliwa. Najistotniejszą treścią tej chwili jest nasza ufność w piękny i sprawiedliwy los świata. Wiara, że ludzkość, uzbrojona w mądrość i rozum, pokona zwycięsko przeszkody, utrudniające jej postęp ku lepszemu.

Okres świąt i wypoczynku przywołuje na pamięć sprawy wielkie, światowe. Ale przywołuje również nasze sprawy osobiste, nasze małe ludzkie szczęście. Gdziekolwiek jesteś, Przyjacielu, łączą się z Tobą nasze myśli i nasze życzenia. W epoce, która rozszerza granice świata i szturmuje bramy kosmosu, człowiek ustala i umacnia swoją pozycję. Albowiem człowiek jest największym dobrem tego świata. W twoje ręce, Przyjacielu, i w ręce wszystkich naszych przyjaciół — ten toast świąteczny i noworoczny!

ŚWIATA

Zgodzicie się z pewnością Czytelnicy, że niełatwo jest pisać o roku, który na międzynarodowej scenie przyniósł liczne, często złożone wydarzenia. Więcej nawet: pokuszenie się, choćby o próbę, jego zbilansowania wydaje się nawet niemożliwe. Z jednej bowiem strony odnotować możemy zjawisko, które w klasyfikacji; zbliżyliśmy się, czy też oddaliliśmy od niebezpieczeństwa wojny – określić trzeba jako dodatnie, pomyślne dla narodów, z drugiej – niekorzystne, wzmagające napięcie i groźbę konfliktu.

Uwidoczni się to wyraźniej, jeśli przypomnimy sobie, jakie to życzenia wypowiadaliśmy w noc sylwestrową 1964/65. Życzyliśmy sobie wówczas, aby umacniały się kraje obozu pokoju i socjalizmu, aby wszystkie narody były wolne, aby zakończyły się fiaskiem próby rozprzestrzeniania broni jądrowej i udziału w niej NRF, aby ustała imperialistyczna interwencja w Wietnamie i innych krajach świata...

Niestety, nie wszystkie życzenia spełniły się. I to nie z naszej winy.

Na utrzymującej się atmosferze napięcia i braku postępu w rozstrzyganiu doniosłych i pilnych problemów współczesnego świata zaciążyły przede wszystkim: interwencja amerykańska w Wietnamie i nie schodzące z porządku dnia próby ze strony USA zaspokojenia roszczeń nuklearnych Niemiec zachodnich.

Tak więc johnsonowska polityka niebezpiecznej „wspinaczki" w Wietnamie, „grubej pałki" w Ameryce Południowej i nuklearnego ryzyka w Europie uniemożliwiła kontynuowanie – w rozmiarach i ze skutkiem, którego oczekują narody – dialogu Wschód – Zachód.

I jeśli to było celem Stanów Zjednoczonych, a wiele faktów upoważnia do stwierdzenia, że właśnie to, wówczas mogą one przypisywać sobie „sukcesy". Lecz tylko takie.

* * *

Uważny obserwator, mimo często odmiennych pozorów, musi dojść do jednoznacznego wniosku: słabnięcia hegemonii amerykańskiej i w sensie politycznym, i ekonomicznym. Musi dostrzec pogłębiającą się ich izolację, coraz częstsze jedynie werbalne poparcie ze strony bliskich sojuszników czy też wręcz niepowodzenia.

Na szalę wietnamską Stany Zjednoczone rzuciły swój prestiż: chciały zademonstrować „stanowczość" w rozprawianiu się z ruchami narodowowyzwoleńczymi oraz siłę i skuteczność swojego oręża. Tymczasem ugrzęzły w potrójnym impasie: militarnym, politycznym i propagandowym.

W rozprawie dominikańskiej chciały udowodnić, że nie pobłażają żadnemu „odstępstwu" od określonego przez nie status quo a.. spotkały się z publiczną dyskusją i ostrą krytyką swej polityki.

W Europie podjęły kroki do wzmocnienia „atlantyckiego partnerstwa", tymczasem proces uniezależniania się jej osiągnął niebywałe rozmiary...

Czy wszystko to – cała amerykańska polityka, na użytek której zanektowano słowa: „odpowiedzialność za losy świata" – nie przypomina człowieka, który pięcioma palcami chce zatkać sześć przeciekających dziurek?

Z bezskuteczności tej polityki na dłuższą metę, z rosnącego w jej wyniku antyamerykanizmu w świecie zdają sobie sprawę co rozsądniejsi publicyści. Zdają sobie sprawę i ostrzegają. Tak, jak choćby Walter Lippmann.

„Przyszedł czas – czytamy w jednym z jego komentarzy – abyśmy przestali bić głową w ścianę, kierując się złudzeniem, że jesteśmy powołani, by być policjantem rodu ludzkiego...".

* * *

W obliczu agresywnej polityki USA i nawrotu do najgorszych, a nie odległych tradycji „balansowania na krawędzi wojny" – rozważna, pełna spokoju postawa Związku Radzieckiego i krajów demokracji ludowej spotkała się z dużym uznaniem i poparciem w wielu krajach świata.

Mijający rok przyniósł tej polityce kolejny sukces. Potwierdziły to obrady XX jubileuszowej sesji Zgromadzenia Ogólnego Narodów Zjednoczonych. Dwie radzieckie inicjatywy: o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej oraz nieingerencji w sprawy wewnętrzne innych państw – okazały się owocne. Pierwsza z nich, przyjęta ogromną większością przez Zgromadzenie Ogólne, może być uznana za ważniejszy krok w tej dziedzinie, druga – w dobie brutalnych ingerencji Stanów Zjednoczonych – podniosła ważny problem: międzynarodowych gwarancji dla krajów małych.

Inicjatywy te zogniskowały w sobie to, czemu przez cały rok służyła radziecka dyplomacja: odwróceniu narastających światowych niebezpieczeństw.

Temu też nadrzędnemu celowi podporządkowana była i nasza polska aktywność w stosunkach międzynarodowych.

Podjęliśmy w mijającym roku wiele kroków, zmierzających do wyjaśnienia stanowisk z krajami spoza socjalistycznej wspólnoty.

Wizyty przewodniczącego Rady Państwa w Finlandii, Zjednoczonej Republice Arabskiej i Etiopii, premiera Cyrankiewicza we Francji i Austrii, ministra Rapackiego w Iranie i Belgii, rozmowy w Warszawie z prezydentem Włoch i ministrami spraw zagranicznych W. Brytanii i Danii – to tylko niektóre z bezpośrednich kontaktów. Odnotowywane były one przez prasę światową jako wydarzenia dużej rangi i świadectwo naszej aktywności politycznej.

Możemy stwierdzić, że pogłębiliśmy tym szacunek i uznanie innych, że cieszymy się dziś sympatią i poważaniem nawet wśród tych, których nie możemy zaliczyć do grona przyjaciół. Słowo: Polska znane jest w najodleglejszych krajach świata i wszędzie kojarzy się z jej pokojowymi inicjatywami.

* * *

Odchodzi w przeszłość rok 1965. Nie spełnił on w polityce międzynarodowej pokładanych w nim nadziei. Przekazuje nowemu, nadchodzącemu – wiele pilnych spraw do załatwienia. Życzmy sobie wszyscy, by znalazły one jak najszybsze, pokojowe rozwiązanie. Patrzymy w niego – mimo licznych trudności – optymistycznie. Upoważnia nas do tego permanentnie zmieniający się układ sił. Na korzyść narodów, na korzyść pokoju.

W. SŁAWSKI

JERZY URBANKIEWICZ

FOTOGRAFIA nie dopasz PORTU

Z danymi statystycznymi trzeba ostrożnie. Mogą one być podstawą prawdziwej i trafnej charakterystyki, a mogą też stanowić punkt wyjścia i materiał dowodowy czegoś, co prawdą nie jest. Oto zjawisko, określone liczbą. **„W kolejce stoi 10 kobiet".** To dużo, czy mało? – Głos optymisty: „Zlikwidowaliśmy kolejki! Praktycznie rzecz biorąc, kolejki nie istnieją. Zaobserwowaliśmy dziś z a l e d w i e 10 kobiet kupujących cytryny". Głos pesymisty: „Kiedy nareszcie oprzemy handel o zdrowe zasady?! Dlaczego kobiecie pracującej każe się wystawać w kolejkach? 10 osób w kolejce! Licząc, że każda z nich stała średnio 10 minut, – sto minut! prawie dwie godziny stracone bezpowrotnie dla społeczeństwa!"

Artykuł niniejszy opiera się o dane statystyczne i w ich świetle przedstawia Ciebie, Czytelniku i Twoich 740 tysięcy współłodzian. Autor nie chce tu niczego sugerować, nie chce Ci ani pochlebiać, ani Cię ganić. Po prostu – słowami Cyganki: „Karta prawdę Ci powie...". Aby tę prawdę osiągnąć, Ty nie będziesz jednak dokładnie sobą. Będziesz przeciętnym obywatelem tego miasta w świetle cyfr miasto to charakteryzujących. Będziesz łodzianinem przeciętnym, STATYSTYCZNYM, w jakimś przeciętnym wieku, o przeciętnym wykształceniu, przeciętnej dobroci charakteru, o przeciętnej skłonności do kieliszka, ale też o przeciętnej skłonności do kaszki na mleku i lizaków; będziesz łodzianinem, który jeździ samochodem i tramwajem, ale nie gardzi wózkiem dziecięcym, a kiedy trzeba – trumną.

Ale mój ty, Statystyczny Łodzianinie, zanim Cię opiszę, oto jeszcze jedna uwaga, którą – mówię to szczerze – chcę przy okazji przemycić w interesie wszystkich piszących, którzy muszą szukać danych w odpowiednich instytucjach i urzędach. Osobą Twoją zajmują się w Łodzi wszyscy: zlewnie mleka, wytwórnie wódek, zakłady produkcyjne, sklepy, tramwaje, grabarze. Toteż, aby Ciebie opisać, autor niniejszego artykułu musiał zasięgnąć informacji w setce instytucji, a ich pracownicy okazali się tak mili, że nie żałowali skrupulatnie gromadzonych cyfr, z których powstał poniższy Twój obraz. Pokutuje jednak gdzieniegdzie interesujący zwyczaj ukrywania przed dziennikarzem każdej informacji, bo to – dyrektor tylko może udzielać, bo to przez telefon itd. Zwyczaj to czasami chwalebny. „Ile produkujecie armat dalekiego zasięgu?" – „Pan wybaczy – z tym proszę do dyrektora". Zgoda. Zapytałem kierowniczki kawiarni w Grand Hotelu: „Ile sprzedajecie ciastek?" Odesłała do dyrektora. Zlitujcie się nad dyrektorami i uwierzcie, że nawet w chwilach największego napięcia międzynarodowego Federal Bureau of Investigation obejdzie się bez ścisłych danych na temat łódzkich ptysiów.

JEST NAS 740 TYSIĘCY

Jesteśmy przeważnie kobietami i dziewczętami, stąd nieprzeciętna słodycz naszego charakteru i uroda, ale nie o tym chciałem mówić, ponieważ cechy te nie dadzą się określić cyframi. Cyfrowo zaś rzecz ujmując, co 96 z nas urodził się w 1965 roku, przy czym nie każdy z nas, tych urodzonych w minionym roku otrzymał pełne, nowe wyposażenie, jakiego prawdopodobnie oczekiwał, przychodząc na ten świat. Wynika to choćby z faktu, że zaledwie co 139 łodzianin kupił sobie wózek dziecięcy. Lepiej wyglądamy w blasku nowych, nocniczków, gdyż co 41 z nas kupił sobie albo blaszany, albo plastykowy, zupełnie zaś zadowalająco wygląda problem smoczków, skoro co piąty łodzianin kupił sobie albo taki nakładany na butelkę, albo ów bluffujący, pozbawiony treści, a służący tylko do wywołania nastroju, – cel, w którego osiągnięciu bardzo pomagają lalki. Co piętnasty łodzianin kupił sobie nową lalkę, w roku zaś przyszłym „wskaźnik" lalkowy na pewno poprawimy, gdyż na miejsce nazywanych lalkami upiorów pojawiły się ładne, prawdziwe lalki. Zapewne wymienionych wyżej przedmiotów bylibyśmy zmuszeni kupić więcej, ale co trzeci z nas wydał tych parę złotych na kupno prezerwatywy, a także co trzeci zaaplikował sobie globulkę „Z", a skutki nie dadzą na siebie długo czekać. Co 185 spośród nas spędza część dnia w żłobku – nie jest to wiele, ale przecież szybko z tego wyrastamy i oto co 41 łodzianin bierze pod pachę kapcie oraz plastelinę i idzie do przedszkola. Czas leci niepokojąco szybko – co 123 mieszkaniec naszego miasta kupił sobie trumnę, jeśli zaś idzie o produkcję tych nie zachęcających do żartów rzeczy, to każdy z nas wyprodukował 1/74 trumny, bo pracujemy na eksport do województw, nie mających takich fachowców jak my.

NA ILE TA KIEŁBASA?

Jemy, żeby żyć, a nie jak inni, którzy stosują zależność odwrotną. Lubimy mięso i całymi godzinami patrzylibyśmy, jak ekspedientki zręcznie podtykają te różne ochłapki pod plasterki dobrej wędliny i tak sobie czas czekania urozmaicając, kupiliśmy i zjedliśmy – każdy z nas, z noworodkami włącznie 57,3 kg mięsa w różnej postaci, co daje prawie 16 dkg dziennie na osobę. Chyba nie jest to mało, zważywszy, że każdy z nas spożył jeszcze w ciągu roku 0,8 kg drobiu, 7,1 kg ryb i śledzi, 1 kg sera, co trzeci dzień jajeczko, no i jeszcze tłuszcze. Masło najbardziej nam odpowiada: 5,5 kg (łyżka dziennie – pamiętajmy: włączając noworodki), wciąż natomiast nie dajemy się przekonać hasłu, że „margaryna jak masło" i margaryny każdy z nas spożył niecałe 5 kg, tłuszczów zaś roślinnych – 4,3 kg. Oleju roślinnego nie szanujemy – a szkoda, a szkoda – od niego się nie tyje – zużyliśmy go do placków ziemniaczanych i sałatek zaledwie 0.6 kg i jeszcze 0,3 kg tłuszczów kuchennych. Wobec poczynionych wyżej zastrzeżeń, coś mi to wygląda niemało, a przecież jeszcześmy wszystkiego nie wyczerpali. 17,2 kg mąki pszennej na bruszek, 4,2 kg kasz, a tu jeszcze 2 kg makaronu, a półtora kilograma ryżu, a jeśli to wszystko osłodzimy (27,1 kg cukru na podniebienie), to i jak na dłoni wystąpią przyczyny owych brzuszków i podbródków. Za czekoladą nie przepadamy – 1,3 kg na osobę. A co do mleka, to każdy z nas wypił 79,3 litra, to znaczy niepełną szklankę dziennie, znacznie więcej niż piwa, cztery razy więcej niż piwa. Owe zaś kolejki po owoce cytrusowe dały w efekcie 2,8 kg cytryn i 1,2 kg pomarańcz każdemu z nas. Po jedzeniu – papierosika. Każdy statystyczny łodzianin wypalił ich w zeszłym roku 2325 sztuk, tzn. ponad 6 sztuk dziennie.

TAJEMNICA PTYSIÓW

Wypiliśmy mnóstwo kawy. Herbaty znacznie mniej. Na jednym i na drugim trzeba się znać. Mało się znamy, a poza tym PIH – zdaje się więcej zwraca uwagi na jakość kawy niż herbaty. Toteż taka lura pod nazwą herbaty, jaką dostajemy w lokalach łódzkich, trafia się tylko na niektórych, zagubionych wśród pól uprawnych stacjach kolejowych. Pojawia się czasami herbata w bibułce, nieco droższa. Ale zaraz znika i każdy domyśla się, dlaczego.

1965

STYCZEŃ

Nowym prezydentem Włoch wybrany został w 21 turze głosowania Giusseppe Saragat, przywódca Włoskiej Partii Socjal-demokratycznej.

Aresztowany w 1957 roku w NRD i skazany na dziesięć lat więzienia pisarz i filozof Wolfgang Harrich wypuszczony został na wolność na mocy amnestii.

W Londynie zmarł brytyjski poeta i krytyk laureat nagrody Nobla, Thomas S. Eliot.

ChRL zwróciła Związkowi Radzieckiemu 100.138 ton cukru z zaciągniętej w 1961 roku pożyczki 501.000 ton cukru.

LUTY

Turcja zrezygnowała z udziału w wielostronnych siłach nuklearnych. Minął okres ślepej wierności wobec NATO – piszą tureckie dzienniki.

Indonezja wystąpiła z ONZ. „Wycofanie się Indonezji z ONZ – pisze „Zenmin-żipao" – jest rewolucyjnym czynem, który odbił się szerokim echem na świecie, na podobieństwo pierwszej wiosennej burzy roku 1965".

Premier ZSRR A. Kosygin składa wizytę w Hanoi. Na próżno wrogowie komunizmu pocieszają się myślą, stwierdza radziecki mąż stanu, że ich zakusy spowodują rozluźnienie więzi krajów socjalistycznych.

Stary kapitał tradycyjny amerykańsko-francuskiej przyjaźni już nie istnieje: została ogłoszona upadłość.

ANDRE FRANÇOIS PONCET
dyplomata

MARZEC

1 marca w Moskwie rozpoczęło się spotkanie konsultatywne 17 spośród 26 zaproszonych partii komunistycznych i robotniczych. Fakt nieuczestniczenia kilku zaproszonych na naradę delegacji partyjnych – pisze czeska „Prace" – nie sprzyja interesom jedności ruchu komunistycznego i robotniczego.

Sekretarz RWPG – N. W. Fadiejew oświadczył, iż w ramach tej organizacji nie istniał i nie istnieje problem utworzenia ponadpaństwowego organu planowania.

Według danych UNESCO za rok 1964 największą potęgą telewizyjną świata są Stany Zjednoczone, z 62 milionami odbiorników, następnie Japonia – 14 milionów, dalej w kolejności W. Brytania, ZSRR, NRF, Kanada, Francja, Włochy.

Dokąd pan jedzie w Azji, wujku Samie?

KWIECIEŃ

Plenum KC KPZR postanawia zwiększyć inwestycje w rolnictwie. Sumy preliminowane na ten cel w okresie nadchodzącego pięciolecia równe będą wartości inwestycji w rolnictwie, dokonanych w ciągu 19 lat powojennych.

Zachodnioniemiecki Bundestag decyduje pod silną presją opinii publicznej świata przesunąć termin ścigania zbrodni hitlerowskich do końca 1969 roku. Londyński „The Times" pisze: „Decyzja ta nie płynęła oczywiście wprost z serca. Potężnym, a być może decydującym czynnikiem okazała się presja zagraniczna".

Nowa światowa sensacja kosmiczna. Dwaj kosmonauci radzieccy Paweł Bielajew i Aleksiej Leonow dokonali eksperymentu, jakiego dotychczas w kosmosie nie przeprowadzono. Leonow przez 20 minut „orbitował" poza pojazdem.

W Stanach Zjednoczonych powstał klub osób otrzymujących najwyższe pensje. Dolną granicę wymaganą dla uzyskania członkostwa stanowi kwota 500 tysięcy dolarów rocznie. Okazało się, że tylko 6 osób w Stanach Zjednoczonych posiada takie uposażenia. Jest wśród nich prezes General Motors z pensją 1.250.000 dolarów rocznie.

MAJ

Francja dokonała nowego kroku w kierunku rozluźnienia swych więzów z paktem SEATO, odmawiając udziału w majowych manewrach morskich tego paktu. Uważa się, iż powodem tej odmowy są rozbieżności między Paryżem a Waszyngtonem w sprawie Wietnamu.

„Jesteśmy przekonani, że osiągniemy zwycięstwo we wszystkich bitwach, które obecnie prowadzimy, szczególnie w Wietnamie. Amerykanie nie mogą nas pokonać w wojnie nie nuklearnej. Czasy wojny jądrowej minęły". – Mao Tse-tung.

Każdy z nowo narodzonych Belgów zostanie „utrwalony" w pamięci mózgu elektronowego poprzez nadanie mu pięciocyfrowego numeru, który będzie stanowił znak rozpoznawczy dla wszystkich jego dokumentów. Ułatwić to ma władzom administracyjnym prowadzenie statystyk szkolnych oraz przygotowywanie list wyborczych przy pomocy mózgów elektronowych.

CZERWIEC

19 czerwca zamach stanu w Algierii. Ben Bella aresztowany. Na czele wyłonionej Rady Rewolucyjnej stanął pułkownik Bumedien. Mnożą się pytania o przyszłość tego kraju. „Czy nowy okres braku stabilizacji nie będzie sprzyjać obcym, imperialistycznym ingerencjom? – zapytuje tunezyjski dziennik „Al-Amal".

W ostatniej chwili przed przybyciem de Gaulle'a skreślono z menu obiadu wydawanego przez kanclerza Erharda pozycję „Filet de Wallington". Obawiano się, że generał de Gaulle może poczytać sobie za nietakt częstowanie go potrawą przypominającą swą nazwą angielskiego dowódcę, który z pomocą Niemców pokonał w swoim czasie cesarza Francuzów, Napoleona.

LIPIEC

Drugi Bandung mimo usilnych starań władz algierskich został odwołany.

Sekretarz Obrony USA McNamara udał się w podróż inspekcyjną do Wietnamu. Rezultat: liczba żołnierzy amerykańskich zaangażowanych w brudną wojnę w

Kawy wypiliśmy w zeszłym roku tyle, że do jej zaparzenia trzeba było skręcić 300 gramów ziaren. Czy to dużo? – Kawiarnie łódzkie (z wyjątkiem „Grandki – tajemnica państwowa!) musiały zemleć 20 ton ziaren i wyszło z tego 3.200.000 małych kaw. Złośliwi twierdzą, że 3.200.001, bo kawiarce ręka drgnęła. Wynika z tego, że wypiliśmy w kawiarniach po 4 małe kawy. Wypiliśmy też po niepełnej szklance herbaty, do tego zjedliśmy po 3,5 ciastka (wliczając w to nieznaną ilość ptysiów), dodaliśmy do tego po 17 dkg ciast i drobnych ciastek. Piliśmy w kawiarniach nie tylko kawę i herbatę. Na każdego z nas wypada też 1 koktajl owocowy, niepełna filiżanka czekolady w płynie i rzeczy bardziej uderzające do głowy. Wśród nich – 75-gramowy kielich wina owocowego krajowego, nieco mniejszy, ale droższy – importowanego, likieru – 8 gramów i 0,4 litra wódek gatunkowych. (Dla uniknięcia nieporozumień – zwłaszcza przy wódce – przypominam: wszystko w ciągu całego roku, ale dzieląc całą spożytą ilość na wszystkich łodzian wraz z niemowlętami i absolutnymi abstynentami). W obliczeniach powyższych nie udało się uchwycić tego wina owocowego, którego młodzież wypija w kawiarniach n a w n o s.

Są to oczywiście ilości skromne. Napoje spożyte w ogóle w naszym mieście dosięgły wielkości następujących: wódki czystej i spirytusu Statystyczny Łodzianin wypił 3,1 litra, piwa 20,2 litra, win i miodów pitnych – 3,1 litra, wódek gatunkowych – 0,4 litra. Statystyka powyższa spowodowała, że co 61 łodzianin spędził noc w Izbie Wytrzeźwień natomiast co 293 płacił mandat za zakłócenie spokoju publicznego w stanie nietrzeźwym.

SZEWC W BUTACH CHODZI

Owe szałowe szmizjerki i inne cudeńka pochłonęły w naszym mieście po 3,2 m jedwabiu na głowę, a przecież nie chodzimy wyłącznie w jedwabiach. Lubimy wełnę – ładny kaszmir to rzecz wspaniała, pochodzi czasem człowiek po sklepach, pochodzi, nim tę poszukiwaną s e t k ę znajdzie, ale tak po troszeczku uzbierało się po 1,9 m każdemu z nas, że zaś z bawełną najłatwiej, to po 6,8 m każdy z nas sobie kupił na ubranie lub sukienkę. Kupowaliśmy też gotowe ubrania: po 546 zł, każdy na to wydał. Pod ubranie – coś z dzianiny. Wydaliśmy po 374 zł na sweterki i te inne ciepłe rzeczy, poza tym na skarpetki i pończochy po 138 zł.

Stare przysłowie „poznać pana po cholewach" straciło ostatecznie rację bytu, a to dlatego, że zginął gatunek p a n a, a także dlatego, że buty z cholewami (tzw. „oficerki") noszą przeważnie kobiety spod Sieradza i Łowicza do wełniaków. „Poznać kotka po szpilkach" – byłoby bliższe aktualnym warunkom społecznego życia i bliższe sytuacji na rynku obuwniczym. Obuwie skórzane ma największe wzięcie. Kupiliśmy prawie po dwie pary, a oprócz tego po parze tekstylnego. Mili moi! czy to nie za rozrzutnie? Przecież nosimy też gumowe oraz różne kapcie i papucie. A przy tym, Łodzianinie Statystyczny na swoje dwie pary butów skórzanych kupiłeś tylko dwa pudełka pasty do butów! Jak tak można? Tu żadne cyfry obrazu nie zaciemnią: kupiłeś dwie pary butów i zużyłeś do nich dwa pudeleczka pasty do butów! Jak tak można? Tu większą część roku chodziłeś w brudnych butach. Fe! O Twojej czystości będziemy jeszcze mieli okazję porozmawiać. Póki jesteśmy przy artykułach przemysłowych, zobaczmy, na co wydałeś pieniądze zaoszczędzone na paście do butów.

Co pięćsetny łodzianin kupił sobie nowy samochód, a co 250 – motocykl lub skuter. Ponieważ zaś inni łodzianie i urzędy mają też stare samochody, można powiedzieć, że co 17 z nas ma zarejestrowany pojazd mechaniczny. Co 57 zaopatrzył się w łodówkę. Niestety żaden urząd nie rejestruje lodówek i dlatego trudno by było obliczyć ile z nich już chłodzi dające się spożyć konsekwencje naszej stopy życiowej. Co 52 łodzianin kupił sobie nową pralkę elektryczną co 313 maszynę do szycia – dlatego tak mało, że trudno u nas o dobrą maszynę, amatorów było znacznie więcej. Wreszcie – w co 46 domu rozbrzmiewają dźwięki muzyki z nowego odbiornika radiowego, a w co 43 – czterech Statystycznych Łodzian siedzi przed nowym telewizorem. W dokonaniu powyższych zakupów znakomicie pomógł nam ORS, u którego każdy z nas zapożyczył się na 560 zł. Patrząc na to z innego punktu widzenia: co 12 łodzianin zawarł umowę z ORS-em.

JAK SOBIE POŚCIELESZ

Na czym siedzi łodzianin, patrząc się na nowy telewizor? Łatwo to wyjaśnić, jeśli się wie, że co dziesiąty łodzianin kupił sobie nowe krzesło. Albo twarde, albo miękkie, ale miękkie przeważają. Natomiast co 87 zdecydował się na fotel, bo to jednak najwygodniejsze. Stołów kupiliśmy znacznie mniej. Zaledwie co 92 z nas doszedł do wniosku, że stół jest niezbędny, natomiast co 804 zafundował sobie cały komplet stołowy ze wszystkimi przynależnościami. Łóżek nie lubimy, wychodzą one z mody zdecydowanie. Zaledwie co 370 zaopatrzył się w ten archaiczny przedmiot, za to co 37 ustawił sobie w pokoju nową kozetkę, tapczan, lub amerykankę. Oczywiście, osobno kupowaliśmy łóżeczka dziecięce, przy czym wyraźnie wykorzystywaliśmy łóżeczka zostawione przez starsze pociechy, bo tylko co 1213 łodzianin zrobił ten sprawunek. W co 105 mieszkaniu mamy nową szafę, a co 216 pokój umeblowaliśmy meblami segmentowymi.

MAM CIĘ!

A teraz to, czego się najbardziej boisz. Jak to tam jest z tą higieną. W jakich to butach siedzisz przed telewizorem, już wiemy. A teraz chuchnij – Statystyczny Łodzianinie! Jedna tubka pasty do zębów na rok to troszkę za mało! Poza tym zużyłeś zaledwie pół kawałka mydła toaletowego i 1/3 powszechnego. Czy myślisz, że to dość? A jak tam z praniem? – pół paczki wysokoprocentowego proszku w ciągu roku. I to się nazywa higiena? Tak, wiem, że zużyłeś aż 5 nożyków do golenia przez cały rok, ale to również nie jest za dużo! – nie wiadomo, czy te nożyki były dość dobre, na ile goleń każdy z nich starczył.

Sprawa jest poważna. Nie każdy ma łazienkę w domu – to prawda, ale istnieją łaźnie, które wykorzystujemy tylko w piątki i soboty, a w inne dni – zieją one niemal pustką. Każdy z nas wykąpał się tylko jeden raz w zeszłym roku, w wannie (w łaźni), a co 5 pod natryskiem. Jako usprawiedliwienie można przytoczyć fakt pewnej tradycji wynikającej z historii tego miasta. W końcu zeszłego wieku i na początku obecnego, łodzianie traktowali łaźnię jako lekarstwo i chodzili się kąpać tylko w wypadku łamania w kościach. Co 6 z nas skorzystał z łaźni rzymskiej.

TO SĄ SKUTKI

Niewątpliwym osiągnięciem lecznictwa łódzkiego jest fakt, że w roku minionym nikt nie zachorował na zapalenie opon mózgowych, ani na chorobę Heine-Medina. Szczepionki zrobiły swoje. Natomiast jeśli idzie o inne choroby, to mieliśmy trochę kłopotów. Co 21.000 z nas przeszedł dur brzuszny, a co 4.060 – czerwonkę bakteryjną. Nie jest to wiele jak na tak duże miasto, ale coś mi się te dwie choroby mocno wiążą z brakiem czystości. Co 217 łodzianin chorował na płonicę, co 33.600 na błonicę. Co 845 przeszedł krztusiec, a co 153 – odrę. Niemało mieliśmy przypadków nagminnego zapalenia przyusznicy (co 268), a niepokojąco wygląda sprawa zakaźnego zapalenia wątroby. Mamy tego coraz więcej, bo co 200 z nas zapadł na to, a perspektywy są raczej smutne.

Jeżeli co 16 łodzianin przeszedł grypę, to nie doszukuję się w tym żadnych krępujących przyczyn. Ale przypadające na każdego półtorej wizyty u dentysty, to już niewątpliwie następstwo tej zaledwie jednej tubki pasty do zębów na łodzianina rocznie.

Miewaliśmy oczywiście i gwałtowne ataki jakichś schorzeń, podlegaliśmy wypadkom ulicznym, w związku z czym do co ósmego z nas wyjeżdżało pogotowie. Wyjechało przy tym 2000 razy bez usprawiedliwionej przyczyny.

Następstwem choroby jest zwykle nieobecność w pracy. Każdy z nas opuścił 6½ dnia, przy czym najczęstszą przyczyną były schorzenia układu oddechowego – wiadomo: Łódź z jej powietrzem! Na drugim miejscu usytuowały się choroby układu nerwowego i narządów zmysłów na trzecim – trawiennego, i na czwartym – układu krążenia.

W wielu wypadkach ratowała nas krew skrzętnie pobierana przez Stację Krwiodawstwa. Co 38 z nas daje krew honorowo, a co 61 robi to za wynagrodzeniem. Patrząc na sprawę z innego punktu widzenia, każdy z nas oddał honorowo 0,005 litra krwi. Nie jest to za wiele, ale świadczy o nas dobrze.

W ZDROWYM CIELE

Zdajemy sobie sprawę, że sport i czystość mogą nam zaoszczędzić wielu kłopotów ze zdrowiem. Toteż co 34 z nas kupił sobie nowy rower, a co 60 piłkę. Jedni kupowali nożne, inni siatkowe itd., ale co 60 ma nową piłkę. Łyżwy kupił sobie co 41 z nas – one nie ulegają tak łatwo zniszczeniu, zapewne jesteśmy więc dobrze zaopatrzeni w ten sprzęt. Komplety ping-pongowe kupił co 370 łodzianin, ale starych kompletów mamy widać niemało, skoro co 10 z nas kupił nową piłeczkę ping-pongową. Wielu lubi badmintona, co 185 kupił nową parę rakiet, co 180 zaopatrzył się w nowe sanki.

Sprzęt powyższy oraz sprzęt zakupiony wcześniej wykorzystujemy albo indywidualnie, albo w łonie różnych organizacji sportowych. Co 28 z nas należy do klubu sportowego, a co 18 do ognisk TKKF. Poza tym co 61 z nas codziennie odchodzi na 10 minut od krosna lub maszyny do szycia i uprawia gimnastykę. Wyrażane w ten sposób zrozumienie dla sportu spowodowało, że co 34 łodzianin zdobył oznakę sprawności fizycznej, a co 39 – młodzieżową oznakę „Już pływam".

Na imprezy sportowe każdy z nas wykupił po 1,2 biletu, czym dowiedliśmy, że imprezy sportowe przedkładamy nad teatr, czy muzykę.

KULTURA NIEFIZYCZNA

Czytamy raczej dużo, bowiem ilość wypożyczalni rośnie w mieście bardzo szybko. Również kupujemy nowe książki. Nie licząc podręczników, każdy z nas kupił około 3 książki w cenie około 15 zł. za egzemplarz. Czytamy też mnóstwo prasy. Bo przecież 125 egzemplarzy na Statystycznego Łodzianina w ciągu roku – to nie jest mało!

Jeśli zaś idzie o tę strawę kulturalną, jakiej dostarcza sala teatralna czy koncertowa, to: każdy z nas zadowolił się kupnem 0,9 biletu do teatru dramatycznego, 0,35 biletu do opery czy operetki, 0,22 biletu do teatru lalkowego oraz 0,4 biletu do Filharmonii. Bardziej przepadamy za kinem, do którego każdy z nas kupił w ciągu roku 4,4 biletu.

Co 21 łodzianin ma aparat telefoniczny, co 4 ma odbiornik radiowy, a jeszcze co 52 korzysta z głośnika przewodowego. Telewizor ma co 7 łodzianin, można więc powiedzieć, że każdy Statystyczny Łodzianin słucha radia i ogląda telewizję, zważywszy, że z urządzeń tych korzysta jednocześnie kilka osób.

Korzystanie z usług poczty również świadczy o poziomie kultury. A więc co 8 łodzianin wysyła CODZIENNIE list, a co 9 CODZIENNIE otrzymuje list. Otrzymywanie korespondencji ułatwiają skrzynki typu „Hermes" umieszczane na klatkach schodowych. Co 5 z nas ma przegródkę w takiej skrzynce. Każdy z nas otrzymuje rocznie 1,3 paczki, a wysyła około 6 paczek rocznie, co dowodzi, że mamy więcej do wysłania niż do otrzymania. Oczywiście wielkości te ulegają zmianom w okresach przedświątecznych, kiedy to prawie każdy łodzianin wysyła list codziennie, a otrzymuje co drugi dzień.

MIASTO UCZĄCYCH SIĘ

Do różnego typu szkół podstawowych chodzi co 7 łodzianin. Do liceum ogólnokształcącego – co 34, do innych szkół niższych – co 14, a w ogóle – co 4 z nas chodzi do jakiejś szkoły, nie licząc tych, którzy studiują na wyższych uczelniach i chodzą na różne kursy. 10 proc. uczących się stanowią pracujący.

INNE CECHY

Jest trochę przestępców pośród nas, ale nie powiem ilu, bo to również tajemnica państwowa. Natomiast kolegia administracyjne ukarały co 111 z nas, mandat karny płacił co 12 łodzianin.

Chociaż jesteśmy przeważnie włókiennikami, troszczymy się też o produkcję rolną, i każdy z nas uprawia 111 m² pola, a oprócz tego 0,3 m² szklarni, (tzn. ponieważ rocznie dokonujemy trzech zbiorów kwiatów i warzyw, praktycznie dajemy zbiór z całego metra kw.). Na swoim polu każdy z nas wyprodukował w ubiegłym roku 44 kg ziemniaków i 10 kg zboża. Ano cóż, obrodziło latoś. Mieliśmy też po 3,2 m² ogródków działkowych.

Zużyliśmy po 27 m³ wody z Pilicy – i to na zaspokojenie wszystkich potrzeb: picia, mycia, na zupę, a także na wodę sodową, która odgrywa u nas niepoślednią rolę. Do każdego z nas należał 1,4 km ulicy, a na 38 przypadała 1 latarnia elektryczna (bo gazowych już nie ma).

* * *

Mamy więc wiele powodów do zadowolenia, ale okazja, jaką jest Nowy Rok nakazuje życzyć sobie poprawy tych wszystkich miłych i pozytywnych wskaźników. Gdyby Czytelnik wątpił w szczerość powyższych życzeń, to musiałby sobie uświadomić, że składający je, autor niniejszego artykułu jest również Statystycznym Łodzianinem i życząc dobrze innym, życzy też dobrze – sobie. Dosiego Roku.

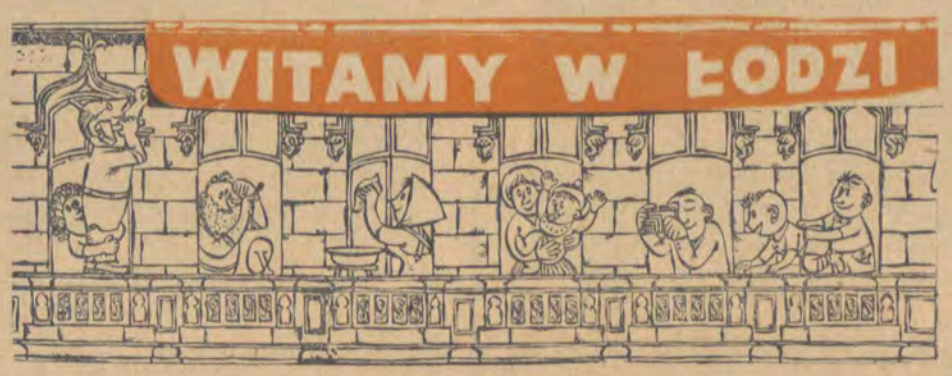

Rys. J. Jankowski

1965

Wietnamie wzrosła z 75 tys. żołnierzy do 165 tys.

● W NRD opublikowano listę 1800 nazwisk byłych hitlerowców, którzy zajmują nadal odpowiedzialne funkcje w NRF bądź otrzymują emerytury. Wśród opublikowanych nazwisk znajduje się 15 ministrów i sekretarzy stanu NRF, 100 generałów, 828 wyższych urzędników służby zagranicznej itp.

SIERPIEŃ

● **Amerykańska piechota i oddziały spadochronowe włączyły się bezpośrednio do walki z partyzantami południowowietnamskimi.**

● W murzyńskiej dzielnicy Los Angeles wybuchły 6-dniowe rozruchy na tle rasowym. 36 osób zostało zabitych, a ponad 800 rannych. „Ludność dzielnicy Watts ginie na samotnej wyspie ubóstwa w kraju bogactwa i społeczeństwa obfitości" – oświadczył wybitny działacz murzyński, laureat Nagrody Nobla, Luther King.

● **Między Indią i Pakistanem trwają ostre walki o Kaszmir. W operacjach wojskowych z obu stron biorą udział regularne armie przy użyciu czołgów, artylerii i lotnictwa.**

● Amerykański pojazd kosmiczny „Mariner-4" dokonał po 223 dniach podróży sensacyjnych zdjęć powierzchni Marsa.

● Gordon Cooper i Charles Conrad w ciągu ośmiu dni przebywali na statku „Gemini-5" na orbicie okołoziemskiej, wykonując około 120 okrążeń Ziemi. Jest to nowy rekord długości lotu kosmicznego. Poprzedni rekord ustanowiony został przez Walerego Bykowskiego na statku „Wostok-5".

WRZESIEŃ

● Izba Reprezentantów USA podjęła decyzję upoważniającą rząd Stanów Zjednoczonych do zbrojnej interwencji w każdym kraju półkuli zachodniej dla zabezpieczenia „przejęcia władzy przez komunistów".

● Dziennik „Krasnaja Zwiezda" w artykule „Gemini i cele Pentagonu" pisze, iż podstawowym celem tych lotów jest sprawdzenie możliwości przechwytywania sztucznych satelitów i zbieranie danych wywiadowczych.

● **Teoria Mao Tse-tunga – pisze w „Zenminżipao" wiceprzewodniczący KPCh, Lin Pao – mówiąca o zakładaniu rewolucyjnych okręgów wiejskich i otoczeniu miast terenami wiejskimi, jest czynnikiem o wybitnym uniwersalnym znaczeniu praktycznym dla obecnych rewolucyjnych walk prowadzonych przeciwko imperializmowi. Jeśli wziąć pod uwagę cały glob ziemski i określić Amerykę Północną i Europę Zachodnią, jako miasta świata – pisze Lin Pao – to wówczas Azja, Afryka i Ameryka Łacińska stanowią wiejskie obozy świata.**

● Francuski „L'Express" donosi, iż jak wynika z omówienia dzieł poświęconych wielkim ludziom i opublikowanych we Francji w ciągu dwudziestolecia – omówienia dokonano w tygodniku literackim „Arts" – generał de Gaulle, którego osobie poświęcono 26 książek, znalazł się na czwartym miejscu po Napoleonie – 64 tytuły, Hitlerze – 39 i Joannie d'Arc – 34.

● **India i Pakistan przyjęły wezwanie Rady Bezpieczeństwa o zawieszenie broni. Podkreśla się, iż poważny wkład w osiągnięcie tego celu włożył sekretarz generalny ONZ U Thant.**

PAŹDZIERNIK

● Minister spraw zagranicznych Francji Couve de Murville przebywał z wizytą oficjalną w Moskwie. Nie ulega dla nikogo wątpliwości – pisze „Combat", a zwłaszcza dla Bonn i Waszyngtonu, że generał de Gaulle prowadzi na dużą skalę operacje zbliżenia z Europą wschodnią.

● **Grupa oficerów indonezyjskich na czele z pułkownikiem Utungiem dokonała nieudanego zamachu stanu. Władzę w Dżakarcie przejęła armia. Nieudany zamach stanu stał się pretekstem do ofensywy sił prawicowych przeciwlewicy indonezyjskiej. W wielu okręgach Indonezji zdelegalizowano KPI.**

● **W Warszawie obradował VI Światowy Kongres Związków Zawodowych. W czasie obrad kongresu chińska delegacja popierana przez niektóre inne centrale związkowe wezwała do przeciwstawienia się generalnej linii pokojowego współistnienia.**

LISTOPAD

● W Bandung – konferencja krajów afro-azjatyckich odroczona została bezterminowo. „Trzeci świat, który mienił się „wolnym" urodził się – jak powiadają – w Bandungu. Można też powiedzieć, że umarł w Algierze" – pisze francuska „Aurore".

● W NRF nowy skandal polityczny. Eksminister obrony rządu bońskiego, Strauss, miał swego człowieka w ministerstwie spraw zagranicznych, Hansa Huyna, który szpiegował ministra Schroedera.

GRUDZIEŃ

● „Radzieckie i amerykańskie bomby atomowe są tak duże, że cele, w które mierzą są zbyt małe. Musimy zbudować większe cele".
ART BUCHWALD – satyryk

● Jak było do przewidzenia gen. de Gaulle wybrany został w drugiej turze wyborów prezydenckich szefem V Republiki na następnych 7 lat. Po zakończeniu kadencji de Gaulle będzie liczył 82 lata.

CHUE MUNG NAM MOI!

1.

Tak powiedzieli Wietnamczycy, kiedy się z nimi żegnałem. Znaczy to: Szczęśliwego Nowego Roku!

— Chue mung nam moi! — życzenia te złożyli na moje ręce, ale dla wszystkich łodzian. Fonetyka języka wietnamskiego różni się nieco od pisowni, więc czytajcie, łodzianie:

— Tiuk myn nam moj!

Są niewysocy, drobni, czerniawi; wyglądają bardzo młodo, niektórzy na trzynaście, czternaście lat. To pozór. Przekroczyli granicę dwudziestu.

Do Polski przyjechali trzy miesiące temu. Spod bomb, na których wspomnienie twarze im tężeją.

Nguyen Minh Khai jest pełen niepokoju. Jego ojciec walczy po stronie powstańców. Jego matka? On nie wie, czy żyje. Bardzo ją kocha i bardzo się niepokoi.

Le Tien Kip jest sierotą. Bombardowanie.

Le Nhi Hong jest sierotą. Rodzice rozstrzelani.

Nguyen Minh Tien jest sierotą. Bombardowanie.

Dao Anh Quyen stracił ojca. Bombardowanie...

Reuter informuje, że tajna rozgłośnia partyzantów ostrzegła ludność Wietnamu Północnego przed „B-52".

„B-52" — to amerykańskie superfortece, które zbombardują Wietnam.

W chwili, gdy z nimi rozmawiam, znają już treść komunikatu. Nie wszyscy są sierotami. Ten i ów ma jeszcze do stracenia ojca lub matkę. — Są przy nich myślami. Bardzo się niepokoją. Mówią jednak na pożegnanie:

— Chue mung nam moi! Tobie i temu miastu. I wszystkim ludziom w tym kraju.

Kiedy pisałem te słowa, wieczorem, w 8 godzin po spotkaniu, radio doniosło:

— Dziś po południu Amerykanie zbombardowali DRW z superfortec B-52.

Czy Pham-nang Dac ma jeszcze rodziców?...

2.

Dac służył mi za tłumacza. Przyjechał wprawdzie do Łodzi trzy miesiące temu, wraz z innymi, ale języka polskiego uczył się już przedtem, w ojczyźnie. W szkołach DRW wykłada się rosyjski. Książka z której Dac korzystał była podręcznikiem do nauki polskiego w języku rosyjskim. W ten sposób Dag poznał lepiej od kolegów naszą mowę i służył mi za tłumacza.

Dac, po skończeniu studium łódzkiego, zamierza studiować filologię polską. Będzie przekładał na ojczysty język naszą literaturę.

3.

Nie wszyscy Wietnamczycy ze studium języka polskiego znają już kierunek przyszłych studiów. O tym, czym się zajmą, zadecyduje ambasada wietnamska; jedno jest pewne — większość z nich pójdzie na Politechnikę. W tym celu nauka języka polskiego związana z chemią, fizyką, matematyką; techniczna nomenklatura splata się z mową potoczną.

Według wykładowców — Wietnamczycy są nie tylko zdolni, także niezwykle sumienni, pracowici. Po trzech miesiącach pobytu w Polsce można się z nimi dogadać. Proszą, aby mówić wolno, wolniutko i wyławiają z mozołem treść z obcych słów.

— Ile pan ma lat, Kip?

— Dwanaście.

Śmiech.

Kip czerwieni się i poprawia:

— Dwieście.

— Nie, Kip — mówi lektorka. — Trochę dodałeś. Powiedz po rosyjsku: skolko tiebie liet?

W systemie gestów i mimiki bardzo często potrzeba wsparcia słów. Jakich słów? Francuskich i angielskich nie znają. Nie chcą znać. Znają natomiast kilkadziesiąt słów rosyjskich.

Kip zastanawia się i odpowiada poprawnym zwrotem frazeologicznym:

— U mienia dwaćsat let.

— Dobrze, Kip. A teraz powtórz po polsku: ja mam dwadzieścia lat.

— Ja... — zaczyna Kip i uśmiecha się szeroko. Pojął już swój błąd, ale pragnie zażartować... — Ja mam dwieście.

Są niezwykle serdeczni i uczynni. W czasie Święta Nauczycieli obdarowali lektorów pękami róż i goździków. Przy każdej okazji manifestują swoją wdzięczność, szczerą i prostą jak wdzięczność dzieci...

— Ja dziękuję „urzędowi" polskiemu — mówi Wietnamczyk z ostatniej ławki, którego imię, niestety, zapomniałem. — Dziękuję za uczenie, dziękuję za stypendium, dziękuję za serce.

4.

Sieroctwo dotknęło i tych z DRW i tych z Południa; tych z Hanoi i tych z Saigon-Szolon. Stanowią jeden zwarty front nienawiści. Przeciwko najeźdźcy, którego ślepe bomby mordują bez wyboru. Przeciwko przemocy. Przeciwko wszelkiej wojnie.

Zatrzymuję się wraz z nimi przed gazetką ścienną. Wenezuela. Dac czyta komentarz do zdjęć:

Młodzieniec pierwszy:

— Nie jest łatwo... nic nie jest łatwe.

Młodzieniec drugi:

— Czy wziąłbyś broń do ręki?

Młodzieniec pierwszy:

— Nie wiem.

Młodzieniec drugi:

— Nawet wtedy, gdy usłyszysz przejrzyste słowo?

Młodzieniec pierwszy:

— Broń — to więcej niż słowo, czy przemówienie pełne słów, czy tysiące przemówień. Czy chwyciłbym za broń? Zapytajmy się raczej, czy chwyciłby za nią cały naród?

— Naród wietnamski jest tylko jeden — mówi Hong. Hong przybył z Południowego Wietnamu, ale gdyby miał teraz wrócić, granicą dla niego byłaby linia frontu.

5.

Święta spędzą w akademiku. Żaden z nich nie skorzysta z wczasów. Zrezygnowali na rzecz kolegów innych narodowości.

— Podczas ferii będziemy się uczyć — powiedział Tien śmiesznie kalecząc słowa. — Będziemy powtarzać i trochę wypoczywać.

Dostają bilety do kin i teatrów; władze akademickie organizują dla nich choinkę. Są powszechnie lubiani i otoczeni milczącym współczuciem.

Kiedy się żegnamy, mówią chórem:

— Chue mung nam moi!

Odpowiadam w imieniu nas wszystkich:

— Szczęśliwego i wam.

Wychodząc czytam z gazetki ściennej:

„Ludzie wyszli na ulicę, żeby zobaczyć księżyc tracący pełnię, lecz jako że nie było dzieci ani śpiewu wolności, wracali do domów przerażeni, z krzykiem zduszonym w krtani".

SZALEŃSTWO W IA DRANG

To był krwawy tydzień. Wojna na Półwyspie Indochińskim dostarczyła czytelnikom prasy amerykańskiej czegoś nowego, niewidzianego od czasów Korei: dramatyczne zdjęcia żołnierzy USA w czasie walki oraz poskręcane postacie zabitych i rannych Amerykanów. Mimo to należy pamiętać, że wojna w Wietnamie wciąż się wzmaga. Nie można wątpić, iż Stany Zjednoczone zwiększą liczebność swych sił w tym kraju. Jak się przewiduje, do wiosny 1966 roku liczebność oddziałów amerykańskich w Wietnamie wzrośnie do 250 tysięcy żołnierzy. Dla porównania, na początku 1965 roku stacjonowało tam 23 tysiące żołnierzy.

Najbardziej krwawe walki miały miejsce w zasłanej łuskami dolinie Ia Drang, niedaleko granicy z Kambodżą. Na terenie tym batalion Kawalerii Powietrznej wpadł w zasadzkę i jedna kompania batalionu została całkowicie unicestwiona. Przypuszcza się, że w czasie walk w dolinie Ia Drang zginęło 175 żołnierzy USA.

Walka rozpoczęła się, gdy batalion I Dywizji Kawalerii Powietrznej wylądował w dolinie w dniu 14 listopada. Samo lądowanie nie napotkało na opór, kiedy jednak żołnierze zaczęli się formować, nastąpił atak. Okrążony w lesistym terenie batalion, odpierając jedną po drugiej fale atakujących Wietnamczyków, zażądał pomocy z powietrza. Na wezwanie kawalerzystów nadleciały z bazy Guam ogromne bombowce B-52, zarzucając pozycje Vietcongu bombami 750-funtowymi. Jednakże atak Wietnamczyków trwał przez 3 dni.

Jak zwykle nie podano strat amerykańskich. Dowódca batalionu stwierdził jednak otwarcie, że straty były ciężkie: „Nie było to tanie zwycięstwo — przyznał 43-letni mieszkaniec Kentucky — zapłaciliśmy wysoką cenę".

Rozbity batalion został ewakuowany helikopterami. Zastąpiły go dwa świeże bataliony Kawalerii Powietrznej. Jednakże w środę, 17 listopada, zdecydowano wycofać obie jednostki, by pozwolić bombowcom B-52 spokojnie „zetrzeć" z powierzchni ziemi umocnienia partyzantów na wzgórzach. Bataliony otrzymały rozkaz opuszczenia doliny dwoma oddzielnymi drogami. W czasie gdy jeden z nich przedzierał się przez wysoką po kolana trawę słoniową, porastającą spokojne, łagodne łąki, środek centralnej kompanii batalionu dostał się w pułapkę.

„Siedzieli na drzewach i kropili z karabinów maszynowych — wspominał później oficer sztabowy batalionu. Jednocześnie inne jednostki wietnamskie rozpoczęły z ziemi morderczy ogień krzyżowy z moździerzy, broni rakietowej i automatycznej". „Walili do nas ze wszystkich stron: z ziemi, z drzew — powiedział sierżant Miguel Seise. — Nagle wszyscy znajdujący się wokół mnie byli trafieni i konający".

Nastąpiła walka wręcz. W czasie bitwy samoloty sił lotniczych, marynarki i wojsk przybrzeżnych zniżały się na wysokość korony drzew i obrzucały atakujących bombami, ostrzeliwały ogniem z działek. Z powodu splecenia się obu walczących stron, niektóre bomby lądowały wśród Amerykanów. W czasie okropnej i długiej nocy, gdy flary oświetlały niebo, wyborowi strzelcy wietnamscy ostrzeliwali pozycje Kawalerii Powietrznej. Gdzieś z ciemności dobiegały jęki rannych.

Gdy tylko rozwidniło się Amerykanie wyczołgali się ze swych lisich nor, utworzyli łamaną linię i ruszyli przez pole walki, szukając swych zabitych i rannych. W pewnym miejscu żołnierze USA stanęli nad trzema rannymi Wietnamczykami. Jeden z rannych leżał oparty o drzewo i uśmiechał się: „Nie będziesz się już więcej śmiał" — warknął jeden z Amerykanów szpikując ciało leżącego kulami. Dwu pozostałych spotkał podobny los.

Odrażający odór śmierci, zmieszany z wonią prochu, unosił się nad pobojowiskiem. „Trudno to znieść" — wyszeptał murzyński żołnierz spoglądając na tę scenę.

Perspektywa drugiej Korei nie wpłynęła na złagodzenie decyzji Waszyngtonu nasilania walki. Ubiegłego tygodnia magazyn „Look" cytował słowa Adlai Stevensona, że jeszcze ubiegłej jesieni Stany Zjednoczone odrzuciły propozycje rozmów, wysuwane przez Hanoi. Jakkolwiek historia jest stara i wielokrotnie dała już powód do przytyków, niemniej szum, jaki wokół artykułu się podniósł, pozwolił zorientować się, iż wysuwane przez USA wstępne warunki rozmów, w miarę wzrostu intensywności walk, stają się w widoczny sposób coraz twardsze. Ostatniego tygodnia sekretarz stanu Dean Rusk w czasie rozmów z gościem zagranicznym rzekł z emfazą: „My zetrzemy ich" (dosłownie: „zliżemy"), mówiąc o Wietnamie Północnym. Ostatnio rząd USA przekonany, że wojna przechyla się na korzyść Stanów stopniowo usztywnia linię postępowania. Wbrew wzrastającym ofiarom, jeden z najwyższych urzędników administracji amerykańskiej, bezpośrednio związany z wojną, stwierdził, iż USA nie zgodzą się na żaden status polityczny Frontu Wyzwolenia Narodowego, nie będą tolerować udziału komunistów w rządzie koalicyjnym w jakiejkolwiek formie, ani też nie zgodzą się na jakiekolwiek warunki Wietnamu Północnego, które by przeszkadzały rządowi sajgońskiemu w jego akcji „pacyfikacyjnej" tych części Wietnamu Południowego, które znajdują się w rękach partyzantów wietnamskich.

(Tłumaczenie reportażu drukowanego w magazynie „News Week" z dn. 29. XI. 1965 r.).

UNIVERS MATCH

REPORTAGE RAPHAEL TARNOWSKY

SUR LA PISTE DES ANIMAUX QU'ON NE VOIT PLUS

czyli safari w Polsce

Parokrotnie już zamieszczaliśmy na łamach „Odgłosów" reportaże i wrażenia z Polski korespondentów zagranicznych. Dziś drukujemy w tłumaczeniu fragmenty reportażu Raphaela Tarnowsky („Paris Match") z jego fotograficznego safari w Białowieży i Bieszczadach.

Dzień jest piękny, słoneczny. Zaprzężone sanie suną lekko po śniegu. Coraz bardziej zagłębiamy się w las. Promienie słońca z trudem przedzierają się przez ten istny labirynt zdumiewająco potężnych drzew. Niektóre z nich są niewiarygodnie wysokie: klony liczą sobie czterysta lat i strzelają w górę na 38 metrów, dęby mają od 4 do 8 metrów w obwodzie i 40 metrów wysokości; niektóre okazy mają po 600 lat!

Jesteśmy w Polsce, na tropie legendarnych zwierząt, które pragniemy uwiecznić na zdjęciach. Żyją tu żubry, wilki, rysie, żyją w tej „leśnej relikwii Białowieży (115 tys. ha), umiłowanym miejscu łowów polskich królów. Jest to miejsce jedyne w swoim rodzaju, po części dziewicze.

Najbardziej interesującym przedstawicielem dzisiejszej fauny jest bez wątpienia europejski żubr i to właśnie dla niego przedsięwzięliśmy to fotograficzne safari. Administrator Puszczy Białowieskiej, który opiekował się nami w tym dziewiczym ustroniu, opowiedział nam to i owo o tajemniczym świecie, który teraz odkrywam, o jego zwyczajach, języku, strojach i przesądach..

Ale oto nagle u wylotu leśnej drogi, majaczy gigantyczna sylweta żubra. Stoi nieruchomo, słucha uważnie skrzypienia zaprzęgu. Ogromna, czarna masa. Niemrawo porusza krótkim ogonem...

Wyobraźcie sobie naszą emocję: z jednej strony — po raz pierwszy w życiu idziemy na takie spotkanie, z drugiej zaś — powiedziano nam, że żubr może zaatakować bez żadnej widocznej przyczyny, że ta ciężka i na pozór nieruchawa masa mieśni kryje w sobie nieprawdopodobną szybkość. Przeszkoda dwumetrowej wysokości i skok na odległość trzech metrów nie stanowią dla żubra żadnego problemu. W pełnym biegu nic go nie zatrzyma. Wzrok ma znakomity.

Zatrzymujemy sanie. Dzieli nas z pięćdziesiąt metrów. Mocne, półksiężycowe rogi wywierają silne wrażenie! Cóż za kolos!

Przewodnik uspokaja nas, gdyż mastodont nie ujawnia w tym momencie żadnych oznak niezadowolenia. Do przedmiotu, który go interesuje staje zwykle frontem, wolno kołysze głową, w prawo i w lewo, jak ogromnym wahadłem, w skupieniu oblizuje pysk. Ale kiedy zaczyna ryć ziemię prawą przednią nogą, kiedy kołysanie łbem nabiera tempa i energii, że gałęzie lecą z drzew — to coś jest nie w porządku i najlepiej szybko zniknąć...

Oczywiście, żubra można zabić, tyle tylko, że kosztowałoby to ponad 125 tys. złotych grzywny (25 tys. NF) i dłuższy pobyt w więzieniu.

Dorosły żubr nie lubi ustępować z drogi, jest odważny i zdaje sobie sprawę ze swej ogromnej siły. 700 kilogramów wagi może przenosić z szybkością 50 kilometrów na godzinę, a skórę ma twardą, jak zelówka (2 i pół cm grubości). Żaden gąszcz leśny nie uchroni wam życia!... Oto dlaczego stoi teraz przed nami, nieruchomo i majestatycznie, obserwuje nas uważnie i prowokacyjnie. W tym bezruchu może trwać całymi godzinami, nie lękając się chłodu, który woli od gorąca lata.

Gdy któregoś dnia, z wysokości stanowiska obserwacyjnego, podglądaliśmy igraszki stada, nasz opiekun zaproponował: „Możemy podejść do nich na odległość 50 metrów. Żubr jest nazbyt dumny i ufny w swoje siły, żeby zaatakować człowieka, gardzi niebezpieczeństwem. Niemniej tkwi w tym pewne ryzyko. Czasem reaguje w sposób nieprzewidziany. Może natrzeć w każdej chwili. Cóż wtedy pozostaje? Wdrapać się na drzewo. Spędziłem kiedyś 10 godzin na brzozie, niedaleko stąd. Ale nie ma innego wyjścia".

Leśnicy w Białowieży mają przepisy bardziej surowe, niż w Kenii. Nic dziwnego: w latach 1914—1918 wytępiono w Polsce wszystkie żubry. W okresie międzywojennym z trudem dochowano się pewnej ilości egzemplarzy tego grubego zwierza. Niestety, w roku 1945 nastąpiła znów totalna masakra. Dopiero w roku 1952 kilka żubrów sprowadzono z Kaukazu i zadomowiono w Białowieskiej Puszczy.

* * *

W kilka dni potem udaliśmy się w Bieszczady. Jest to graniczna partia polskich Karpat. Tutaj fauna jest bardzo zróżnicowana: niedźwiedzie, wilki, dziki, rysie, jelenie. Jest to polski Far East, leżący w widłach dwu granic: czeskiej i rosyjskiej. Rejon, który czeka na pionierów.

Tu już zima w całej pełni, niskie chmury zawisły nad lasem, wieczorami słychać tylko wycie wichru i poszum drzew. Nocą zapada zupełna cisza. Rano, skoro świt, zaczyna prószyć śnieg. Bywały dni i noce niesamowitej ciszy, aż jakiś dziwny przejmujący niepokój chwytał za serce. W czas zimy leśni mieszkańcy tego rejonu trudny wiodą żywot. Wszystko, od wilka do maleńkiej wiewiórki, toczy co dzień twardą walkę o byt. Zapasy z jesieni nie na długo starczą. A zima zapowiada się ostra. W dzień i w nocy, ten zwierzęcy światek przeprowadza skomplikowane operacje żywnościowe, stosuje różną taktykę i strategię. Ale siły są nierówne. Dziki, jelenie, daniele — nie mają łatwego życia, teraz królują tu wilki, rysie i łasice.

* * *

Każdego ranka, w promieniu 40—50 kilometrów, dwudziestu naganiaczy szuka śladu wilków. W domku, gdzie mamy nasze m.p., permanentnie czekamy na telefoniczny sygnał do wyruszenia na łowy. Codziennie, między godziną 11 a 13. Poza tymi godzinami myśliwskiego pogotowia, organizujemy własne ekspedycje. Pewnej bardzo widnej, księżycowej nocy, wyjechaliśmy saniami w step. Nasz przewodnik jechał w ostatnim zaprzęgu, na saniach miał świnię i od czasu do czasu zmuszał ją do kwiku. Co więcej, na długiej lince ciągnął za saniami snopek słomy... Ta cała reżyseria (dźwięk i zapach) miała przekonać ewentualnego wilka, że za zaprzęgiem biegnie prosiak. Ale nic z tego.

Po wielu bezowocnych próbach powzięliśmy heroiczną decyzję: polowanie z czatami. W tym celu musieliśmy znaleźć odpowiednie stanowisko, położone w pobliżu miejsca, które odwiedzały wilki, lecz również oddalone od wszelkich skupisk ludzkich. Już od kilku dni było chłodno, wilki były wygłodzone, istniała szansa, że skusi je padlina: pół ubitego konia.

Zaopatrzono nas w futra, koce, śpiwory, nawet w wilcze futra (jak na ironię!). Nie zapomniano oczywiście, o termosach z herbatą, o cukrze itp.

A trzeba wiedzieć, że jest to oczekiwanie długie, nużące, ciężkie i niewygodne, trwające całymi godzinami (w absolutnej ciszy i bez światła). Ponadto mróz dokucza.

Jest druga rano. I również druga noc, którą spędzamy tam, wysoko. Będzie to już z pewnością ostatnia nasza noc, jeżeli nie chcemy zamienić się w lód. Panuje taki ziąb — z pewnością — 20 st. — iż chwilami odnoszę wrażenie, jakbym wdychał nie powietrze, lecz porcję szpilek. Wydaje się, że wycie wilków dobiega gdzieś z bardzo daleka. Ale to śnieg myli. Powiedziano nam, że wilki są na obszarze całego tysiąca hektarów. Obyśmy trafili na dobry hektar!

Fot. E. Czapliński

Pięknie brzmi wilczy zew. Jest to przeciągle wycie, podobne do psiego „płaczu", z tym tylko, że psi głos, w zestawieniu z potężnym wyciem wilka jest zaledwie kwileniem.

Ale oto wstaje dzień i nagle spostrzegamy ogromnego samca. Wraca ze śniadania. Ma trójkątną głowę, skośne oczy i płowe futro. Na oko mógł ważyć ze 60 kilogramów. Jurek kadruje go starannie w teleobiektywie. Wszystko trwa nie dłużej niż trzy, cztery minuty, aż do momentu, gdy następuje ciche „klak-klak" aparatu. Usłyszał. A wszak znajdowaliśmy się o 100 metrów od niego. Spojrzał w naszą stronę i zniknął. Byliśmy szczęśliwi, jak mali chłopcy.

* * *

Już od kilku dni namawialiśmy naszych gospodarzy, żeby pokazali nam knieje brunatnego niedźwiedzia, którego pragnęliśmy obudzić z zimowego snu! Oczywiście wszyscy nam odmawiali, patrząc na nas z troską i politowaniem. Mówili, że nikt nie zna takich miejsc. Ale to z pewnością dlatego, żeby uniknąć bezcelowych dyskusji i jakiegoś wypadku.

Mieliśmy jednak szczęście. Oto w jakiś czas potem tropiąc dziki, natknęliśmy się w śniegu na ślady ogromnych „łap": niedźwiedź!

Wokół mnóstwo śladów innych mieszkańców lasu, lecz my szliśmy tylko jednym, bardzo rzadkim o tej porze roku — śladem brunatnego niedźwiedzia. Wydawałoby się, że powinien teraz spać twardym snem zimowym.

Bardzo szybko zeszliśmy na zamarznięty San, który jest w tym miejscu granicą państwową między ZSRR a Polską. Niedźwiedź, drwiąc z nas najwidoczniej, szedł samym środkiem granicznego pasa, między dwoma krajami. Nagle ślady zatrzymały się — długie tupanie w miejscu i skręt o 90 stopni w kierunku polskiego brzegu, i dalej aż do lasu. A więc! Nasz przewodnik jest zaskoczony. Skąd taka gwałtowna zmiana kierunku? Nie uszliśmy daleko, a już wiedzieliśmy co tu zaszło. Sam widok, jaki uderzył nas w oczy, wart był tych kilometrów, które forsowaliśmy w trudzie przez bite trzy godziny! Więc odbyła się tu walka. Na miejscu, o wymiarach około 6 metrów na 10, nie było garści śniegu. Na stratowanym pobojowisku leżało moc połamanych gałęzi, zerwanych z drzew na wysokości około dwóch metrów. Ale przede wszystkim krew, kości, kły dzika i wreszcie — wprost nie do wiary — nietknięta i „pusta" skóra dzika. Czyściutka, jakby dopiero co wyszła od garbarza.

Niedźwiedź zjadł wszystko, była to uczta, która trwała dwa dni. Wokół wiele śladów wilków, jednak żaden nie zaryzykował podejść bliżej, niż 20 kroków. Dwa usiadły i czekały na zakończenie niedźwiedziej biesiady.

Po tym sutym posiłku, niedźwiedź znów zeszedł na zamarzniętą rzekę i kontynuował swój marsz wzdłuż pasa granicznego.

Szliśmy jego śladem aż do nocy, aż do miejsca, w którym przeszedł na terytorium ZSRR. (s).

LISTY do REDAKCJI

Wśród wielu przedświątecznych listów, poczta przyniosła nam i taki oto, niezwykły: stempel pocztowy nosił napis Combe — in — Teignhead, Devon England podłużna koperta zaadresowana do „The Editor Odglosy" kryła kartkę z życzeniami — To wish you Happiness, skreślonymi pod zdjęciem roześmianych dzieciaków. Jak na razie nic niezwykłego, prawda?

Jednak na odwrocie kartki czekała nas niespodzianka: oto dwa zdjęcia ukazały nam piękno krajobrazu wsi Combe — in — Teignhead, a plastikowa torebka, przyklejona do kartki, zawierała okruch kory dębowej. Wróżyła — wyraźnym czerwonym drukiem — szczęście.

Całą sprawę tłumaczył obszerny tekst, który w skrócie przytaczamy.

„Legenda o drzewie korkowym z Combe — in — Teignhead, Devon".

Już przed 350 laty wspaniałe drzewo korkowe było ozdobą naszej wsi i słynęło z niezwykłej, tajemniczej mocy: przynosiło szczęście tym wszystkim, którzy podobnie jak uciekinierzy z Londynu czasu Czarnej Zarazy w 1665 roku przestrzegali starego, magicznego rytuału. Należało mianowicie, przybywszy do Combe — in Teignhead, trzykrotnie obejść owo drzewo, błagając je trzykrotnie o pomyślność.

Proszono więc magiczne drzewo o zdrowie, o uśmiech fortuny, dobrą żonę lub męża. Legenda głosi, że życzenia te spełniały się i nikt nie odchodził zawiedziony. Rzecz stała się głośna i wielu ludzi z wszystkich krańców świata, nie mogąc przybyć do naszej wsi, pisze listy prosząc o ułamek kory z magicznego drzewa. Ponieważ pięknie się ono rozwinęło i stawia nadal czoła burzom czasu, możemy przesłać właśnie taki okruch jego kory i Panu — życząc wiele szczęścia i pomyślności z Nowym Rokiem".

Tyle ów niezwykły list. Zdjęcia miejscowości Combe, Devon, przypominają jedną z wielu małych miejscowości z okolic — powiedzmy — Szklarskiej Poręby. Drzewo Magiczne — jest dużo mniejsze od naszych Bartków. Zdjęcia nie robią więc wielkiego wrażenia.

A mimo to od chwili otrzymania tego listu bardzo chcielibyśmy udać się do nieznanej nam wioski w Devonie i rozpocząć z tajemniczym drzewem pertraktacje o szczęście: poetyzując bowiem całą tę sprawę, chętnie przecież wierzymy, iż szczęście można przywołać zaklęciem, prośbą, błaganiem. (vide: toto-lotek). Dlaczegóżby więc w istocie nie czekało ono na nas gdzieś ukryte w konarach starego drzewa? A jeśli ktoś nie wierzy w legendy i gusła, i jeśli chcemy całą sprawę uprościć, przyjmijmy, że taka jest siła zmyślnej reklamy turystycznej (Orbisie, ucz się), iż do wioski Combe na pewno uśmiechnie się szczęście, bo zjadą do niej turyści, (dewizy!) a może i turyści spędzą w tym pięknym zakątku starej, wesołej Anglii szczęśliwe chwile.

Tak więc klucz do szczęścia łacno może wpaść w ręce tych, którzy ufają bądź poezji, bądź stawiają na życiową przedsiębiorczość: nie brak nam Polakom obu tych cech, życzmy więc sobie ich harmonijnego współżycia — tudzież Szczęśliwego Nowego Roku.

REDAKCJA

ANDRZEJ MAKOWIECKI

DRZEWA UMIERAJĄ W DOMU

Zwyczaj ten przybył do Polski z Niemiec, w których zresztą, rozpowszechnił się dopiero w osiemnastym wieku. Cudowne drzewko. Rosło niegdyś w ogrodach pogańskich bożków rodząc diamenty i topazy; strzegły go srogie potwory — smoki ogniste, lwy i gryfy...

Z czasem — drzewko przeszło ewolucję. Jak moda. Spadały z niego pogańskie rekwizyty na rzecz świeczek, lampionów, gwiazdy betlejemskiej na czubku, cukierasów — ku pociesze dzieci — i sztucznego śniegu. Gałązki drzewa pokrył anielski włos — zastępy prastarych bogów złożyły hołd Jedynemu — i wolna od kultów roślina wtopiła się w północną opowieść o narodzinach Zbawiciela, o pasterzach, śpiewających z radości aniołach i gwieździe prowadzącej wędrowców przez bezdroża.

Choinkowy obyczaj ściął tego roku w Polsce ponad cztery miliony drzew. Przeszło sto tysięcy młodych świerków i jodeł zużyła sama Łódź. Czerwone i czarne imitacje ze sztucznego tworzywa nie wytrzymały i tym razem konkurencji z iglastym pierwowzorem. Ludzie mówią:

— Nie chcemy plastyku. Nie pachnie!

1.

Dwóch podeszło do jodły, zawinęli rękawy, trzeci stał na skraju zagajnika, klimandżarował. Klimandżarować — znaczy w ich języku: przycupnąć na czatach. On przycupnął, żeby tamci mogli dżbagnąć (dokonać przestępstwa).

Mały, ostry toporek, do góralskiej ciupagi podobny, przeciął ze świstem powietrze. Potem jeszcze raz, i jeszcze, bo jodełka była co się zowie: cztery metry wysoka, u podstawy gruba i sękata niczym ramię kulturysty, aż po ziemię obrośnięta gałęziami...

Musieli nieść w trzech. Polami w dodatku. Na wytartych szlakach milicjanci kontrolują samochody i tramwaje; przebrnąć przez taką barierę trudno. Nie przebrnąć? — kolegium. Areszt i grzywna. Więc polami. Dookoła. Trzy kilometry. Po kostki w błocie i sczerniałym śniegu. Gra warta świeczki. Pani inżynierowa obiecała słowę, słowę za głupią choinkę rosnącą bezpańsko w podłódzkim lesie.

Jeszcze tego samego wieczoru, na pięć dni przed wigilią, wspomniana dama z dumą mówiła do sąsiadki:

— Widziała pani coś takiego? Aż się pod sufitem zgina. Uczciwe chłopaki: wczoraj przyrzekli, dziś przynieśli. I to jodła, proszę pani, nie świerk!

Tymczasem chłopaki pili w kawiarence kwaśne wino. Z butnych czupryn kurzyło się tego, szare komórki szalały.

Jutro — powiedział ten trzeci, co zazwyczaj stał na czatach — lepiej będzie pojechać pod Zgierz. Weźmie od dozorcy wózek i zerwiemy cztery sztuki. Inaczej się nie kalkuluje.

2.

Sposobów na zdobycie pięknego drzewka jest sporo. Uczciwe i mniej uczciwe, pośrednie i bezpośrednie. Uczciwa droga do choinki wiedzie przez bramy, place węglowe i podwórka, rynki i składy drzewa. Wymaga cierpliwości, niemałej kondycji, refleksu i — przede wszystkim — szczęścia. Mniej uczciwe dojście do celu zapewnia tak zwane „danie w łapę". Ręce cerberów choinkowych są na ten bodziec niezwykle czułe; kto je pogłaszcze, usłyszy konspiracyjny szept: przyjdź pan za godzinę, przywiozą nowy transport, wybierzemy coś do gustu.

Sposób pośredni. Grzeszą w tym wypadku obie strony — sprzedająca i kupująca. Pierwsza okrada lasy państwowe, druga ten fakt świadomie akceptuje. Kłusuje tylko pierwsza, ale na życzenie tej drugiej.

Sposób bezpośredni, to kłusownictwo na własny użytek. Złodziej rąbie tylko raz, i jeśli szczęście dopisze — śpiewa później pobożne kolędy w obliczu swego łupu, pewność przy tym dzierży niezachwianą, że uczciwy jest i dzielny.

Uwaga: sceptycy twierdzą, iż ten sposób bezpośredni bywa czasem bardziej pośredni, niż sposób pośredni. (Paradoks!) Wiedzie bo wiem amatora choinek przez posterunki MO — aż na salę sądową, przez wstyd i niesławę — do aresztu. Wypadki takie dwoją się i troją. Niedawno wpadł pewien czcigodny obywatel, lekarz z profesji, w chwili, gdy upychał w swój prywatny wóz zmaltretowane drzewko, niewiele zresztą lepsze od wybrakowanych sztuk z legalnych punktów sprzedaży, choć zrąbane w świeżym lesie pod Tuszynem. Zwróciło to uwagę milicjantów na wszelkie pojazdy — nie tylko ciężarówki i traktory, lecz także „mikrusy".

Pomysłowość ludzka nie zna granic. Zdarzało się wyłuskiwać młode świerki z worków od węgla i kartofli, ze szmat i gazet skrupulatnie przewiązanych sznurkiem, z dna wozów pełnych śmieci i — o naiwności! — spod palt, z których wystawały jak ułańskie szable. Pewien pomysłowy cwaniak z Rudy dostarczył na czarny rynek kilkanaście niedużych a pięknych świerków w sposób iście makabryczny. Układał je po prostu w trumnie i wiózł do Łodzi dorożką. Co jak co, ale ostatnie schronienie człowieka to tabu, nie podlega rewizjom i kontroli, toteż cwaniak z Rudy zakończył przedsięwzięcie pomyślnie, bez wpadki, i chwali się dzisiaj kolegom — przy kieliszku wódki i bombce piwa — swoim sprytem i niezwykłą odwagą. Dobrze poinformowane, restauracyjne kręgi są zdania, że w przyszłym roku człowiek z Rudy zrobi aferę na większą skalę. Już ponoć zamawia specjalne, wielkie trumny do przewozu drzew potężnych, eksportowych, żeby zaś zmniejszyć do minimum ryzyko, zamierza wszcząć rozmowy z karawaniarzami.

Swoisty rekord bezczelności w obrocie świątecznym towarem pobiła szajka wyrostków z Bałut. Reks i jego złota młodzież postanowili zerwać z ryzykownym przemytem i sprzedawać świerki z miejsca, w lesie. Reks podzielił drużynę na drwali, strażników i naganiaczy. Akcje rozpoczynali zazwyczaj ci ostatni. Łowili wysiadających pod Zgierzem ludzi, przejawiających chęć zakupów i posyłali w głąb lasu, w stronę straży. Strażnicy dawali „cynk" drwalom, i wówczas dopiero odbywało się ścinanie. Po tej operacji siekiery i noże szły do kryjówek, świerki i pieniądze — z rąk do rąk, i cała odpowiedzialność spadała z tą chwilą na kupujących. Oni musieli taszczyć towar do domu pod podejrzliwym wzrokiem przechodniów, i — w razie kontroli — nikt nie chciał wierzyć, że nabyli go u grzecznych „chłopczyków". Jest to bowiem odmiana starej, dobrze znanej śpiewki: „ja nic nie wiem, nie ściąłem. Chłop mi sprzedał na drodze pod lasem!"

Zanika z wolna, natomiast, kłusownictwo wśród kierowców. — Kiedyś — bardzo modna i dochodowa produkcja uboczna, dziś — ścigane zaciekle przestępstwo. Nie trzeba chyba tłumaczyć, że na długich, przelotowych trasach, okolonych tu i ówdzie gęstym, niemal dziewiczym i odległym od zbiorowisk ludzkich lasem — kilka niewielkich, soczystych świerków złamać można spokojnie i bezpiecznie. Gorzej jest jednak z transportem. Liczne rewizje w okresie przedświątecznym z roku na rok utwierdzały kierowców „państwowych" w mniemaniu, że lepiej zabrać czasem „łepka" niż przemycać „kradzione", że święta lepiej spędzać w domu, niż — jak kierowca spółdzielczego „Stara" — w areszcie.

3.

Na placu węglowym — tłok, harmider, wzburzenie. Przebrany towar wala się po ziemi, cerber pali papierosa, ludzie patrzą spode łba i groźnie. Jest godzina 19 i nie wiadomo: dowiozą jeszcze coś świeżego, czy nie.

W tym co się wala po ziemi, buszują tylko mali chłopcy. Towar wybrakowany kosztuje mało albo zgoła nic, toteż buszują z wypiekami na twarzy; coraz to któryś opuszcza plac ciągnąc za sobą ogołocony z igliwia i gałęzi szkielet, do stracha na wróble podobny...

Jednego takiego smyka, kręcącego się po placu już od paru godzin i ciągnącego właśnie trzecie z kolei straszydło, zaczepiam u wyjścia. Pytam, po co mu te wraki w tej ilości. To rezolutny chłopiec! Odpowiada!

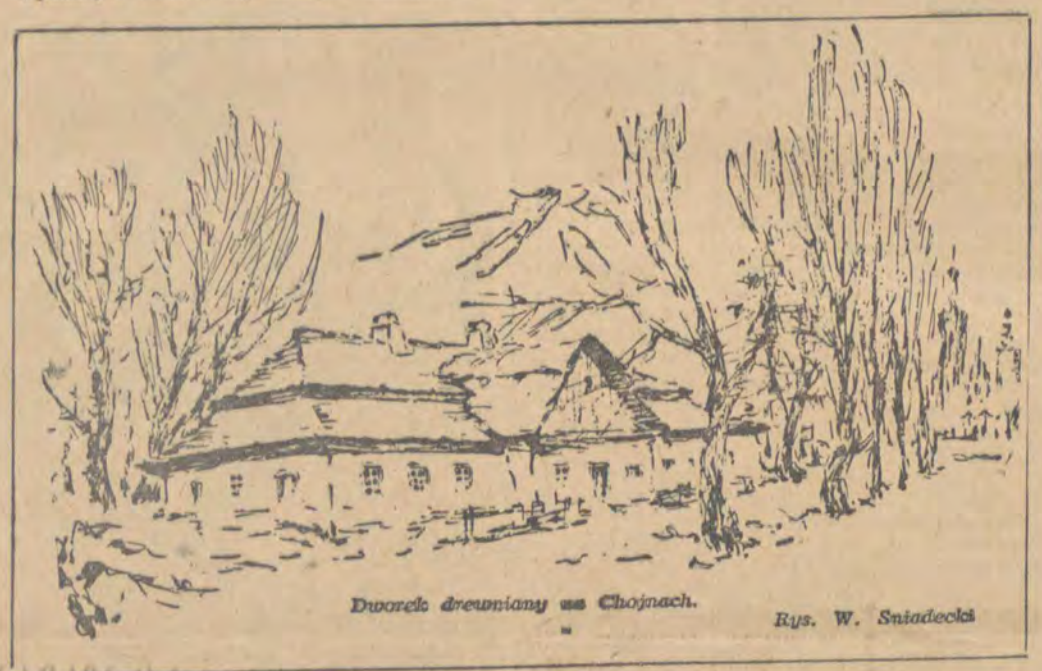

Dworek drewniany we Chojnach.

Rys. W. Śniadecki

— Matula dała mi pieniądze, żebym wybrał coś ładnego. Z tamtej kupy — pokazuje palcem — można wziąć i nie płacić. To już trzecia choinka — z dumą obraca w rękach wątły łup.

— I wszystkie dla was?

— Dla nas.

— To znaczy, że będziesz miał w domu trzy choinki?

— Nieeee... — Tamte nie podobały się matuli. Pójdą na opał jak wyschną.

— A ta, myślisz, spodoba się?

— Może? — odparł filozoficznie. — Jak nie, to przyjdę jeszcze raz. W końcu coś trafię i wtedy to moje — pokazał zwinięty w rulonik banknot dwudziestozłotowy.

— I co zrobisz z taką kupą forsy?

— Kupię sobie winogron, czekoladę... albo pójdę na Komanczów do „Włókniarza".

— Nie wpuszczą cię. Od szesnastu lat.

— Spokojna głowa. Będę chodził tak długo, aż wpuszczą.

Rozmowa z chłopcem przekonała mnie, że w ciągu tych kilkunastu dni przed świętami, choinki stają się w pewnym sensie dominantą ludzkiego życia, naczelnym problemem, przysłowiowym kwiatem paproci... Z choinkami związane są: radość, łzy, małe i wielkie spekulacje, oszustwa małe i duże, grzywny, areszty, tłok, wrzask i bójki, miła atmosfera domowa i pożary... Dwa lata temu dorzucić można by jeszcze wypadki drogowe: ludzie rzucali się wówczas na wozy i samochody wiozące iglasty towar, wywracali je na środkach jezdni (było tak przed placem na Zachodniej) lub atakowali ze wszech stron podczas biegu pojazdów.

Nie piszę o tym, aby potępić piękny obyczaj. Chodzi mi raczej o pokazanie trudności, które trzeba pokonać w rytmie nerwowej atmosfery świątecznej, nie wolnej przecież od innych trosk. Karpie, szynki, balerony, pęta suszonej kiełbasy i znikliwe cytryny — wszystko to wymaga wschodu i zachodu, energii, cierpliwości i kondycji.

Wracając do obyczaju: nierzadko przeżycia człowieka wiążą się tak mocno z iglastym drzewkiem jak z najdroższą pamiątką rodzinną. — Jeszcze za Niemca, w czterdziestym trzecim — wspomina stary człowiek czekający na transport świeżych choinek i otoczony szczelnie gronem przypadkowych słuchaczy — mieszkałem w Baniosze koło Góry Kalwarii. Tuż przed wilią wziąłem długi, rzeźnicki nóż i poszedłem po drzewo. Las miałem tak z dwieście metrów, na wprost domu, dwie minuty i byłem na miejscu. Wybrałem sobie zgrabną, niedużą jodełkę — od razu przyciąłem krzywe gałązki i skróciłem czubek. Rozejrzałem się i z powrotem. Nagle...

„Halt!"

Szwab wyszedł zza drzew z pięćdziesiąt metrów ode mnie i wyciągnął pistolet. Zacząłem uciekać. Biegł moim śladem; krzyczał i bluźnił. Kiedy wystrzelił, przypadłem do ziemi i czołgałem się w stronę domów nie wypuszczając drzewka z rąk. Mrok zapadał, więc miałem nadzieję, że mnie zgubi. Za nasypem kolejki wąskotorowej znowu poderwałem się na nogi, żeby biec, i właśnie wtedy mnie trafił, o — podwija wysoko lewy rękaw i pokazuje wklęsły ślad po kuli. — Z dwie godziny kluczyłem w okolicy, nim wróciłem do mieszkania. Następnego dnia tę choinkę znalazła żona. Na gałązkach były jeszcze plamy skrzepłej krwi. Mojej krwi. Odtąd drzewko dla mnie — rzecz pierwsza — kończy z uśmiechem. — Mogę nie mieć schabu i gorzałki, ale drzewko — muszę! I piękne! Jak nie kupię tu, pójdę do lasu...

Maniaków choinkowych spotykałem co rusz. Jednym z nich jest pan Jan S. siedemdziesięcioletni reemigrant z Teksasu.

— Podczas Bożego Narodzenia — opowiada — w Teksasie jest gorąco jak w piekle. Nie ma chyba gorszej pracy niż zbieranie bawełny. Ja byłem robotnikiem sezonowym i jeszcze dziś kark mnie boli na samo wspomnienie... W wigilię, kiedy wracałem z pola, czekała na mnie choinka; było to małe skarłowaciałe drzewo, sczerniałe od słońca, tak podobne do jodły jak pięść do nosa. Starzy rodzice przystrajali je w wycięte z papieru gwiazdki. Podczas wieczerzy śpiewaliśmy kolędy. Po polsku. Matka płakała, a ojciec mówił, że chciałby przed śmiercią zobaczyć raz polskie Boże Narodzenie, polski śnieg, polskie jodły i polskich przebierańców. Nie doczekali... — wzdycha. Potem dorzuca, wskazując na wybrakowane świerki: — Gdybyśmy tam, w Teksasie, mieli chociaż gałązkę z takiej drzewiny...

Oj, choinki, choinki. Niby nic. Niby zwykły symbol. Ale nie ma bez nich świąt, ciepłej atmosfery, dziecięcej radości... Plastyk i sztuczne tworzywa — dobre przecież na wystawę — w domu rażą tak, jak szmaciane kwiecie. Gdzie zapach lasu? Gdzie zasypana igłami podłoga?

* * *

Młode lasy świerkowe — aby równo rosły — muszą być częściowo karczowane. To też bez szkody dla nich, osiemdziesiąt tysięcy drzewek rzucono tego roku na łódzki rynek. Ci co kłusują, przekupują lub zaopatrują się w choinki u pasterów — nie wiedzą być może, że często na jeden, dwa dni przed wigilią, po okresie bijatyk, kłótni i nerwowych poszukiwań, łatwo nabyć spokojnie, bez tłoku, dowolną ilość pięknej drzewiny, której stosy zalegają podwórka i place. Ludzie, co się pospieszyli, załamują wówczas ręce; wracają do domów i popatrują smętnie na koszmarki straszące w komórkach i na balkonach.

Ja tam się nie spieszę. Pójdę tuż przed wigilią, wybiorę drzewo do sufitu. Przystroję je pięknie — w gwiazdy, lampki i bombki — sobie i dzieciom na pociechę.

MIKROPORTRETY odgłosów

Prezentujemy naszym Czytelnikom sylwetki ludzi zwykłych, jako materiały do portretu przeciętnego łodzianina, roku 1965. Sylwetki te nie są bynajmniej próbą reprezentacji wszystkich profesji czy choćby środowisk naszego miasta i bynajmniej nie takie naukowe ambicje przyświecały reporterom, którzy materiały do tego portretu zbierali. Nie można jednak powiedzieć, że publikowane niżej wywiady są dziełem absolutnego przypadku. W zasadzie nie spotkacie tutaj dwóch przypadków choćby trochę do siebie podobnych. Chcieliśmy bowiem aby przeczytali je nie tylko ci, których bezpośrednio dotyczą, chcieliśmy aby przeczytali je także ci, którzy zostali na niej pominięci, a nasi redakcyjni koledzy nie nudzili się przy adiustacji tego tekstu.

A jednak nie wątpimy, że wszyscy pominięci łodzianie znajdą w tej lekturze odprysk własnego losu i przynajmniej częściowo sami siebie. Jeśli tak się stanie będzie to znaczyło, że nasze materiały do portretu nie są chybione. Jeśli nie trafiliśmy, pocieszamy się myślą, że zebrane przez nas wywiady były przynajmniej dla Was ciekawe.

Ale już dość nudziarstwa. Oddajmy głos ludziom zwykłym. Wcześniej jeszcze chcemy im życzyć Zdrowych i Wesołych Świąt. Wam zaś, wszyscy pominięci, drodzy Czytelnicy, chcemy życzyć abyście pozowali do naszych portretów w r. 1966.

ZWYKLI REPORTERZY

WŁODZIMIERZ KAZNODZIEJ

Żywiołem jego są podróże. Zrozumiał to, kiedy 12 lat temu zasiadł za kierownicą ciężarówki. Dziś Gdańsk, jutro Kraków, pojutrze Rzeszów. Czasem zabiera z sobą żonę, Marię Kaznodziej, czasem i dzieci. Niech i oni zobaczą kawałek świata. Ale ciężarówkę marki „Horch" z numerem rejestracyjnym IO-1988 znają przede wszystkim autostopowicze. Zawsze znajdzie się w niej miejsce albo na skrzyni, albo na przyczepie dla prawdziwych amatorów turystyki. Zdarzają się bowiem i nieprawdziwi. Włodzimierz Kaznodziej, który autostopowiczów zabiera od początku istnienia tej formy podróży twierdzi, że będą z nich jeszcze ludzie. Utwierdza go w tym przekonaniu każdy rok doświadczeń za kierownicą.

Stało się nawet tak, że mu się przykrzy bez autostopowiczów. Ma sentyment dla młodych „włóczęgów", bo był w partyzantce, zna las i wie, co to posiłek ugotowany na ognisku. A jeśli tylko termin dostawy nie jest napięty, zatrzymuje „Horcha" i w las na grzyby, które sobie potem razem z przygodnymi podróżnikami pitrasi.

Jest poza tym trochę szczęściarzem. Raz dlatego, że wykonuje pracę, którą naprawdę lubi. Dwa dlatego, że 26 lat jego małżeństwa upłynęło bez zgrzytów. Trzy po prostu dlatego, że jest szczęściarzem. Najlepszym tego dowodem ilość nagród zdobytych w konkursie autostopu dla wytrwałych kierowców. Najpierw wygrał telewizor marki „Neptun", potem motocykl SHL-175, w roku następnym powiodło mu się jeszcze lepiej: pierwsza nagroda, skuter „Osa". Na tym nie koniec. Wygrał prócz tego telewizor „Koral" i „Temp".

W tym roku także wygrał. Wie, że to druga nagroda i pragnie, aby to nie był znowu telewizor, z telewizorami jest tylko kłopot, trzeba je sprzedawać.

Przy takim szczęściu na pewno wygrał coś innego.

Z Pamiętników Aleksandra DUMASA

Upłynęło sześć miesięcy od moich pierwszych miłości i moich pierwszych prac. Poza spotkaniami u Luizy Brezétt, które odbywały się każdego wieczoru, dwa lub trzy razy w tygodniu odwiedzałem Adelę w bocznym skrzydle jej rodzinnego domu, gdzie ku naszej wielkiej radości, matka Adeli pozwoliła jej urządzić nowe mieszkanie.

Jednakże konieczność otwierania furtki dla Adeli i konieczność prze

chodzenia obok drzwi jej matki dla mnie — wydawały nam się tak uciążliwe, że od dawna szukałem innego sposobu dotarcia do mej ukochanej. I wreszcie znalazłem. Po dokładnym zbadaniu topografii sąsiednich posesji stwierdziłem, że z trojga drzwi domu Adeli, jedne wychodziły na rodzaj pasażu, który z kolei prowadził do quasi ogrodu. Wysoki mur i dwa żywopłoty oddzielały ten ogródek od ogrodu Adeli. Po przebyciu tych przeszkód wystarczyło zapukać w okiennicę... by Adela mi otworzyła.

To było proste, lecz przedtem trzeba było otworzyć furtkę i przedostać się przez pasaż. Furtka była zamykana na klucz, a pasażu w nocy pilnował pies. Przygotowania trwały osiem nocy: pierwszą poświęciłem na otwarcie zamka u furtki, któremu wtórowało wściekłe ujadanie psa, siedem pozostałych przeznaczyłem na obłaskawienie psa, rzucając mu przez mur kawałki chleba i kości. Pod koniec tygodnia pies już wyczuwał kiedy nadchodzę i z objawami wyraźnej sympatii, wśród skomleń, domagał się swej zwykłej porcji przysmaków.

Ósmej nocy, utwierdzony, że w psie mam już sojusznika, otworzyłem furtkę. Zgodnie z przewidywaniami poczciwe zwierzę przywitało mnie z wielką radością, niestety nieco zbyt hałaśliwą. Idąc bezszelestnie przez ogród usłyszałem nagle, że za mną ktoś otwiera drzwi. Jednym susem dopadłem grządek pnącej fasoli i tam się ukryłem. Istotnie, był to któryś z mieszkańców pasażu, zwabiony szmerami spowodowanymi skomleniem psa, wyjrzał by zobaczyć, co się dzieje, zlustrował cały ogródek przechodząc tuż koło mnie ukrytego w fasoli i wrócił do domu. Jednym susem przesadziłem mur, potem żywopłoty i już byłem pod oknem Adeli. Nie zdążyłem zapukać, gdyż w ciemności otoczyły mnie drżące ramiona i wciągnęły do domu. Drzwi zamknęły się za nami.

Och! Gdybym był wtedy poetą! Jakież piękne wiersze bym tworzył na cześć tych pierwszych kwiatów w ogrodzie naszej miłości.

Opuszczałem ją zazwyczaj około drugiej lub trzeciej nad ranem, za powrotem przecinałem na ukos park i drogą okrężną wracałem do domu, po drodze musiałem przeskoczyć szeroką fosę.

Pewnej nocy skacząc właśnie przez fosę, spostrzegłem podejrzany cień, który, wyznaję, zaniepokoił mnie. Ten „cień" miał w ręku wcale nie cień, lecz nader realny mocny kij.

Postanowiłem zaatakować nie czekając. Poszedłem wprost na przeciwnika. W tym momencie kij się uniósł i — opadł w moją otwartą dłoń. I wtedy rozpoczęła się bójka jedna z najzacieklejszych jakie miałem w życiu.

Człowiek, który się na mnie zaczaił, miał twarz posmarowaną czernidłem, tak że nie mogłem go rozpoznać, lecz domyślałem się kim był.

On miał lat dwadzieścia pięć, ja zaledwie osiemnaście, lecz byłem w

La Polka chez Mabille.

tym czasie niesłychanie wygimnastykowany i sprawny. Walczyliśmy w zupełnej ciszy, nie padło ani jedno słowo. Nagle poczułem, że on sięga do kieszeni. Błysnął nóż. Wykręciłem mu rękę tak, że nóż wypadł na ziemię. Pochwyciłem go.

Przez ułamek sekundy ogarnęła mnie okrutna pokusa, by zanurzyć nóż w jego piersi, lecz opanowałem się. Teraz ja miałem w jednej ręce nóż, w drugiej kij. Pozwoliłem więc podnieść się memu przeciwnikowi.

Cofnął się, schylił, pochwycił kamień, lecz w chwili gdy się prostował, koniec kija ugodził go w pierś tak, że odskoczył o dobre dziesięć kroków, zatoczył się i upadł, już się nie podnosząc.

Oddaliłem się pośpiesznie. Nikt mnie jednak nie gonił i bez przeszkód wróciłem do domu, bardzo jednak wstrząśnięty tym przykrym incydentem.

Valse de M. le marquis de X....

Wieczorem opowiedziałem wszystko Adeli i podzieliłem się mymi podejrzeniami. Nie chciała w nie uwierzyć.

Właśnie w tej chwili przechodził obok nas znajomy chirurg, szedł właśnie z domu, gdzie mieszkał mój ranny.

Podszedłem do niego i spytałem:

— Co się przytrafiło X-owi, że wzywał pana dziś rano?

— Co mu się przytrafiło! Wracał dziś w nocy do domu i w ciemności, idąc bardzo szybko, z impetem nadział się na dyszel od wozu. Uderzył się tak silnie, że upadł, a padając rozbił sobie głowę.

— Kiedy odwiedzi go pan znowu?

— Jutro.

— A więc, doktorze, zechce mu pan powtórzyć ode mnie, że tej nocy przechodząc w tym samym miejscu, w którym on upadł, znalazłem jego nóż i że mu go zwracam. I zechce pan dodać, że to dobra broń, jednak człowiek, który nią rozporządza, miałby się z pyszna, gdyby zaatakował kogoś, kto ma dwa pistolety takie jak te oto...

Sądzę, że doktor zrozumiał.

— Ach! dobrze — powiedział — może pan być spokojny, powtórzę mu.

Człowiek z nożem zrozumiał także, gdyż nigdy więcej nie próbował mnie zaczepić, choć w dwa tygodnie później tańczyłem obok niego na balu

* * *

Niewielu jest na świecie ludzi, w których życiu zaszła zmiana tak nagła, jak ta, która była moim udziałem. A stało się to w przeciągu czterech godzin, podczas premiery mego dramatu Henryk III.

O mnie, jeszcze zupełnie nieznanym z wieczora, mówił nazajutrz źle lub dobrze, cały Paryż.

Tego dnia zrodzili się wrogowie, których nigdy w życiu nie widziałem na oczy, i przyjaźnie, które przetrwały do dnia dzisiejszego.

Tysiące ludzi, którzy zazdrościli mi sukcesu tego wieczoru, nie podejrzewali, że noc spędziłem bezsennie na materacu przy łóżku mej umierającej matki.

Nazajutrz pokój tonął w kwiatach. Pokryłem nimi łóżko matki, a ona wodziła po nich dłonią, nie rozumiejąc skąd się wzięły, a być może nie zdając sobie nawet sprawy z ich istnienia.

O drugiej po południu tegoż dnia rękopis mój został sprzedany za sześć tysięcy franków.

....Książę Orleański zapowiedział swoją obecność również i na drugim przedstawieniu Henryka III.

Gdy wieczorem zjawiłem się w teatrze, oznajmiono mi, że książę jest już w loży i prosi mnie do siebie. Stawiłem się u niego w przerwie między pierwszym i drugim aktem. Sala była przepełniona.

Książę przyjął mnie w sposób ujmujący:

— A więc — powiedział — panie Dumas, widzę, że pan zadowolony. Wygrał pan swój proces, wygrał go pan ze wszystkimi, z publicznością i ze mną.

Skłoniłem się.

— Ale czy pan wie — ciągnął dalej śmiejąc się — że przyczynił mi pan niemało kłopotu.

— Ja, Sir?

— Tak, pan.

— Jak to?

— Król mnie wczoraj wzywał.

— Król?

— A, tak.

— Z jakiego powodu, książe?

— Ależ z powodu pańskiego dramatu.

— Z powodu Henryka III?

— „Czy wiesz co mi mówią drogi kuzynie — powiedział tonem urzędowym — donoszą mi, że jest w twym biurze młody człowiek, który napisał sztukę, a w niej my dwaj gramy główne role — ja, Henryka III, a ty, Księcia de Guise"

— Wasza Wysokość mógł odpowiedzieć królowi, że się myli, gdyż ten człowiek nie jest już w panskim biurze.

— Nie, ja wolałem odpowiedzieć inaczej.

— Tak? a co Wasza Wysokość odpowiedział?

— Odrzekłem: „Sire, okłamano pana, a to z trzech powodów: po pierwsze, ja nie biję mojej żony, po drugie, Księżna Orleańska nie przyprawia mi rogów i po trzecie

Exemple de Valse.... chicarde.

to, że Wasza Wysokość nie ma wierniejszego poddanego ode mnie". Czy nie sądzi pan, że to lepsza odpowiedź od tej, którą mi pan doradzał.

— Tak, Wasza Dostojność, ponieważ jest nieskończenie bardziej dowcipna.

— I bardziej prawdziwa... Ale oto kurtyna idzie w górę. Niech pan więc wraca do swoich spraw, moja sprawa jest słuchać pana.

Skłoniłem się.

— A propos — dodał — Księżna chce pana widzieć jutro rano. Pragnęłaby dowiedzieć się o stanie zdrowia pańskiej matki.

Pożegnałem się i opuściłem lożę.

O, potęgo sukcesu! rozgłos, jaki wywołujesz wokoło jakiegoś nazwiska, to łagodna i spokojna rekompensata, należna przewadze inteligencji nad materią.

Wybór i przekład:
IRENA ŻUCHOWICZ

Le Départ. — Exercice que l'on commence à proscrire comme trop gracieux.

MIKRO-PORTRETY odgłosów

MIECZYSŁAW LEJMAN

Miała to być rozmowa z małżonkami Lejmanami, którzy w początku br. otrzymali medal „Za długoletnie pożycie małżeńskie". 43 lata wspólnego życia w murach, a ściślej deskach, tego samego drewniaka do którego wprowadzili się w r. 1912. Ale Sabina Lejman zmarła w niecały miesiąc po zaszczytnym odznaczeniu i on został zupełnie sam, z dwoma tylko psami „Bibusiem" i „Kajtusiem", dla których kupuje landrynki i nie pali tytoniu, choć był niegdyś tęgim palaczem — kieszeń nie pozwala.

Ma już 77 lat, ale na rentę odszedł zupełnie niedawno, w r. 1960. W dowodzie osobistym wpisany zawód: giser. Całe życie przepracował w tym zawodzie, na samym początku w fabryce maszyn tkackich Moryca i Bauera, na samym końcu w fabryce sprzętu samochodowego na Radogoszczu. Prawie całe życie należał do partii, najpierw, od 1904 r. do PPS, później od r. 1948 do PZPR. Młodość jego przypadła na lata rewolucji 1905-1907. O wydarzeniach z tamtych dni opowiada tak, jakby się wydarzyły wczoraj, głęboko zapadły mu w pamięć. Ma przy tym poczucie humoru. Przypomina sobie, jak wracając z akcji został zatrzymany przez gromadę kozaków. Nie było przy nim żadnych obciążających materiałów, zachowywał się więc śmiało. W czasie rewizji znaleziono przy nim portmonetkę z kilkoma rublami, na których był wizerunek cara. „Wiesz ty kto to jest?" pyta kozak. „Wiem" odpowiada Lejman. „To i co" kozak na to „ty cara i tak nie chcesz". Zabrał Lejmanowi pieniądze, a portmonetkę oddał.

Kiedy to opowiada, psy nadstawiają uszu i nasłuchują. Widocznie często przemawia do swoich zwierząt, kiedy jest tylko z nimi. Do reportera zwraca się z jakimś wyrzutem: „Sam zostałem jak ten pies".

A jednak z życia swego jest zadowolony. Ma bowiem świadomość, że przeżył je uczciwie. To zaś znaczy najwięcej.

Polka sautée.
— Polka peu considérée. —

JAN SZTAUDYNGER

Jan Sztaudynger, poeta, prozaik i tłumacz, a także znawca teatrów lalkowych, obchodzi w rb. czterdziestolecie twórczości literackiej: W r. 1925 wydał pierwszy zbiór swych liryków pt. „Dom mój", poprzedzony przedmową Karola Huberta Rostkowskiego. Jan Sztaudynger ma w swoim dorobku kilkanaście tomów wierszy i fraszek, które zdobyły autorowi ogromną popularność.

Jego praca popularnonaukowa pt. „Marionetki" do dziś nie straciła znaczenia i wartości. Przez wiele lat po wojnie mieszkał autor w Łodzi, a obecnie dzieli swój pobyt między Zakopanem a naszym miastem. Janowi Sztaudyngerowi składamy serdeczne życzenia dalszej pięknej pracy twórczej.

REDAKCJA

FRAGMENTY WSPOMNIEŃ

MUZEUM CZY CIASTKA

Rodzice moi często się spierali. A czasem nawet godzinami ze sobą nie rozmawiali. Matka, w pełni czarująca istota, miała dziecinny zwyczaj wtrącania się w naszej obronie między nas i ojca, i tym dolewała tylko oliwy do ognia. Wtrącała się również między mnie i Jerzyka, mego młodszego o dwa lata brata. Z równie fatalnym skutkiem. Najczęstszym miejscem i tematem sporu, stale powtarzającym się, było niedzielne popołudnie po sumie w Mariackim Kościele w Krakowie. Między Kościołem Mariackim a Muzeum Narodowym w Sukiennicach.

Matka spieszyła się do domu, aby czym prędzej zjeść obiad i zwolnić służącą. Rada była zwalniać ją co niedziela, a ojciec mój, znudzony i znękany całotygodniową pracą w Towarzystwie Ubezpieczeniowym „Florianka", chciał się przespacerować po Muzeum i przyjrzeć raz jeszcze obrazom, które wprawdzie znał na pamięć, ale których nigdy nie był syty. Kusił go zarówno wspaniały Matejko, jak rozhukana „Czwórka" Chełmońskiego, zarówno Wyspiański jak maciupeńkie pejzażyki Stanisławskiego. A najdłużej może stał nad „Elenai" Malczewskiego i portretem Modrzejewskiej z psem. Czyżby kochał się w jednej albo drugiej?

Czasem zwyciężał ojciec, czasem matka. Albo mijaliśmy jak niepyszni Sukiennice, albo też wchodziliśmy uroczyści i zadowoleni na pierwsze piętro Sukiennic, aby obcować tam z naszym wielkim malarstwem.

Były przecież w Krakowie inne muzea, były wspaniałe kościoły. Nie pamiętam nigdy, aby ojciec tam z nami chodził. Szedł zawsze do Sukiennic (może to było najbliżej, ale czyżby tylko dlatego?) i upajał się na pamięć i na wylot znanymi sobie arcydziełami. Tu uczyłem się kochać obrazy i patrzeć na dzieła sztuki. Ciągłość i upór kontaktu z arcydziełami zbliżał je do nas i zarazem wiązał je z ojcem. Nigdy nie mogę pomyśleć o Matejce, Chełmońskim czy Malczewskim, aby nie pomyśleć o moim ojcu. I jeśli ojciec dostał się do raju, to nie spaceruje tam alejami drzew owocowych, ale salami Sukiennic.

Jeżeli wygrywała koncepcja natychmiastowego powrotu do domu, aby udobruchać ojca, matka wstępowała po drodze do kawiarenki na samym początku ulicy Długiej, do kawiarenki Szczawińskiego i kupowała ciastka: po dwa dla siebie, służącej, dla Jerzyka i dla mnie — dziesięć dla ojca... Rurki nazywaliśmy „rurki z panną", bo tak je kiedyś nazwał Jerzyk, myląc pianę z panną. Lubiliśmy specjalnie napoleonki, a dobry apetyt ojca wydawał nam się wtedy zupełnie oczywisty. Był o tyle od nas większy, zarabiał na te ciastka, jadł więcej...

ANDRZEJ NADOLSKI

U STÓP FALEZY

Zwierzenia archeologa

Gdy któryś z krążących ponad nami samolotów przekroczy barierę dźwięku, potężny grzmot wstrząsa szybami domów widocznych w dolinie, płoszy ptactwo po lesie i budzi długie echa wśród nachylonych nad nami skalnych nawisów. Rzadko rozmawiamy o tych nawisach, ale po każdym akustycznym wyczynie lotników spod znaku „tricolore" oczy całej naszej ekipy mimo woli kierują się ku ścianie urwiska i śledzą, czy któremuś z wapiennych bloków nie znudził się przydługi pobyt w odwiecznym łożysku.

Ekipa jest co się zowie międzynarodowa. Sześciu Francuzów, czterech Arabów z Algieru, czterech Portugalczyków, dwóch Hiszpanów, jeden Węgier i jeden Serb spod Belgradu. Do tego my trzej — Polacy, a ściślej precyzując łodzianie (co prawda dopiero powojenni). W sumie 7 narodowości na 21 osób. Istna Wieża Babel po pomieszaniu języków! Jakoś trzeba sobie radzić w tym bałaganie. Zatem z Francuzami, Algierczykami i Węgrem (trochę sfrancuziałym) mówimy po francusku. Z Serbem pół po chorwacku, pół po polsku. Hiszpanów rozumiemy po trochu (już Sienkiewicz powiedział kiedyś, że każdy Polak rozumie po hiszpańsku, tylko o tym nie wie). Najgorzej z Portugalczykami. Biedni współobywatele p. Salazara znają tylko swój język ojczysty, a i ten chyba wyłącznie w mowie. Na szczęście Hiszpanie służą nam tu jako pośrednicy.

Podobnie jak w roku ubiegłym przyjechaliśmy do Francji, aby prowadzić badania nad średniowiecznymi osadami wiejskimi. Nie wróciliśmy jednak do słonecznej Langwedocji, do winnic nad Tarnem, do karczochów zacnej Madame Lombard. Prace w Montaigut rozpoczęte przed rokiem przy naszym udziale, kontynuuje inna grupa z polskiego zespołu. Łódzkiej trójce wypadło działać w Burgundii. Załowaliśmy trochę pogodnego Południa i jego gościnnych mieszkańców, życzliwych przybyszom z dalekiej Polski. Ale zmiana ma też swoje dobre strony. Poznajemy nowych ludzi, nowy kraj. Wzbogacamy swoje doświadczenia fachowe i... niefachowe.

Doświadczenia zdobyte w Dracy (tak nazywa się miejscowość, którą badamy), są zresztą wcale osobliwe i doskonale potwierdzają to, co kiedyś pisałem o dziwnych zadaniach, jakie musi rozwiązywać biedny archeolog. Wykopaliska w Dracy obfitują bowiem w takie poczynania jak wycinanie i karczunek lasu, naprawianie drogi i budowa zagrody dla krów. Lesy tniemy i karczujemy, aby zdobyć trochę wolnej przestrzeni na założenie wykopów. Droga potrzebna nam jest do dojazdu. Krowy błąkały się po terenie prac i w końcu nie byłyby zbytnio dokuczliwe, gdyby nie zainteresowały się teodolitem. Należało zapobiec tej niepożądanej fraternizacji. Niepożądanej, bo teodolit to twór precyzyjny, zatem delikatny, a krowa — cóż, wiadomo, krowa! Choćby nawet i burgundzka.

Nie krowami zresztą i nie mlekiem słynie Burgundia. Nazwy wsi i miasteczek w naszym aktualnym, najbliższym sąsiedztwie mają nie małą wymowę dla wszystkich znawców i entuzjastów wina: Mersault, Volnay, Pommard, Beaune... A dalej: Beaujolais, Nuits-Saint-Georges, Chambertin. I klimat, i teren sprzyja produkcji burgundzkiego wina. Potężne siły kształtujące niegdyś skorupę ziemską pocięły tutejszy kraj szeregiem wielkich uskoków, tworząc kilka równoległych pasm wzgórz, biegnących mniej więcej, z południa na północ. Jeden stok każdego z tych pasm jest zazwyczaj łagodny i niewysoki, stok przeciwległy wyższy i bardziej stromy, często niesie u szczytu nastroszony grzebień wapiennych skałek, łączących się gdzieniegdzie w imponujące urwiska. Niemal pionowe zerwy tych urwisk pożłobiła woda w niezliczone kominki, szczeliny i szpary. Cały system półek, zachodzików i gzymsów dzieli ścianę na niższe i wyższe pięterka. Pod samym szczytem — zwykle pas potężnych przewieszek. Od dołu szturmuje roślinność. Mnóstwo kwitnących i pachnących ziół, krzewów, drzewinek wdziera się na szarawy wapień, pstrząc go czerwienią, bielą, złotem, fioletem, wszystkimi odcieniami wiosennej zieleni.

Nasze wykopy usytuowano tuż u podnóża takiego urwiska, czyli „falezy" (la falaise), na szczycie wielkiego, już ziemnego zbocza, łagodnie spływającego ku odległej dolinie. Za doliną ciągnie się nowy, niższy grzbiet, potem jeszcze jeden i wreszcie szeroko otwiera się ogromna nizina Saony i Rodanu, odwieczny szlak łączący kraje nad Morzem Północnym ze słonecznym światem Śródziemnomorza. Na ziemnych stokach, poniżej skałek i „falez", gdzie chłodny wiatr nie ma dostępu, a słońce przygrzewa, uprawia się winną latorośl, dumę i sławę Burgundii.

Dzisiejsza Burgundia, to, oczywiście, kraj rdzennie francuski, ale jego nazwa przypomina germańskich Burgundów, którzy w okresie Wędrówek Ludów przybyli tu ze swej odległej, może skandynawskiej ojczyzny. Nie byli właściwie najeźdźcami. Na terenach należących wówczas do państwa rzymskiego osiadali jako „sprzymierzeńcy" (foederati), czyli najemni żołnierze, którzy w zamian za ziemię oddaną im do użytkowania mieli bronić granic słabnącego Imperium przed napadem innych wojowniczych plemion. Żył wówczas (czyli w V w. n.e.) w rzymskiej Galii zamożny ziemianin, literat, z czasem biskup — Sidonius Apollinaris. Zetknął się z Burgundami w warunkach dość na owe czasy typowych. Po prostu w jego wiejskiej posiadłości rozkwaterował się oddział germańskich „sprzymierzeńców". Współżycie gospodarza, człowieka wyrosłego w atmosferze wysokiej cywilizacji antycznej i jego przymusowych lokatorów układało się nie bez zgrzytów. Jakże mogę układać wiersze, pisze Sidonius do jednego ze swych przyjaciół, „...skoro tkwię wśród kudłatej zgrai, muszę znosić germańską mowę i chwalić... to co wyśpiewuje obżarty Burgund smarujący włosy zjełczałym masłem?" Muza poezji „wygnana stąd dźwiękami barbarzyńskich lutni wzgardziła wierszem sześciostopowym odkąd widuje tych protektorów siedem stóp wysokich. Szczęśliwe twoje oczy i uszy, szczęśliwy nos, któremu od świtania dziesięć przyrządzonych potraw nie śmierdzi cebulą i wstrętnym czosnkiem, którego nie napastuje, zanim jeszcze dzień nastanie tylu naraz i tak wielkich Gigantów..."

Tu mała dygresja. Uważniejszy czytelnik bez trudu zauważy w biadaniach rzymskiego arystokraty nutę bardzo charakterystyczną, nutę wyższości człowieka cywilizowanego wobec barbarzyńskiej hałastry. Znamy dobrze tę piosenkę. Tak samo, jako bandę brudnych, wrzeszczących dzikusów malowali Indian amerykańskich liczni „biali bracia". Inni, bliżsi nam czasowo i terytorialnie ideolodzy w identycznym stylu opisywali rozmaitych niższych rasowo „podludzi". Wiadomo do jakich konsekwencji prowadziły takie poglądy. I dziwnie pomyśleć, że wśród tych, którzy je głosili mogli się znaleźć bezpośredni potomkowie lokatorów Sidoniusa, jakże pazerni pogardzonych i prymitywnych, choć przecież posiadających wszelkie europejsko-germańsko-nordyckie kwalifikacje w stopniu wystarczającym dla usatysfakcjonowania całego Ku-Klux-Klanu i wszystkich nazistów z samym Alfredem Rosenbergiem na czele.

Pozostawmy jednak na uboczu sprawy aktualne i wróćmy do dawnych dziejów, tak dalekich od dzisiejszego świata, zatem nikogo nie obchodzących i niegodnych uwagi ze strony ludzi XX wieku...

Burgundom nie poszczęściło się w nowych, zachodnich siedzibach. Ponieśli straszliwą klęskę w walce z Hunami (echo tej klęski dźwięczy w ponurych strofach Pieśni o Nibelungach), potem ulegli potędze frankońskich Merowingów. Gdy po wiekach z części frankońskiego imperium wyrosła Francja, Burgundia stała się jedną z jej wielkich prowincji. W XIV wieku król Jan Dobry dał Burgundię w lenno jednemu ze swych synów, Filipowi zwanemu Śmiałym. Pod rządami Filipa i jego następców kraj nad Saoną zrobił błyskawiczną i niezwykłą karierę. Władcy burgundzcy, zwani z czasem „Wielkimi Książętami Zachodu" wchodzą niebawem w posiadanie hrabstwa Flandrii, jednego z najbogatszych krajów ówczesnej Europy. Będąc jednocześnie lennikami króla Francji i cesarza rzymsko-niemieckiego są w istocie potężniejsi od każdego ze swych zwierzchników. W Dijon, swojej stolicy, tworzą wspaniały dwór, gromadzą licznych artystów z rozległych, a różnorodnych obszarów swego państwa. W rozstrzygający sposób wpływają na przebieg wielkich zmagań angielsko-francuskich, zwanych Wojną Stuletnią. To w ręce Burgundów, sprzymierzonych wówczas z Anglikami wpadła pod murami Compiègne Joanna d'Arc. Anglicy zapłacili ogromną sumę swym sojusznikom, aby wykupić od nich znienawidzoną „Czarownicę", której śmierć nie miała im przynieść żadnej korzyści.

Świetność „Książąt Zachodu" przetrwała zaledwie sto lat. W r. 1477, pod Nancy Szwajcarzy znieśli doszczętnie armię burgundzką. Na drugi dzień po bitwie, w zamarzniętym stawie znaleziono odarte ze zbroi, ogryzione przez wilki ciało Karola Szalonego, ostatniego władcy Burgundii. Jego państwo, bogaty, ale sztuczny zlepek krajów połączonych tylko przez wspólną dynastię, nie przeżyło swego monarchy. Część zagarnął francuski Ludwik XI, śmiertelny wróg burgundzkiego domu, reszta przypadła w udziale cesarzowi Maksymilianowi, wzmacniającemu potęgę Habsburgów.

Wieś Dracy, obiekt naszych badań nie doczekała już tych czasów. Przestała istnieć w początku XV wieku, być może nie bez udziału moru, który wówczas grasował po całym Zachodzie. Niełatwo natrafić teraz na jej ślady, ale wiemy już na pewno, iż dzięki naszej pracy spod rumowisk kamiennych, spod gąszczu leśnego, ukaże się nauce codzienne oblicze zwykłej wioski burgundzkiego średniowiecza, nie dość dotychczas dostrzegane, choć jakże ważne tło książęcych splendorów.

MIKROPORTRETY odgłosów

ANDRZEJ JAKLICZ

Jest adwokatem, lecz złośliwi mówią, że praca w sądzie stała się jego produkcją uboczną. Andrzej Jaklicz — przewodniczący Komitetu Dzielnicowego Frontu Jedności Narodu — ma na te sprawy nieco odmienny pogląd.

— Pracując społecznie — twierdzi — poznałem ludzkie problemy znacznie lepiej — głębiej i dokładniej — niż w korytarzach sądowych i na salach. Nauczyłem się „czuć" człowieka, widzieć za paragrafem serce i twarz. Osobiście jestem za tym, aby każdy sędzia, prokurator czy adwokat odbył praktykę w pracy pozazawodowej, aby potrafił — w razie potrzeby — stracić prawniczy majestat i zagłębić się w ludzkie mrowie incognito — jako zwykły, szary człowiek.

Na wszelkiego typu zebraniach komitetów domowych, blokowych i dzielnicowych mówią na niego po prostu: Jaklicz, przewodniczący Jaklicz. Jego właściwa profesja nie ma tam znaczenia. Zaufanie zdobył nie jako mecenas, a organizator życia publicznego, jako życzliwy, rozsądny doradca, sprawiedliwy rozjemca w waśniach sąsiedzkich, inicjator budowy świetlic, placów zabaw dla dzieci, czynów społecznych i akcji wychowania młodzieży.

Dużo czyta — zarówno beletrystykę jak i wydawnictwa fachowe — interesuje się teatrem i filmem, nie jest głuchy na muzykę. Nie zbiera natomiast znaczków, nie kolekcjonuje fajek i nalepek hotelowych. Jego hobby — wielkie hobby — to praca społeczna. Da je ogromną satysfakcję, i — zdaniem Andrzeja Jaklicza — wciąga mocniej niż narkotyk.

— Kto połknie bakcyla, ten przepadł częściowo dla rodziny i znajomych — śmieje się pan Andrzej. I dorzuca: ale kto nie połknie, nie pozna, co życie...

W mijającym roku dominantą dla Jaklicza były wybory. Owego dnia spędził w komisji wyborczej 20 godzin. Ponieważ wszystko przebiegało należycie, nie czuł wcale zmęczenia.

Innym, pamiętnym dla Jaklicza wydarzeniem roku był dzień, w którym jego córka zdała egzaminy wstępne na Wydział Prawny UŁ.

Lewym okiem

W ŚWIĘTA TEŻ!

Zgodnie z Konstytucją co siódmy dzień jest u nas dniem odpoczynku. Niekoniecznie niedziela. Coraz więcej jest takich zawodów, które wymagają nieprzerwanej pracy; skomplikowane procesy wytwórcze, potrzeby społeczne, usługi publiczne takie jak komunikacja, oświetlenie, bezpieczeństwo i tysiące innych — nie zezwalają na to, aby wszyscy jednocześnie krzyknęli fajrant i poszli do domu.

Ale oprócz takich dni odpoczynkowych istnieją jeszcze święta, które się „obchodzi". Są to mianowicie dni z tradycją, z mnóstwem niekiedy niedobrych, ale w znacznej większości pięknych, malowniczych, starych przekazów zwyczajowych, które rozgrzewają nas wzajemnym sentymentem i łączą we wspólnotę nadrzędną — naród.

Ludzie piszący do gazet też mają swój maluteńki zwyczaj, związany ze świętami zimowymi: świąteczne numery czasopism zapełnia się materiałem lekkim, nadającym się do przerzucenia w łóżku, z bolącą po przejedzeniu wątrobą, z zimnym ręcznikiem na czole. Połączmy więc ten zwyczaj z naczelnym tematem świątecznym — jedzeniem, nadajmy mu patynę sędziwości obracając się o czterysta lat wstecz — posłuchajcie tym razem, zamiast Cwieka, starego profesora Akademicy Krakowskiey, Andrzeja z Kobylina:

„Co zdrowszego żołądkowi, jestli karma albo picie? Odpowiedź: Picie dla swej subtylności rychlej się strawi, niż pokarm, który jest rzecz miąższa i gruba. Przeto też juchy albo polewki więcej tuczą człowieka niźli pokarmy grube. Ale zasie silniejszy bywa człowiek pożywając pokarmu, niźli picia, bowiem on dłużej trwa w żołądku a tak dłużej mocy dawa".

„Czemu po gruszkach zdrowo pić, a nie po jabłkach, jako pospolicie mówią: po gruszce się napić, a po jabłku miłą obiapić? Bowiem gruszka sama w sobie jest natury grubej a ciężkiej, dlatego też nie pływa na wodzie, i nie tak rychło rozewre jak jabłko. Ale jabłko ma samo w sobie wilgoty dosyć, przeto inszej mało potrzebuje, tylko zagrzania niejakiego dla zimności przyrodzonej. Ale iż wesele zagrzewa serce i też wnątrzności, przeto po jedzeniu jabłek słusza wesołym być, zwłaszcza miedzy paniami, których to jest przyrodzenie, ludzie podweselać a cieszyć".

„Czemu od zbytniego jedzenia fig wszy się mnożą? Odpowiedź: Bowiem owoc figowy rychło się zagnije, takież ma własność wywodzenia z wnątrza wilgości skażonej aże pod skórę, z której się wszy zalągają. Pisze też Awicenna, iż kto chce mieć cudną krasę na twarzy, pożywaj często fig, bowiem one wywodzą krew z wnątrza za skórę, a tak ciało będzie rumiane".

Jak widzimy w szesnastowiecznym Krakowie istniały już delikatesy z owocami importowanymi w ramach transakcji wiązanych za dolary. Zamożnym drenowano kabzę, reklamując kosmetyczną właściwość fig, niezamożnym zostało na pociechę, że przynajmniej wszy ich nie zjedzą. O kosmetyce zresztą inaczej niż dziś mniemano!

„Po farble też nosa może być obyczaj poznawan, jako nos biały trzeźwego, a dobrze bacznego człowieka znamionuje, ale mylego przyrodzenia, tak zasię nos zawsze czyrwony, posiniały, albo też czyrwonością zepstrzony ukazuje człowieka uczciwego, to jest wytornego pijaka, iż sobie nie da suknie zedrzeć, gdy go proszą na cześć, bowiem taki bywa zawsze pragnący dla gorącości wątroby, też bywa gamratny i psotliwy".

W tym miejscu panowie wyciągają lusterka i licytują się, czyj nos bardziej czyrwony. Co myśmy narobili, mistrzu z Kobylina? Prędko jakąś pozytywną sentencję! O, proszę:

„Komu z ust wonia nie źle, znamionuje człowieka we wszem miernego, mądrego, rozumu dobrego, tajemnika wiernego, który się rad w cudnych rzeczach kocha, rychło wierzący a na wszystko obrotny bywa".

Myjcie więc zęby! W Święta też, zwłaszcza, że przecież będziemy jeździć zatłoczonymi tramwajami z obiadu na obiad i całować się z dubeltówki z ludźmi, o których istnieniu dziś nawet nie wiemy.

Wesołych Świąt!

CWIEK

LECH UTRACKI

SPEC NA BIAŁE

Na Żoliborzu, niedaleko Teatru „Komedia", jest blok o wielu klatkach schodowych, o kilkudziesięciu mieszkaniach i stu kilkudziesięciu mieszkańcach. W bloku tym mieszka pan Aleksander Ruszczyński.

Mieszkanie nieduże, nie odznacza się niczym szczególnym. Może jedynie ten nieuchwytny zapach zasiedziałego „dobrego domu", na który składa się woń perfum, pasty do podłóg, tytoniu i diabli wiedzą czego; może jedynie biurko pokryte płytą pilśniową czy galeria dyplomów i medali („Ob. Aleksandrowi Ruszczyńskiemu za otrzymanie złotego medalu na Krajowej Wystawie Filatelistycznej w Warszawie w 1957 roku za komplet znaczków o tematyce lotniczej...") lub wiszący na centralnym, honorowym miejscu nad biurkiem, pośrodku pożółkłych, owalnych fotografii rodzinnych, nieco sfatygowany 500-złotowy banknot z górnikiem.

Jest wieczór. Pokój, w którym rozmawiamy oświetla stojąca w rogu biurka lampa. W padającej z drugiego pokoju smudze światła widnieją jasne, kolorowe grzbiety nowo wydanych, znajomych książek. Z drugiej strony, na stoliczku przy oknie rozpościera się mała dżungla egzotycznych roślin.

Przez przypadek, niespodziewanie dotarłem do tego mieszkania i choć nie miałem pojęcia, jak cudowny wieczór przyjdzie mi przeżyć, mimo to, dzwoniąc do drzwi odczuwałem wyraźną tremę.

Tremę? Tak. Jak mi mówiono, pan Ruszczyński był ostatnim z wielkich jubilerów polskich. Najlepszy w kraju specjalista od diamentów i kamieni szlachetnych, człowiek, który zawód swój traktował z nabożeństwem, miłością i znawstwem, wciąż był wyrocznią w sprawach wątpliwych i spornych.

— Proszę dalej, niech pan wejdzie i rozgości się.

Przyglądałem mu się z ciekawością. Siedliśmy przy biurku. Był to starszy pan, nieco przygarbiony, w jedwabnej piżamie w zielono-niebiesko-białe paski („Tak pala w tych kaloryferach, jakby nie mieli co robić z węglem"). Ruchy miał szybkie, gesty rak krągłe i eleganckie, twarz miłą o kilku głębokich zmarszczkach oddzielających od siebie gładko wygolone podbródek i policzki. Niebieskie oczy patrzyły uważnie i młodo.

— Mam 81 lat — rozpoczął rozmowę — ale zawsze lubiłem sporty. Dzisiaj jeszcze mogę wypić przez wieczór niejeden kieliszek, lub grać w karty do rana. Zdrów jestem jak byk i nigdy, poza tym, gdy byłem ranny na froncie w 16 roku, ale to się nie liczy, nie chorowałem. Jestem już na emeryturze. Wykształcenie mam prawnicze, ale nigdy nie praktykowałem — mach nął ręką. — W 1905 roku zdałem egzamin na dyplom czeladnika jubilerskiego. Może pan sobie wyobrazić co to była za konsternacja, kiedy w mundurze studenta Uniwersytetu Warszawskiego zjawiłem się na posiedzeniu Jubilerskiej Komisji Cechowej. Zawsze, do dziś, lubiłem coś sobie podłubać. Nasz interes istniał od 1882 roku, początkowo ojciec prowadził sklep i warsztat jubilerski „Pod Filarami" przy Placu Teatralnym w Warszawie wspólnie z Mankielewiczem. To był największy zakład jubilerski w Polsce swego czasu. Gdy w 1911 r. umarł Mankielewicz otworzyliśmy swój własny sklep na Marszałkowskiej pod 145. Wkrótce wybuchła wojna...

— Mówi pan o pierwszej wojnie? — spytałem.

— Tak, oczywiście. Oczywiście o pierwszej. Interes trzeba było zlikwidować, towar wywieźliśmy do Moskwy, a ja zgłosiłem się do wojska na ochotnika.

— Widzi pan — odezwał się po chwili przerwy — mieliśmy żyłkę do sportu. Ojciec mając 75 lat jeszcze brał udział w zawodach łyżwiarstwa figurowego jako sędzia i zawodnik. Miałem nawet gdzieś gazetę wiedeńską z jego fotografią i artykułem na całą stronę: „Najstarszy wyczynowy łyżwiarz świata", napisany z okazji międzynarodowych zawodów łyżwiarskich w Wiedniu, na których ojciec sędziował. To zresztą było przyczyną jego śmierci; złamał nogę i w czasie leżenia przyplątało się, jak to się często zdarza, zapalenie płuc...

— Ale wróćmy do 14 roku. Otóż dotąd próbowałem już wszystkich sportów poza lotnictwem — na prywatną kieszeń było za drogie, teraz skorzystałem z okazji. W lotnictwie brakowało im szoferów. Zgłosiłem się więc na kierowcę dowódcy eskadry lotniczej w Jabłonnie, hrabiego Szeremietiewa. Po dwu latach koledzy z eskadry wyuczyli mnie latać i zostałem pilotem. Dzisiaj zabawne i nie do wiary wydają się tamte pierwsze lata lotnictwa, pierwsze walki w powietrzu... Początkowo mieliśmy aparaty Farman-16. Na pewno ich pan nigdy nie widział, nawet na zdjęciu. Miały szybkość 70 km/godz., więc gdy szybkość wiatru była, powiedzmy 80 km/godz., nie można było wylądować — ląduje się pod wiatr, a przy takiej szybkości wiatru nie było można podejść do lądowania! Co to były za czasy... W czasie powstania zginęły mi wszystkie zdjęcia. A pan gdzie spędził powstanie?

— Nie brałem udziału w powstaniu. Byłem daleko od Warszawy — zawstydziłem się.

— Pokazałbym panu zdjęcia z tamtych czasów. Miałem dużo zdjęć kolegów zupełnie na węgiel spalonych... Widzi pan to były lekkie aparaty — listewki, płótno i druty. Główny ciężar stanowił silnik i baki z benzyną. Wiele razy widziałem, jak aparat runął na ziemię, rozsypał się w drobny puch, a po chwili rozgarniając szczątki wynurzał się pilot z zadrapaniem na policzku. Tak było, jeśli benzyna nie wybuchła. Ale bak był przecież na wierzchu, silnik na wierzchu i wystarczyło, by kropla benzyny padła na gorący silnik, a następował wybuch. Wtedy nie było ratunku. Człowiek spalał się na węgiel nawet w odległości pięćdziesięciu metrów. W tamtych latach tak wiele było wypadków, że Zarząd Miasta Odessy zwrócił się do dowództwa stacjonującej tam szkoły lotniczej, by założyli sobie swój cmentarz — na miejskim brakowało już miejsca dla cywilów.

— Jeśli lotnictwo było tak niebezpieczne, to chyba nie było wielu chętnych do tej formacji? — zapytałem.

— Proszę pana, wręcz przeciwnie. Kandydatów było znacznie więcej niż wakansów w eskadrach. Zwłaszcza kawalerzyści pchali się drzwiami i oknami. Lotnictwo w czasie wojny pozycyjnej, to były wygodne kwatery kilkadziesiąt km za frontem, dobre wyżywienie, duże pensje, czyste wojowanie, do tego dochodziła atrakcja samego latania... Proszę pana, prócz tego za 6 godzin lotu poza linią frontu w ciągu miesiąca płacono extra 200 rubli. To był pieniądz! A to przecież nie było trudne uzbierać przez miesiąc tych 6 godzin. A z drugiej strony jak wyglądała wojna piechoty? Szczury, wszy, gangreny, odmrożenia, ciągłe babranie się w błocie i śniegu. Trudno sobie wyobrazić jak wiele było odmrożeń nóg. Nie było dobrych butów, nie było wygodnych okopów. Żołnierze owijali nogi szmatami, w okopach była woda, szmaty przemakały. W nocy przychodził mróz i po dwu nocach, przymarzania do ziemi ludzie odmrażali się po kolana. Sam widziałem podczas walk nad Bzurą i Rawką w 1915 r. takie sine nogi przekłuwane na wylot przez sanitariusza, bez żadnej reakcji chorego....

— Kiedy poszliśmy na front pod Łuckiem, dostaliśmy inne ciężkie aparaty: czterokołowe, dwupłatowce Voisin. Miały one już szybkość 130 km na godzinę, a zasięg do 600 km. Co miały dobre to to, iż silnik był z tyłu i chronił plecy. Były to samoloty stare, wycofane już z frontu francuskiego, które sprzedawali nam nasi sprzymierzeńcy za grube pieniądze. Silnik rotacyjny — gwiaździsty typu Gnom, był smarowany olejem rycynowym; rzygało się okropnie.

— W 1916 r. — powoli z namysłem opowiadał pan Ruszczyński — szykowała się poważna ofensywa generała Brusiłowa. Podczas przygotowań należało zrobić zdjęcia węzła kolejowego we Lwowie. Było to powiązane z ogromnym ryzykiem. Lot 200 km w głąb terytorium nieprzyjacielskiego, powolne przelatywanie nad bronionym przez ogień naziemny obiektem, powrót... Trzeba było dołożyć montować specjalne dodatkowe zbiorniki na paliwo, a niech się coś stanie po drodze. Dowódca zebrał nas wszystkich i zaproponował lot na ochotnika: ogłosił, że ochotnik dostanie awans na oficera, a jeśli jest już oficerem, awans o dwa stopnie. Na dodatek przyobiecał żołnierzowi krzyż św. Jerzego lub order św. Jerzego, jeśli to oficer A odznaczenia były związane z otrzymywaniem stałej, dość wysokiej pensji. Zgłosiłem się z kolegą. Mieliśmy lecieć następnego dnia. Ordynansi zbudzili nas o drugiej. Maszyna była przygotowana, zbiorniki dodatkowe przymocowane, benzyna zatankowana, lecz pułap był niski i nie było po co lecieć. Poszliśmy spać. Kiedy obudziliśmy się ponownie o piątej była piękna pogoda i postanowiliśmy lecieć natychmiast.

— W tamtych czasach latało się na pułapie 1500 do 2000 metrów. Wyżej nie dawało rady z powodu rzadkiej atmosfery, niżej było niebezpiecznie — ogień naziemny i dziury powietrzne. Wysokość pułapu osiągało się przez długie krążenie nad lotniskiem. Kiedy owego dnia uzyskaliśmy już pułap 1500 m i naprowadzaliśmy aparat na kurs zobaczyliśmy nagle cztery samoloty: jedną dużą maszynę wywiadowczą eskortowaną przez trzy myśliwce. Byli to Niemcy. Mieli nad nami około 200 m przewagi wysokości. Gdy nadlecieli nad lotnisko, dwa myśliwce odłączyły się od klucza — pozostałe dwa samoloty niezmiennie kontynuowały lot w głąb naszego terytorium. Musieli mieć jakąś ważną misję do spełnienia. Tymczasem dwa myśliwce zaatakowały nas. Mieli zwrotne, szybkie maszyny, było ich dwóch, mieli przewagę wysokości... Nasz aparat był nieruchawy, ciężki, jedynie plecy mieliśmy chronione silnikiem. Jeden Niemiec umieścił mi się za ogonem, drugi ze trzydzieści metrów nade mną. W pewnym momencie widzę, jak odchyla klapę luku w podłodze i wystawia karabin maszynowy. Gdyby mi dzisiaj pokazano 500 ludzi poznałbym tę twarz. Myśmy też mieli karabin maszynowy, ale przymocowany w przodzie i w naszej sytuacji zupełnie nieprzydatny — ani razu z niego nie wystrzeliłem. A tamci prażą do nas z tyłu i z góry. Co próbuję manewru to oni go z powodzeniem powtarzają. Pożegnaliśmy się z życiem. W pewnej chwili czuję, że linki sterowe mamy przestrzelone i bezwładnie walimy się w dół. Z 1500 metrów spada się długo. Wtedy nie ma nic do roboty. Można zgasić silnik i... czekać. Nie ma żadnej szansy: w owych czasach nikt o spadochronach nawet nie słyszał. Lecimy w śmierć. Linki świszczą coraz głośniej. W pewnym momencie, tak jak kartka papieru rzucona w powietrze zachybocze i na chwilę ustawi się równolegle do powierzchni ziemi, by znów gwałtownym ślizgiem runąć w dół, tak nasz aparat na pięćdziesiąt metrów nad ziemią wypoziomował i na skrzydło zwalił się na ziemię. Huk, trzask i... obudziłem się po kilku godzinach w szpitalu; zresztą byłem przekonany, że na drugim świecie. Siostry szpitalne, biel... to było zupełnie coś nowego. Jak się okazało przy upadku z 1500 metrów złamałem dwa żebra o bok łódeczki oraz ściąłem 8 przednich zębów o karabin maszynowy. Dosłownie ściąłem. Korzenie służyły mi jeszcze dwadzieścia lat; nosiłem na nich pięknie na śrubki wstawione zęby. To również dlatego, że nie mogłem wydobyć ze siebie głosu, sądzę, że jestem na drugim świecie, u Piotra.

— A pański kolega?

— Och, ten został wyrzucony z samolotu, przebiegł dziesięć metrów i rymnął na pysk w koniczynę. Zadrapał sobie policzek — roześmiał się. — Nie zawsze jednak tak dobrze się kończyło. Z pilotami austriackimi mieliśmy gentelman agrement — nawzajem nie strzelaliśmy do siebie nad lotniskiem, ani nie rzucaliśmy na nie bomb. Gdy zestrzeliliśmy któregoś z nich, lub gdy uległ wypadkowi, zawiadamialiśmy macierzyste lotnisko. Znaliśmy się wtedy wszyscy i wiedzieliśmy, który jest skąd. Leciało się wtedy nad odpowiednie lotnisko, pomachało się skrzydłami i rzucało list z dziesięciometrowym kolorowym ogonem o barwach narodowych — my rosyjskich, oni austriackich. W takiej to misji wystartowali na „lot spacerowy" (tak to nazywaliśmy wówczas) „Ojciec Duchowny" z towarzyszem pilotem; nie pamiętam już kto to wtedy z nim leciał. „Ojciec Duchowny" miał 18 lat, wybierał się do seminarium duchownego i był najmłodszy z trzech braci — wszyscy zginęli w mojej eskadrze. W czasie tamtego lotu „Ojciec" siedział z tyłu. Łódeczki były wówczas płytkie, po pas, pilotowi przy nogach grzechotały bomby i pudła z amunicją do karabinu maszynowego. Wszystko musiało być pod ręką. Los maszyny był losem pilota. To był piękny poranek. Wszyscy wyszliśmy obserwować ich start. Widzieliśmy jak powoli krążąc nabierają wysokości... Nagle, gdy byli na jakichś 500 m wpadli w dziurę powietrzną i maszyną tak gwałtownie szarpnęło z trzydzieści metrów w dół, że „Ojciec Duchowny" został formalnie wyrwany z fotela w górę.

— Jak to, nie byliście nawet przypasywani do fotela? — zapytałem.

— Ależ tak, ale to znacznie krępowało swobodę ruchów i mało kto stosował. „Ojca" wyrzuciło w górę. Ten, który siedział na pierwszym fotelu złapał go za nogi. A musi pan wiedzieć, że do lotów nosiliśmy walonki. Wie pan co to jest? Takie duże luźne filcowe buty. Gdy pilot złapał „Ojca" za walonek, ten został mu w ręku a „Ojciec" na chwilę wylądował na górnym płacie, po czym zsunął się na bok i runął w dół. Widzieliśmy to dokładnie w czystym powietrzu poranka. Widzieliśmy jak spadał bezwładnie z tych 500 m. Trwało to w rzeczywistości sekundy — nam wydawało się, że leciał godziny. Spadał tak piekielnie wolno... Wreszcie trzasnął na wznak o ziemię, odbił się z 5 metrów i znieruchomiał. Kiedy doń przybiegliśmy miał tylko trochę krwi pod nosem. Nic więcej, żadnego innego śladu śmierci. Ale całe ciało mógłby pan nawinąć na szpulkę do nici — jedna kosteczka nie została mu cała.

— W tamtych latach maszyny były cenniejsze niż ludzie — smutno kontynuował mój rozmówca. — Tak samo zresztą jak w 39, kiedy zgłosiłem się wraz z kilkuset innymi pilotami by usłyszeć: „Niech pan przyjdzie za dwa tygodnie. Na razie nie mamy samolotów". A za dwa tygodnie było już po wszystkim. W czasie tamtej wojny miałem kolegę, który rozbił pod rząd trzy maszyny. Zawsze wychodził bez szwanku. Raz trafił w jedyną, samotną gruszę stojącą w szczerym polu, to znów ściął róg cmentarza, przy którym stacjonowaliśmy i wyjechał na kółeczkach w łódeczce z drugiej strony... Po trzecim razie woła go dowódca i mówi: „Panie Korowin, z pana jest świetny pilot ale pan nie ma szczęścia a ja nie mam aparatów. Idź pan do piechoty, albo do kawalerii czy do stu tysięcy diabłów, bo mi pan tu wszystkie samoloty wytłucze".

Rozumiałem teraz skąd biorą się te zdjęcia panów w sztylpach, w skórzanych spodniach, w kurtkach i pilotkach z uszami, zbieranie znaczków o tematyce lotniczej i książka na biurku „Z dziejów ludowego lotnictwa". Czas, bujny czas młodości, kiedy bogaci młodzieńcy hulali, latali, ginęli. Kiedy życie bliskie granicom istnienia miało nieodzyskaną już nigdy więcej intensywność i smak hazardu.

Czy pozwoli mi pan zadać jeszcze jedno pytanie?

— Ależ proszę bardzo — roześmiał się mój gospodarz.

— Czemu zawiesił pan tu w ramkach ten 500-złotowy banknot?

— Ach, zauważył pan. Otóż moją szczęśliwą cyfrą jest siódemka. Niech pan spojrzy: banknot ten ma numer 7778777! Wisi tu już od lat. Niestety, jak dotąd szczęścia mi nie przynosi. Gram na loterii państwowej, od dawna i bez skutku...

MIKROPORTRETY odgłosów

HENRYK DEBICH

Henryk Debich ma 44 lata. Wygląda na 35 + jeden rok za pasemka siwych włosów. Muzyka zajmuje się już od wczesnej młodości. Grał na puzonie, trąbce, saksofonie, prowadził małe zespoły rozrywkowe, a debiut radiowy „odbył" w 1938 roku — zastępował wówczas chorego ojca (dyrygował orkiestrą symfoniczną).

Redakcję muzyczną Łódzkiej Rozgłośni PR objął dokładnie piętnaście lat temu — po znakomitej kompozytorce — Franciszce Leszczyńskiej. Od tego czasu Orkiestra Radiowa powiększyła się trzykrotnie, a jej dyrektor osiągnął imponującą wiązankę sukcesów. Honorowa Odznaka Miasta Łodzi, Krzyż Komandorski Odrodzenia Polski, Złoty Krzyż Zasługi, Nagroda Ministra Kultury i Sztuki oraz w 1965 roku, Nagroda Komitetu do Spraw Radia i Telewizji. To jeszcze nie wszystko...

Debich zdobył popularność. Wielką popularność. Z koncertów radiowych, telewizyjnych i estradowych zna go cała Polska. Dyrygował wszystkimi wielkimi orkiestrami rozrywkowymi i symfonicznymi w kraju — łącznie z Filharmonią Narodową. Ambasador łódzkiej muzyki został z czasem ambasadorem Polski — dyrygował zespołami estradowymi — NRD, NRF, CSRS, Rumunii, Węgier, Belgii i Holandii, zdobył uznanie krytyki zagranicznej i sympatię odbiorców.

Co było największym przeżyciem Debicha w roku 1965?...

— Dwa tygodnie temu po raz pierwszy zasiadł na widowni Debich—junior, siedmioletni następca tronu, dyrygujący na razie nieprawdziwą orkiestrą z kukiełek, ale grający już na prawdziwym, czarnym fortepianie. Senior miał wówczas kolosalną tremę i ponoć — to było jego największym przeżyciem nie tylko w 1965 roku ale w całej karierze muzyka.

Mały Debich bił ojcu gorące brawa. To nie mało. Charlie Chaplin twierdzi przecież, że najtrudniej zarobić artyście na uznanie rodziny.

HERBERT EISENREICH

PRZYJACIELE MOJEJ ŻONY

Wczoraj był znowu jour fix. Moja żona nazywa każde przyjęcie wydane podczas dnia jourfixem, co przecież jest błędem — wprawdzie „jour" znaczy dzień, a „fix" coś stałego, to jednak rozumiemy przez to stały dzień przyjęć, np. każdy czwartek lub każdy pierwszy wtorek miesiąca. (Wieczorne przyjęcia nazywa parties, to znaczy poprawnie, a wspominam o tym tylko dla ścisłości). Wczoraj, to jest w sobotę, moja żona urządziła więc znów jour fix i poza jej koleżanką z biblioteki i panem Torbi, stawili się w komplecie jej znajomi: pan Torbi, oczywiście, i wszyscy pozostali, którzy są aktualnie na tapecie, to znaczy Max Knoll, Willi Kostranek, Max Gatterbauer, Franz Uckel, i, naturalnie, literat Peter Siegl, ozdoba towarzystwa. Nie wiem dotąd, co napisał pan Siegl, a i moja żona nie mogła, niestety, zaspokoić mej ciekawości. Wiem tylko tyle, że całymi dniami przesiaduje w kawiarni i czeka na partnera do szachów (który mógłby przy okazji postawić dwa jajka w szklance po wiedeńsku lub parówki). Wczoraj miał na sobie czarną koszulę, jaką nosili swego czasu faszyści, a gdy ktoś wspomniał o tym, powiedział: „Tylko głupcy noszą jasne koszule, można je nosić najwyżej cztery, do pięciu dni" — osobiście zmieniam codziennie, ale robię to ze względu na moją klientelę, chociaż i dla siebie samego — „praktycznie można używać czarnej koszuli bez końca. Wystarczą mi teraz w zupełności dwie: noszę tak długo jedną, póki nie odbiorę drugiej z pralni". Mówiąc to drapał się przy tym bezceremonialnie pod pachami, powyżej kolana, po karku, a nawet w okolicach brzucha, ja zaś myślałem: „Gdybym się tak zachowywał — jestem mianowicie komiwojażerem, o tym jeszcze nie wspomniałem — gdybym tak się zachowywał w obecności moich klientów, przepadłbym z kretesem". Pewnego razu, będąc u nas, ściągnął nagle lewy but i skarpetkę i końcem ostrza scyzoryka zaczął manipulować wokół dużego palca, „coś mnie swędzi", pomrukiwał, a ja sobie pomyślałem — „pewnie brud". Wieczorem rozmawiałem z Gitką — takie ma imię moja żona, wyrażając się ściślej — nazywa się Brygida, ale lubi, żeby mówić do niej Gitka, co brzmi jakoś weselej i nowocześniej — więc wieczorem rozmawiałem z Gitką o tym zdarzeniu i powiedziałem wprost, że zdejmowanie buta i skarpet łącznie z oglądaniem dużego palca w obecności damy nie należy do wytworności. Popatrzyła na mnie z góry i rzekła tylko tyle: „Artyści muszą być tacy". Jednym słowem, gdy przychodzi pan Siegl, muszę być przygotowany na najgorsze. Chociaż wczoraj zachowywał się względnie przyzwoicie.

Za to pan Knoll zachowuje się nienagannie. Pan Knoll jest wdowcem pod sześćdziesiątkę, który z tytułu różnicy wieku uważa się za starszego przyjaciela mojej małżonki. Jeszcze do niedawna zajmował się ujeżdżaniem koni w jakimś majątku, ale z powodu choroby przeszedł wcześniej na emeryturę. Moja żona nazywa go pieszczotliwie „Knolkiem", a ponieważ na wszystko jej pozwala, wygaduje o nim niestworzone historie. Z racji uprawianego zawodu stykał się z takimi sprawami, jak hodowla koni albo nakrywanie klaczy. Toteż opowiada o tym drobiazgowo i rozwlekle, śliniąc się przy tym obficie, często powraca do tych tematów, chociaż mam wrażenie, że nikogo to nie interesuje, bo nikt ze znajomych żony nie ma wykształcenia rolniczego, a moja żona gardzi wszystkim, co jest związane z rolnictwem (naturalnie, oprócz pana Knolla, lecz ten jest już przecież na emeryturze). Natomiast żona moja odczuwa pociąg do rzeczy wyższych: kultura jest dla niej wszystkim. W tej dziedzinie nie mogę z nią konkurować. Chodzę wprawdzie z przyjemnością tylko do teatru — to jest, ze względu na mój zawód, niezła rzecz, bo człowiek nie potrzebuje mówić i przysłuchuje się, jak inni za niego gadają, i można w to wierzyć albo i nie. Ale do czytania to już nie jestem taki chętny, chociaż mamy dostęp do literatury: moja żona pracuje bowiem w bibliotece i może wypożyczać do woli. Dlatego chyba czyta tak dużo. Jest przy tym oszczędna i pewnie myśli sobie, że szkoda tracić takiej okazji, jak można za darmo wypożyczać książki. Do teatru nie bardzo lubi chodzić, gdyż powiada, za dużo traci się czasu na przebieranie i na podróż, a zresztą wszystko jest wydrukowane, można przeczytać w domu leżąc w łóżku. Nie znam doprawdy tak oszczędnej kobiety jak ona, mimo to nie jest wcale skąpa, a w ogóle ma bardzo dużo zalet i jestem szczęśliwy, że się z nią ożeniłem, bo to z ożenkiem bywa rozmaicie. Daję słowo, nie mogę się uskarżać. Denerwują mnie tylko jej przyjaciele. Ale proszę mnie dobrze zrozumieć! Słowo „przyjaciel" czy „przyjaciółka" jest teraz bardzo dwuznaczne. Gdy wspominam przyjaciół mojej żony, to wcale nie mam na myśli jakichś spraw erotycznych, czy za pozwoleniem, seksualnych, lecz prawdziwą przyjaźń, o czym świadczy choćby to, że ze wszystkimi jest per pan, z wyjątkiem Willego Kostranka, ale to już ja spowodowałem. Willi Kostranek jest mianowicie moim przyjacielem z lat szkolnych i pracuje od niedawna w tej samej branży co ja. Jestem — o tym jeszcze nie wspominałem, nie, już mówiłem — otóż jestem komiwojażerem na miasto, podczas gdy mój przyjaciel Willi trzy tygodnie w miesiącu jest w drodze, margaryna i tym podobne rzeczy: stuprocentowy interes, nie potrzebuje się wysilać, przyjmuje tylko zamówienia. Ja muszę się dobrze napocić, ale jestem za to na miejscu, wiadomo przecież, jakie są na prowincji hotele, czasem wypadnie wesele z orkiestrą dętą, albo rżną w karty i do drugiej w nocy nie można zasnąć, a zimą wieczorami jest piekielnie gorąco, rano, gdy się człowiek chce umyć — lodowato, jedzenie obrzydliwie tłuste, pieką i smażą na smalcu, a w ogóle by mi obrzydła taka cygańska włóczęga przez trzy tygodnie w miesiącu. Chyba dlatego rozbiło się małżeństwo Willego, bo też trzy tygodnie w miesiącu nie było go w domu. U nas jest dzięki Bogu inaczej: mam przedstawicielstwo na miasto pewnej angielskiej firmy, na drzwiach mieszkania przybiłem pod tabliczką z moim nazwiskiem srebrny szyldzik firmy i tak wygląda, jakby w moim dwupokojowym mieszkaniu mieściła się firma. Oddzielnie, znaczy się, moje nazwisko, a dopiero pod nim nazwa firmy. A więc moim terenem działania jest tylko miasto — odwiedzam przeważnie krawców, ale powoli wydeptuję sobie piękne ścieżki i do przedsiębiorstw, co pachnie już niezgorszym zarobkiem, chociaż te sprawy nie należą już do tematu. A w ogóle to mi się wydaje, że nie potrafię interesująco opowiadać, mimo że przez cały dzień muszę parlować. Właściwie chciałem tylko powiedzieć, że bardziej odpowiada mi teatr, natomiast żona moja przepada za książkami. „Książka jest skarbnicą kultury", taki napis wisi w oknie biblioteki żony i ile razy odwożę ją do pracy — pracuje od 10 do 7, odwożę ją przed południem i przywożę wieczorem, jak się ma samochód, to nie ma z tym kłopotu — więc ile razy tam jestem, odczytuję ten napis i myślałem nawet, że ona go wymyśliła, a kiedyś powiedziałem, że powinno być „ostoją kultury". Spojrzała na mnie z pogardą i rzekła: „napis jest dobry, wymyślił go pan Siegl, a Peter Siegl wie najlepiej, pisał takie slogany dla różnych firm i wie doskonale, jak się to robi". Ależ się zagalopowałem, proszę mi wybaczyć, miałem przecież opowiadać o panu Knoll. Otóż pan Knoll znowu się popisał, wczoraj to było. Już nie pamiętam, jak do tego doszło, dość że z właściwą sobie dokładnością, śliniąc się obficie, powiedział tak: „Kobieta powinna być bardzo ostrożna, gdy kąpie się w wannie. Nie można przecież wykluczyć, czy przed nią nie kąpał się jakiś mężczyzna i gdy wanna nie została dokładnie spłukana — co prawda nie jest mi znany taki wypadek — może się zdarzyć, że pozostałe w wannie resztki nasienia, mogą zapłodnić kąpiącą się kobietę". Było to bardzo niesmaczne, ale powtarzam tylko, żeby pokazać, co to za człowiek, ten pan Knoll.

Drugi z przyjaciół mojej żony to pan Gatterbauer, młody architekt, który pisuje artykuły do gazet. Z tych artykułów sklecił książkę pod tytułem „Lepiej mieszkać, szczęśliwiej żyć" i książka ta, naturalnie, znajduje się w bibliotece mojej żony, gdzie go właśnie poznała w czasie pewnej uroczystości. Pan Gatterbauer zdaje się być ogromnie utalentowany, ale nie umiem tego osądzić, chociaż jak się go słucha, to człowiek zadaje sobie pytanie, jak mógł on napisać tę książkę. Nawiasem mówiąc, chciał dać inny tytuł, coś związanego z funkcją, strukturą i tego rodzaju słowami i ciągle jeszcze jest wściekły, że wydawnictwo zmieniło mu tytuł. Być może, że dawniej ten pan był mądrzejszy, i dopiero ta wściekłość odebrała mu resztki rozsądku. Wyraża się mniej więcej tak: „Skłonność do udzielania gościnności. W każdym wypadku funkcjonalizm. Dla przykładu małżeństwo. Albo — wszechświat jako taki Zawsze w systemie koordynatów przenoszonych i przenoszących. Jak nasza obecna rozmowa. Architektura jako przeciwieństwo form. Bezcelowość izolacji" — a czasem gada jeszcze dziwaczniej, że nie mogę zupełnie zrozumieć i po dwóch trzech słowach wciąga nosem powietrze. No, gdybym spróbował coś takiego zademonstrować moim klientom! Wszystko jest dla niego architekturą i jeśli rozmowa zejdzie na sport lub samochody, wciąga zaraz nosem powietrze i powiada: „Najlepszy to dowód. Immanentna kongruencja ze wszystkim. Elementarna architektura". Jednym słowem, to najnudniejszy człowiek, jakiego znam. Będąc czasem w jego towarzystwie marzyłem (naturalnie potajemnie), aby zdjął wreszcie but i skarpetkę i zaczął manipulować ostrzem scyzoryka wokoło dużego palca. Ale nie — on tylko gada. I tylko o architekturze. I posługuje się przy tym najbardziej wyszukanymi słowami, odwrotnie niż pan Siegl, który nigdy nie mówi o literaturze, lecz o rozmaitych machinacjach w środowisku literackim, używając takich wyrażeń, które krępowałbym się tutaj przytoczyć (choć w gruncie rzeczy nie jestem aż takim świętoszkiem) Pan Siegl wie zawsze dokładnie, kto kogo wykończy lub zaproteguje, kto przeciw komu intryguje i kto komu się podlizuje. Wstawią do repertuaru jakąś sztukę, pochwalą książkę, nagrodzą autora, już pan Siegl mówi o kombinacjach, a czasem nawet o terrorze. Gdy tak przysłuchuję się temu, to dziękuję zawsze Panu Bogu, że nie zostałem literatem, lecz komiwojażerem, mimo że to jest też ciężki kawałek chleba. W każdym razie dla mnie. Lepiej wiedzie się Willemu Kostrankowi z tą jego margaryną. Ale i tak narzeka i wzdycha, jeśli nie wspomina właśnie swoich wyczynów bohaterskich podczas wojny. Willi jest niski. Ja także jestem stosunkowo niski, ale to nie rzuca się tak w oczy, bo moja żona jest jeszcze niższa. Byliśmy z Willim najniżsi w klasie, jednak Willi jest zdecydowanie brzydki, ma za dużą głowę na szczupłym tułowiu prawie bez szyi. W klasie był drugim uczniem, ambitny do szaleństwa, w wojsku dosłużył się chorążego i chyba prawdą jest, że był kilka razy odznaczony. I ciągle o tym teraz mówi, odkąd porzuciła go żona — bez mała rok temu uciekła z synem restauratora. Spotkałem go na krótko przedtem i zabrałem zaraz do domu na kieliszek likieru, spędziliśmy wówczas miły wieczór, aż nagle, po ucieczce żony, zaczął opowiadać wyłącznie o swoich bohaterskich czynach w czasie wojny i rozprawiał tak płynnie, jak uczeń przed profesorem. Przypominał mi wtedy tego Willego sprzed dwudziestu lat — i gdy tak opowiadał, to dopiero spostrzegało się jego brzydotę. Nie mogę teraz uwierzyć, że był on kiedyś moim przyjacielem.

No, w każdym razie jest on teraz przyjacielem mojej żony tak jak pan Torbi i pan Knoll, a także pan Uckel, który aktualnie jest najmłodszym przyjacielem mej małżonki. Pan Uckel jest studentem filozofii, ale wydaje się jakby się tego wstydził, ciągle też próbuje przekonać wszystkich o swoich praktycznych uzdolnieniach. W ten sposób uszkodził lub zniszczył w ciągu ostatniego półrocza w naszym domu: malowanie olejne w łazience, szybę w moim samochodzie, odkurzacz, kłódkę przy drzwiach piwnicy, ikonę, którą swego czasu przywiozłem z Rosji, a nie dalej jak wczoraj korkociąg. Kosztuje mnie dlatego więcej niż którykolwiek z przyjaciół mej żony, więcej nawet niż pan Torbi, który strasznie żre i chleje, nie można tego inaczej nazwać. Jest przy tym chudy jak uwędzony śledź, że czasem, tak mi się wydaje, nieomal słychać, jak zgrzytają jego kości. Ale odgłosy te wydaje sztuczna szczęka, którą się bawi, gdy ma pusty talerz. A buzi to w ogóle używa tylko do jedzenia i picia i jak już powiedziałem, do zabawy ze swoją szczęką, prawie nic nie mówi. Uśmiecha się głupkowato do tego, który mówi, a kiedy skończy, kiwa głową jakby głęboko uszczęśliwiony. (Dyskontuje to przede wszystkim pan Gatterbauer, który widząc taką reakcję, czuję się rozumiany). Kiedy pewnego razu powiedziałem do żony, że nie jestem pewien jego równowagi umysłowej, odrzekła mi na to: „Cierpienie go uszlachetniło". Natomiast pani Torbi mu nie dowierza, jest przy tym zazdrosna o niego i dlatego przychodzą do nas razem. Moja żona twierdzi, że pani Torbi go nie rozumie, — „Naturalnie, ma swoje dziwactwa, ale trzeba go rozumieć" — powtarza moja żona. Jestem na pewno tolerancyjny, ale w imię czego muszę rozumieć pana Torbiego, zgoła nie pojmuję. Niech już pije dla świętego spokoju moją kawę i mój koniak, je moje ciastka i moje kanapki, ale nic poza tym! Jeśli wolno wierzyć statystykom, powinienem jeszcze żyć równe trzydzieści lat, mam jedno własne życie, jestem odpowiedzialny tylko za siebie i za moją żonę, lecz nie za pana Torbiego. Nikt mi nic nie daje, a przedstawicielstwo to przecież ciężki kawałek chleba. Tak jest. No, ale nie chciałem opowiadać o sobie, tylko o przyjacielach mojej żony.

Więc wczoraj stawili się w komplecie, zasiedli wokół niskiego stołu przed kawą i likierem, wermutem i herbatą. Każdy z osobna jest nie do zniesienia, a cóż dopiero wszyscy na raz. Muszę znowu podkreślić, że nie mam najmniejszego powodu być zazdrosny o któregoś z tych panów. Sprawa jest o wiele, wiele gorsza. Spróbuję to wyjaśnić: przyjąwszy, że żona mnie oszukuje, w dodatku z prawdziwym mężczyzną, to mogę o tym wiedzieć lub nie. Jeśli nie wiem, to — jak to mówią: co nie boli, to

Rys. Magda Kapuścińska

Debiuty Debiuty

MIROSŁAW KUŹNIAK

Buenos Aires

Ance

1.

Buenos Aires znaczy świeże powietrze
Buenos Aires znaczy dźwięczne wołanie miasta o niespokojnym śnie
Buenos Aires znaczy równina
która bierze w posiadanie niebo zatrzymując je w oczach kobiet
Buenos Aires to noc wsparta o szczyty wieżowców
Może o czyjeś ręce uśpione księżycem melodią
Może to krzyk rozrzuconych włosów czarniejszych niż noc
Buenos Aires znaczy świeże powietrze

2.

Ofiaruję ci dźwięczne Buenos Aires
Krzyki nocy z tamtejszych lokali
Wiatr w żaglach zrośniętych z przygodą
Ofiaruję ci odległość bliską jak podanie ręki

3.

Tam kobiety wielbią morze
Ono łaskawie przybiera barwę ich oczu
czasem ich włosów
I tak groźne jak zmarszczone brwi jest przygodą
Statki noszą imiona kobiet
One nigdy nie buntują się
To są kobiety o włosach białych
Najpiękniejsze kobiety morza

4.

Chciałbym zawrócić ci te krajobrazy
Tak jakby zawrócić zatrzymany czas
Chciałbym aby te pejzaże nie milkły jak oczy na starej fotografii
Chciałbym abyś zapamiętała nasze noce w dźwięcznym Buenos Aires

STEFAN TÜRSCHMID

Poemat absurdalny

Nad wodospadem Niagara kwitły czarodziejskie drzewa.
Ryby ogłuszone nie mogły krzyczeć.
Śmiały się tylko do liści pijących wodną pianę.
Piliśmy czerwone wino, a potem usta twoje były cierpkie
jak krew, groteska i fantazja.

Nad francuską Riwierą wschodziło właśnie słońce.

— Jaka piękna pogoda — powiedział tłusty milioner
płynący z żoną transatlantykiem Ramona do Buenos Aires.

— Czy wciąż boli cię głowa?
— Tak kochanie. Wciąż ta morska choroba.
Tłusty milioner zdenerwował się, kupił Ramonę i kazał ją przerobić
na żyletki.

Pewien fryzjer z Pabianic goląc się, obciął sobie ucho.
Od tego czasu nosił kapelusz na bakier.
Potem miał już tego dość.
Kupił pilotkę i został lotnikiem.
Któregoś dnia wyskoczył z samolotu nad Neapolem.
Zapomniał spadochronu, więc przemókł do nitki.
(Padał właśnie deszcz.)

Była pora dżdżystych nonsensów.
Ryż tego lata wyrósł nad podziw i Czang Kai-szek bardzo się cieszył.
Torpeda, którą z tej okazji osobiście odpalił, zniszczyła doszczętnie
wieżę Eiffla i nikt już teraz nie odwiedza Paryża.
Tylko dziewczyny z placu Pigalle barwią jak zwykle włosy na żółto
i hodują kanarki.
Myślę nawet, czy nie przenieść się na Alexanderplatz.
Bo w Berlinie odbywają się od niedawna wspaniałe defilady
brudnych poetów i brodatych malarzy.

Dwa lata temu siwy starzec Hemingway strzelił sobie w łeb
czyszcząc dubeltówkę.
Zanim kula dobiegła do czoła, zdążył przypomnieć sobie
swoją pierwszą dziewczynę i melodię z koncertu Chopina, który grano
w dwudziestym trzecim w Toledo podczas corridy
Pięciometrowy byk rozpruł wówczas brzuch koniowi na którym siedział
przyjaciel wielkiego pisarza.
Bebechy, które wypłynęły koniowi z brzucha wyglądały tak żałośnie,
że obaj przyjaciele poszli się upić do tawerny Pod Niebieskim Księżycem.

W czterdzieści dwa lata później piliśmy kochanie czerwone wino,

a nad francuską Riwierą wschodziło słońce.

ALEKSANDRA OCHALSKA

W listopadzie...

Odeszli od nas nocą
Samotni wśród bieli łóżek.
O świcie niedojrzałym,
W blasku południa,
O szarym zmierzchu.
Ziemia była kwitnąca,
Soczysta zielenią, zachłanna.
Ziemia była grudniowa,
Zimna, czarna,
Ciężkie grudy
Raniły bezbronne drzewo,
Kłuły boleśnie
Zmęczone serca.
Odeszli w smutku listopada,
Nieczuli na rozpacz
Niemi, głusi, ślepi.
Czarne nekrologi
Wykreśliły ich imiona
Z trudnej księgi żywota.
Wskrzeszamy je wspomnieniem
Kwiatem, płonącą świecą...
Dziś są z nami
Jutro.. będziemy z nimi,
W gromadzie wędrujących upiorów
Bez miejsca przeznaczenia

DOROTA CHRÓŚCIELEWSKA

Historia

Pani Profesor Zofii Denel

po ziemi palcem wodzić
dotykać garnców — prochów
rozsypanych w czasie
kartami ziemię drążyć
szpadel drugi — ciekawość
ten pierwszy stopień do nieba
trzeci to intuicja
wchodzisz w ziemię
a ona taka stara aż trzeszczy
Jaka poczciwa ta opowieść
o dobrym piaście
zacnym Kazimierzu
o złym diable łańcuckim
teraz
piątka już niepotrzebna
sama
pójdę
garnców — prochów doglądać
wiadomości
złego
dobrego

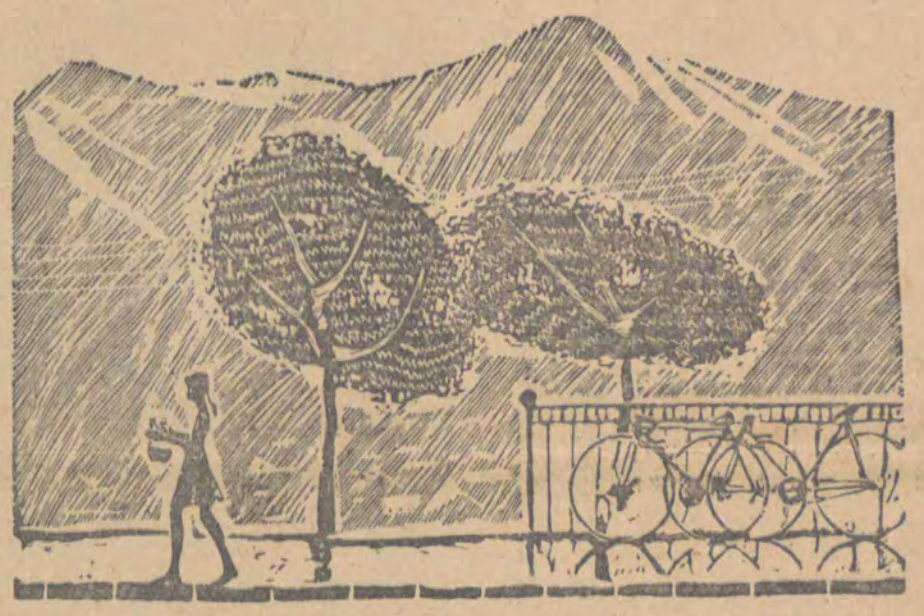

I. Kruglow. Poranek

MARIA KAŁUŻYŃSKA

Moje podwórko

Moje podwórko
brud i rynsztoki
strzępy zieleni
niezielonej
Kwiaty mizerne
blade jak twarze
dzieci
co biegały boso
na podwórzach nędzy
pochyłych drewniaków
z okapami łez poniżenia
Nie mam melodii
z mojego podwórka

IRENA LECIEJEWSKA-ANCZARSKA

Kuchnia

Wszystko dla was i wszystko
przez was
opasłe garnki krągłe pokrywki
uśmiech kipiącej pary
w czajniku
Tobie i dzieciom stawiam dni
wszystkie
w wazonie jak rumianki
wiedną — wyrzucam —
niektóre suszę w pamięci
Ty przynosisz serce
i pieniądze
dzieci błoto na buciczkach
śmiech w oczach
krzyk
i świat zmienia się w wesołą
teczę

powoli. Jeśli wiem, to robię jej taką awanturę, że odechciewa się jej wszystkiego i znowu jest między nami dobrze. Co więcej, mogę sobie pochlebiać, że jeśli miała do czynienia z prawdziwym mężczyzną, to jako człowiek interesu musiałbym się wyrazić: poważna konkurencja. No cóż, ale moja żona obcuje, wprawdzie platonicznie, z tymi zerami i to właśnie sprawia mi głęboką przykrość, bardziej mnie poniża niż gdyby zdradziła mnie z prawdziwym mężczyzną. Daje mi do zrozumienia, zadając się z takimi typkami, jak mną pogardza. Że niżej mnie ceni niż wszystkich tych panów, niżej pana Knolla i Siegla i Torbiego i Uckla i Gatterbauera i nawet mojego przyjaciela szkolnego Willego, tego kretyna, którego przerastam o głowę, oczywiście, jeśli chodzi o charakter. Gotów jestem przyznać czyjąś rzeczywistą wyższość i to właśnie miałem na myśli, mówiąc o prawdziwym mężczyźnie. I to, że moja żona zadaje się z nimi, choćby tylko platonicznie, obraża mnie dotkliwiej niż gdyby się oddała jakiemuś prawdziwemu mężczyźnie. Być może, że nie potrafię z rozdrażnienia logicznie argumentować, mam jednak nadzieję, że tłumaczę się dość jasno. Mając takich przyjaciół, poniża mnie bardzo, a obcując z nimi wyłącznie platonicznie, uniemożliwia mi zrobienie awantury po czym byłoby znowu dobrze między nami

No to czy można mi mieć za złe, że mam przyjaciółkę? Co prawda nie należę do tych, co polecą za każdą spódniczką — właściwie to jestem wierny. Potrzebuję, jak każdy mężczyzna, odrobiny szacunku, trochę podziwu i rzeczywiście tylko dlatego spotykam się dwa razy w tygodniu z Mimi, już od roku, zawsze w czasie dnia, bo Mimi jako telefonistka ma nocne dyżury. Po prawdzie nie jest pięknością, ale to nie szkodzi, dla ostrożności nie pokazujemy się razem, spotykamy się zawsze w jej mieszkaniu. Lubi powtarzać: „W pracy jest okropnie, a przy tobie odzyskuję spokój, jesteś taki mądry i tyle wiesz, i mówisz do mnie tylko o tym, co rozumiem". Tak mówi do mnie i spędzamy z sobą bardzo przyjemne godziny. Mówi także: „Bardzo się boję, żeby nie popełnić czegoś niewłaściwego". A ja jej na to: „Mój dziubasku". Nie tak dawno, kiedy byliśmy bardzo z sobą szczęśliwi, próbowała mnie pocałować w rękę. Wydało mi się, że posunęła się zbyt daleko, jednak domyśliłem się, co chciała przez to wyrazić. Było mi przyjemnie, że chciała to zrobić, ale nie mogłem, rzecz prosta na to zezwolić. Innym razem — nie nic już nie powiem o Mimi i o sobie, jeszcze ktoś by mnie nazwał podrywaczem. W rzeczywistości uważam się za rozsądnego człowieka, który tak ocenia sprawy jak je widzi i nie uważa za stosowne składać obszernych wyjaśnień na temat swojego postępowania.

PRZEKŁAD: STANISŁAW KASZYŃSKI

JANUSZ ROSZKO

PRACOWNIA ALCHEMIKA Ociepki

Imponujące wnętrze, strop wsparty na kolumnach, w perspektywie korytarze, galerie, schody, kruzganki. W centralnym punkcie przy piecu siwy starzec przy ogniu coś warzy, bokiem ku niemu idzie Mefistofel, w pracowni pośród retort, moździerzy dziwne stwory się gospodarzą. Zielony potworek, coś pośredniego między żabą, a kobietą wyciąga ręce ku alchemikowi. Nie ulega kwestii, że idzie tu o ów tajemniczy proszek, który wszystko za dotknięciem zamienia w złoto.

Pytam Ociepkę, skąd tu Mefistofel.

— Po prawdzie to ja „Fausta" osobiście przeżyłem.

Jest na razie jeszcze zamknięty w sobie, ale obrazy nagromadzone w pokoju wyciąga z kątów i pokazuje. Pędzą krówki Saturna boskokolorowe, dziwoptaki porażają wspaniałością piór, utopce drwią w żywe oczy z patrzących.

Skąd się wziął Strzygoń? O Strzygoniu powiedział mu doktor Józef Ligęza w muzeum w Bytomiu, dokąd jeździł na rowerze, na tym samym co teraz jeździ do Katowic załatwiać interesy, mimo swoich 74 lat życia, na które absolutnie nie wygląda, ponieważ Ociepka żyje w innym wymiarze. Pośród swoich puszcz tajemniczych, demonicznych zwierząt trójocznych, pośród barw tak intensywnych, że fachowcy każą w tym upatrywać wpływ epoki oleodruków na wyobraźnię śląskiego malarza dnia siódmego.

Pracownia Ociepki niewielka, sztalugi przy kwadratowym okienku, stół kuchenny przy drugim oknie, żelazny piecyk zwany „cygankiem", ale pomalowany na srebrno, bo bardzo raził panią Ociepkową, która przed kilku laty weszła do tego domu, gdyż przyjechała z Bydgoszczy i została żoną malarza, który w wieku lat bodaj 70 został panem młodym. Pan Teofil siedzi na kuchennym stołku przy sztalugach, nad nim kopia Dürera, którą sam zrobił w czasach, gdy na Śląsku rządził jeszcze cesarz Wiluś, a kanapa, znana kiedyś pod nazwą „bufalki" pochodzi mniej więcej z tego samego okresu. Ociepka siedzi na kuchennym stołku. Ociepkowa na bufalce, malują. On olejną farbą, ona kredką.

— Rysuję to, co mi wychodzi na papierze. Kolorowo — mówi nie odrywając kredki od bristolu, na którym pojawia się jakaś twarz niesamowita, budząca dreszcz i grozę.

Małe okienko, warsztat malarza w małej izdebce — przypomina to już jakąś wizję. Oczywiście — szewc z obrazu Boscha pracuje w identycznym otoczeniu. A przecież inny genialny „prymityw", „naiwny realista", „malarz dnia siódmego" — czy jak zechcą nazwać spierający się wiecznie o termin dla określenia malarzy nieskażonych przez Akademię — właśnie Bosch — nie portretował nigdy Ociepki, ani go zapowiadał.

— Interesuje mnie wszystko, co niewidzialne — interpretuje swoją twórczość Ociepka. Ja maluję tylko to co jest, a czego inni nie widzą. Mówią niektórzy, że to „fantastyczne" obrazy. Ja mam na to swój własny termin. Nazywam je „myślotwory ucieleśnione".

Ociepka, malarz-amator, owiany legendą górnika, co to zamiast w niedzielę pić gorzałę — rozmazuje farby po płótnie, żeby Panu Bogu dzieło stworzenia obrzydzić, a gawiedź ucieszyć, ów „malarz prymitywny" zdołał stworzyć sobie filozofię własnej sztuki. Czapki z głów — zawodowcy, akademicy, tworzą częściej filozofię własnej sztuki, niż obrazy! Ociepka był na tyle skromny, że mówi otwarcie o wszystkim dopiero teraz, gdy został sławny w Europie.

— Pan doktor Matejka we Wiedniu powiedział mi: „niech pan sobie, co pan chce, wybierze z mojej biblioteki!"

Ociepka bowiem wojażuje po świecie i robi furorę przy pomocy swoich „Myślotworów". Ale też pilnie konferuje z wtajemniczonymi — o rzeczach tajemnych. Od najmłodszych lat fascynuje go magia, okultyzm, spirytyzm, alchemia — wszystkie rzeczy tajemnicze a niewyjaśnione, skompletował dużą bibliotekę dzieł o przesyłaniu myśli na odległość, występowaniu równocześnie w dwóch miejscach itp. Doktor Matejka pragnął uwieść malarza przy pomocy takich właśnie książek.

— Te pańskie myślotwory są tylko fantazją, czy też powstają pod wpływem lektury, skojarzeń, czy po prostu jawią się panu same?

Zadałem takie pytanie, gdyż oglądający obrazy magister zoologii w spódnicy szepnął mi przed chwilą, że wszystko to ma odpowiedniki w zwierzętach sprzed tysięcy lat, nawet potwór trójoczny z Saturna nie kłóci się ze współczesną wiedzą. Żyją jeszcze na świecie zwierzęta, posiadające trzecie oko, tzw. ciemieniowe w formie reliktowej (hattaeria).

Ociepka odpowiada na pytanie:

— Chcący być szczerym — to mam nadprzyrodzone. Wyśnią mi się, albo zjawią inaczej — i po chwili dodaje: — Do tajemniczego to mnie pociągało zawsze, żeby sobie wyjaśnić to co niewyjaśnione. Jak o tym mówię w Warszawie to chcą mnie uważać za matołka umysłowego, ale ja się tym nie przejmuję. Nawet pozwalam się „przeciągać..."

„Przeciągać" to znaczy w gwarze śląskiej: drwić, nabierać. Ociepka zaraz potem mówi o telepatii i cybernetyce, elektronice, zaskakuje skojarzeniami. Myślę wtedy, że gdy te gałęzie wiedzy zrobią jakiś rewelacyjny postęp — czy uważani dotąd za maniaków różni spirytyści i okultyści zostaną zrehabilitowani i uznani za prekursorów?! I pod wpływem Ociepki opanowała mnie wizja okropna: a nuż Ociepka nas wszystkich „przeciąga"?

Po pracowni alchemika oprowadzał go profesor Estreicher, potomek dynastii profesorskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego, z wielką atencją dla autora „Strzygonia", opowiadał o Fauście, który pono w Krakowie studiował, o Twardowskim, o Sędziwoju alchemiku, który uzyskał od Sethona tajemnicę robienia złota. W tej izbie krakowskiego muzeum uniwersyteckiego narodziła się myśl: namaluje Ociepka pracownię alchemika. Ale Estreicherowi w pierwszej chwili o tym Sędziwoju nie wierzył, pytał ostrożnie w Warszawie: „Był taki?" — a gdy dowiedział się od Izabelli Czajki, która przed laty

Fot.: Jerzy Borowiec

wyprowadziła jego „Krówki" i „Utopce" ze śląskiego zaścianka do sal wystawowych, że Sethon i Sędziwój rzeczywiście kiedyś żyli, podobnie jak Theofrastus Bombastus Paracelsus, Ociepka dostał niemalże szału: „Ja te książki muszę mieć, muszę wiedzieć o tajemnym proszku, co metale zamienia na złoto!" — wykrzykiwał.

Obraz malował chyba przez pół roku, zresztą Ociepka maluje swoje obrazy bardzo starannie, powoli, wypracowuje każdy drobiazg. Jeździł jeszcze do Estreichera pytać o różne szczegóły. Jest w gruncie rzeczy straszliwym realistą — jeśli wziąć pod uwagę — że on te swoje „myślotwory" odmalowuje niejako z natury... Ucieleśnia na płótnie. Zgubić się można w tej Ociepkowej filozofii.

Fakt faktem — obraz „Pracownia Alchemika" wywołał zachwyt, furorę. Coś nowego w twórczości Ociepki — pisali krytycy, nie mając zresztą pojęcia o tym, że to było właśnie w twórczości Ociepki najstarsze.

— Co ja za „szport" mam z tymi dzisiejszymi ludźmi — narzeka pan Teofil, uśmiecha się równocześnie wyrozumiale, opowiada jak to reagowano na jego obraz „Ślepy przypadek". Jest to kombinacja różnych elementów w sposób bezsensowny, satyra na tych, co to nie mają szacunku dla oka we właściwym miejscu, a nogi w biodrze, tylko dowolnie malują te detale. Taka trochę antypikasowska satyra. Zrozumiano to na wystawie inaczej. Jakoby Ociepka poszedł po linii „awangardy". Jakaś babcia ruszyła na mistrza rozhisteryzowana:

— Panie, jak to takie może być?!

— Ja się z panią zgadzam, że to niemożliwe — odpowiedział uśmiechnięty spokojnie i błogo pan Teofil.

„Ślepy przypadek" dziwnym trafem stworzył znakomicie. Jest tak świetnie ów stwór namalowany, z taką maestrią — że podziw bierze. Wielka sztuka. Na pewno. Zgadzam się z Tadeuszem Kantorem, który powiada, że dla niego nie jest istotne, co przedstawia obraz, ale jak jest namalowany. To, jak jest namalowany — decyduje o jego randze. A na wielu obrazach Ociepki można podziwiać ten sposób mistrzowski, który przykuwa widza do płótna i nie puszcza. Fakt, że to nie jest maszyna do szycia, tylko Bawół Saturna, Skarbnik czy Utopiec — jest tutaj naprawdę drugorzędny.

Tak jak u Nikifora — lata malowania zrobiły swoje. Wprawa, nieomylność ręki, świadomość efektów. W przeciwieństwie do Nikifora — dużo mówi. Już teraz, gdyśmy przejrzeli szeregi płócien, wraca do Mefista, który stoi w pracowni alchemika.

— On tutaj do mnie przychodził. To było w nocy. Obudziłem się, patrzę — najpierw przeleciał przez pokój czarny pudel, a w kącie stanęli dwaj mężowie kawowi. Pokój zaroił się od myszy i innych małych stworów, a Mefisto stanął przede mną. Od razu go poznałem, usiadłem na krawędzi łóżka. Chciał ze mną pertraktować. Zobaczyłem, że w nogach łóżka siedzi moja mama nieboszczka. Powiedziała do mnie: „Teofilu, Teofilu, co ty robisz?!" Wtedy wszystkie zwierzątka uciekły z szurgotem, słyszałem szelest ich nóżek, a diabeł Mefisto wyszedł przez okno: Bo diabłu lepiej przenikać przez szybę, jak przez drzwi. A mężowie kawowi znikli.

Ociepka miał ów sen w tej samej izbie, gdzie trzyma swoje obrazy i gdzie przyszedł na świat w 1891 roku na ulicy Leśnego Potoku w Janowie. Jednopiętrowy, czerwony dom był własnością rodziców Teofila. Stąd jeździł codziennie do pracy rowerem — niedaleko, na kopalnię „Wieczorek". Wbrew legendzie nigdy nie był górnikiem, tylko maszynistą turbin w kopalnianej elektrowni. Ale to pięknie pasowało do tworzenia legendy o Ociepce w dawnych latach: górnik, który dobywa węgiel i wyczarowuje z powrotem kolorowe puszcze sprzed tysięcy lat, które teraz zamieniły się w węgiel. „Dopiero po wyzwoleniu powstały warunki, dzięki którym mógł uprawiać swoją sztukę..." — pisali twórcy mitów. Ale oczywiście Ociepka ma swoją własną legendę o tym, jak zaczął malować. Na środek pokoju wędruje pierwszy obraz namalowany przez niego w roku 1927 a zatytułowany „Droga człowieka".

— Przed tym obrazem miałem okropne zajście w 1949 roku. Na wystawie mojej był nawet minister Dybowski. Obrazy przedstawiały las, krasnoludki, a tutaj jak pan widzi — wskazuje na pierwszy obraz — nagie kobiety z długimi włosami. „Te tematy są teraz nietolerowane..." — zażartowałem sobie. I zaraz usłyszałem protesty: „Słyszycie, jak Ociepka prowokuje?!" Kapitana Czajki nie było wtedy przy mnie, źle mówię, pomyślałem sobie. Kapitan Czajka kazała, żebym nie mówił więcej.

O tej wystawie opowiadają anegdotę, autentyczności której Ociepka nie kwestionuje. Mianowicie minister zapytał go wówczas: „Ale tak naprawdę, Towarzyszu Ociepka, to w te krasnoludki nie wierzycie?!" co Ociepka potwierdził, zdeklarował, że oczywiście, nie wierzy. Ale już w następnym momencie zapytał: „Panie ministrze, to jak to teraz się nazywają te takie małe z siwymi brodami, w czerwonych czapeczkach?!"

Oto obraz „Droga człowieka" — wielki karton nałożony na ramę, na bristolu akwarela, malowana intensywną barwą. Kontury postaci i rzeczy poprawiane są czarnym tuszem. Pośrodku, na niebotycznej górze wielki kielich, pełen krwi. U wejścia na górę — czyha smok. W dali na morzu pływa łabędź, górą szybuje orzeł. Po wysypanej żółtym piaskiem drodze, u stóp góry, idzie człowiek w czerwonym żupanie, przy karabeli. Obok tańczą golaski z długimi włosami, dalej są kościotrupy, węże, stwory dziwne, przepaść i piekło ziejące w lewym kącie obrazu. Zanim Ociepka wyjaśni symbolikę tego wszystkiego — musi wrócić do Fausta i Mefistofelesa, a nawet do I wojny światowej.

— Byłem w czasie tamtej wojny w Polsce północnej, w Rumunii, Rydze, we Francji 2 lata. Trzy ostatnie miesiące w Belgii. Szukałem wtedy wszelkimi sposobami wyjaśnienia sprawy mojego bytu — czy w ogóle wszechbytu. Pobierałem takie czasopismo, co nazywało się „Psyche", pisało tam o reinkarnacjach, sztuce yogów jako drodze do wiecznej młodości, demonach Europy i takich różnych. Sławny egiptolog Peryt Shou pisał, jak wchodzi się w kontakt z kosmosem.

Szukał Ociepka książki pt. „72 imiona Boże" która wyjaśniała jakieś niebywałe tajemnice. Do redakcji „Psyche" napisał list tej treści: „Łaskawy posiedziciel zechce wypożyczyć do przeczytania..." Ociepka do dziś używa słów jakichś archaicznych. Zamiast posiadacz — „posiedziciel", na leśniczego, który mieszka w sąsiedztwie — woła: „myśliwiec". Mówi piękną, starą polszczyzną.

Otrzymał list z Wittenbergi, podpisany „Filip Hohmann". Tego, co chcesz wyjaśnić nikt ci z żywych ludzi nie może. To są tajemnice mędrców indyjskich. Tak Ociepka nawiązał kontakt listowny z człowiekiem, o którym dziś powiada: „był stacją odbiorczą mędrców indyjskich, co odebrał przepisywał na hektografie i rozsyłał między prenumeratorów. A przy okazji uczył odbiorców stenografii...

Ociepka napisał do niego: „Tyle posiadasz wiedzy — naucz mnie..."

Hohmann odpisał: „Do ciebie przyjdzie duch i nauczy cię malować..." A po miesiącu: „Ten duch odszedł, musisz malować sam!"

Ociepka malował wtedy drogę człowieka, ale reklamował u Hohmanna: „Ja żadnego ducha nie widziałem. Bardzo się przy tym malowaniu męczę. Nie idzie mi..."

Hohmann tłumaczył się bardzo zawile.

Ociepka wsiadł wreszcie na rower i swoje malowania zawiózł do Katowic, do muzeum. Pokiwali głowami, zachęcili, potem nawet przyjechał jakiś dziennikarz z katowickiej „Polonii" i napisał parę słów. Nic więcej między 1927 a 1939 rokiem się nie wydarzyło. Dopiero po wojnie, gdy już „Hitlery poszli precz" — jak mówi Ociepka — wsiadł na rower i z pytaniem: „Czy już jest wszystko przygotowane, czy już jest równość?!" — wkroczył triumfalnie ze swoimi obrazami do muzeum w Bytomiu. Wtedy się jego twórczością zainteresowano naprawdę. Pewien notariusz z Katowic, uważany za mecenasa sztuki, do którego niegdyś Ociepka się zwracał przyszedł na wystawę prac pana Teofila.

— Ja bardzo pana przepraszam, nie poznałem się na panu przed wojną... — zaczął robić przyjemne miny.

Na tej pierwszej wystawie w Domu Kultury w Katowicach w 1946 roku Ociepka pokazał około 100 tematów. W oleju i w rysunku.

Tak zaczęła się pasja, której teraz Ociepka — po przejściu na emeryturę poświęca się bez reszty, pod troskliwym okiem żony, którą zyskał dzięki mocom tajemnym. W Bydgoszczy emerytowana nauczycielka, pani Julianna U. przeczytała w „Świecie" artykuł o Ociepce i dowiedziała się o jego niesamowitych snach. Ponieważ sama miewała podobne, napisała list do Janowa. Wskutek długotrwałego wyjaśniania sobie nawzajem materii snów w 1959 roku stanęli na ślubnym kobiercu jako państwo młodzi. Julianna Ociepkowa twierdzi, że ma sny prorocze i zdolności telepatyczne. Po dwóch latach małżeństwa zaczęła malować niesamowite obrazki: zwierzaki, nie istniejące drzewa, niesamowite twarze.

Teofil dziwi się, stojąc przed swoim pierwszym dziełem:

— Po co panu wyjaśniać ten cały obraz, nikt mnie o to do tej pory nie pytał.

Ale minę ma taką, że zadowolony jest w gruncie rzeczy z tego pytania. Daje mu okazję do popisania się swoją wiedzą, z takim trudem zbieraną po różnych księgach tajemnych i czarodziejskich. To one, te księgi, ukształtowały pierwszy obraz Ociepki, to fakt. Mistrz Teofil mówi długo o demonach, o symbolach, gwiazdach i słucha się tego naprawdę jak baśni wspaniałej z zeszłego stulecia.

Baśń śląska miała dość nikły wpływ na jego malarstwo. Znowu niektórzy usiłują dopisać inne rozdziały legendy o Ociepce, wymyślają mu tajemniczych dziadków, którzy gadali z karzełkami, opowiadali o strzygoniach i utopcach. Jeden pan, który pisał książkę o nim zaraz na początku powiedział: „Ale połowę to muszę zmyślić, żeby było ciekawiej". I pododawał różne legendarne szczegóły i niesamowite sceny jakby żywcem z „Saragossy" Potockiego wyjęte... Skarbnik — pochodzi przecież Ociepka z rodziny górniczej — jakoś sam się usadowił na jego płótnie. Strzygonia mu „sprzedał" Ligęza. Gdy zabrakło po utopcu rodzimych, śląskich demonów, Ociepka sam zaczął tworzyć nowe. Faunę z dalekiego Saturna, dając początek niejako „demonologii kosmicznej"...

Na sztalugach widzę niewielki obrazek: mnich chłosta nagą, nieźle zbudowaną kobietę.

— Ale bydzie szport w tej Warszawie — cieszy się mistrz Teofil i zaciera ręce. Oni mówią, że ja świętych maluję ciągiem. No to namalowałem im świętego Franciszka, jak mu do cel przysłali ladacznicę...

I przymruża filuternie oko.

Pani Julianna nie widzi, wpatrzona w obrazek, który jawi się jej właśnie na papierze.

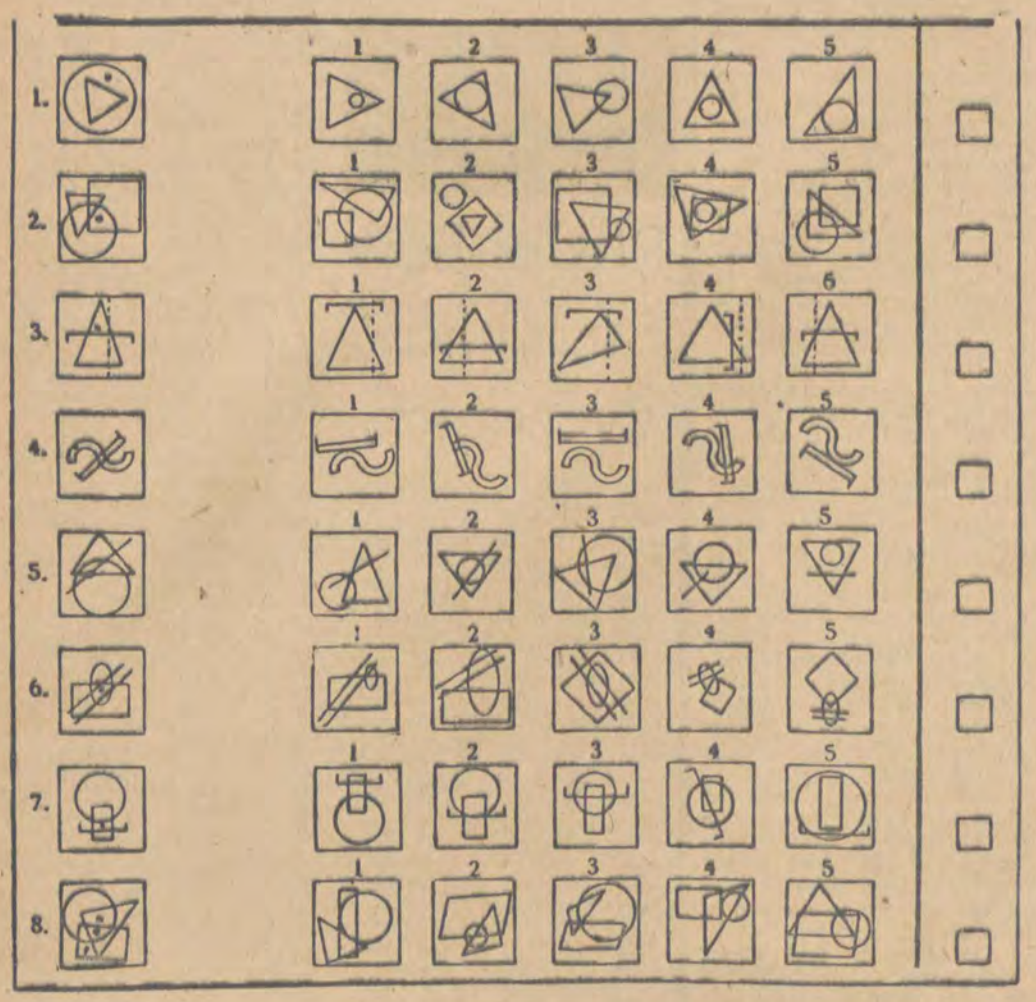

Może i ty jesteś jajogłowy?

W ROKU 1945, W WYWIADZIE RADIOWYM, KIEROWNIK KATEDRY PSYCHOLOGII NA UNIWERSYTECIE LONDYŃSKIM SIR CYRIL BURT, OŚWIADCZYŁ, ŻE METODY BADANIA STOPNIA INTELIGENCJI JEDNOSTKI OSIĄGNĘŁY JUŻ POZIOM POZWALAJĄCY NA WYODRĘBNIENIE ELITY UMYSŁOWEJ. WOBEC TEGO, PROFESOR UZNAŁ ZA STOSOWNE UTWORZENIE STOWARZYSZEŃ LUDZI O WYJĄTKOWEJ INTELIGENCJI.

Ich opinie dotyczące rozmaitych problemów natury ekonomicznej, politycznej, społecznej i moralnej mogłyby być bardzo interesujące. Zachy profesor wi dział nawet możliwość wspierania działalności ówczesnych rządów, cennymi radami owych trustów mózgowych.

Ideę sir Cyrila Burta podjęli dwaj adwokaci z Oxfordu Roland V. Berril i L. Vare, którzy latem 1946 założyli klub jajogłowych „Mensa", poddawszy uprzednio grono swoich przyjaciół testowym badaniom inteligencji. Sir Cyril Burt został mianowany dożywotnim prezesem tego najbardziej elitarnego z istniejących klubów. Ponadto na czele klubu stoi międzynarodowy komitet wybierany listownie, raz na 3 lata. W skład komitetu wchodzą obecnie sekretarz generalny Victor Serebriakoff, prezes oddziału angielskiego Eric Hills, prezes oddziału amerykańskiego, a także szef propagandy John Codella, tudzież konsultant-psycholog James Sacks z New Yorku.

Stosowanie testów do mierzenia inteligencji i szybkości refleksu bardzo się ostatnimi czasy rozpowszechniło. Doświadczenia prowadzone systematycznie od początków naszego stulecia pozwoliły na ustalenie pewnych już niemal danych: 16% badanych jednostek wykazuje niski stopień inteligencji, 68% średni stopień, i 16% inteligencję wyższą od normalnej. Założyciele klubu Mensa postanowili zająć się oczywiście tą ostatnią grupą po to, by wyłonić z niej kwiat inteligencji, elitę mózgów, która obejmuje zaledwie 2% ludności. Kto podda się badaniom przy pomocy testu opracowanego przez R. B. Cattella i A. K. S. Cattella i otrzyma współczynnik 160, będzie mógł się uważać za obdarzonego nadzwyczajnym intelektem, za uprzywilejowanego przez los i niebo.

Tych wybrańców losu znalazło się już na świecie 10.553. Tylu właśnie członków liczy sobie Mensa. Natomiast nie dostrzeżono jeszcze żadnego wpływu owych stowarzyszonych geniuszy na przebieg dziejowych wydarzeń. Być może da się to wytłumaczyć faktem, że Mensa znajduje się dopiero w pierwszej fazie swojej działalności, którą, co gorsza, zmuszona jest rozwijać w świecie przystosowanym do zaspokajania potrzeb ludzi o normalnej inteligencji. Dlatego klub prowadzi obecnie zaciekłą kampanię przeciw duchowej izolacji super-umysłów i stara się zjednoczyć je w „organizacji gromadzącej przedstawicieli całego świata bez względu na różnice rasowe, religijne, narodowe lub wykształcenia, zdolnych i skłonnych do dyskusji nad każdą ideą lub przekonaniem" (cytat zaczerpnięty z biuletynu klubu). Członkowie klubu nie mają się wprawdzie osobiście ale prowadzą ożywioną wymianę idei, poglądów i pomysłów. Założyli już nawet towarzystwo Design Advisary Company skupiające wynalazców i mające na celu ocenę, opatentowanie i eksploatację ich wynalazków. Powstał też klub inwestycyjny oraz kółka miłośników matematyki, poezji, muzyki. Dzięki tej działalności sporo superinteligentów znalazło dobre posady, a kilku nawet inteligentne żony.

Najliczniejsza i najbardziej aktywna jest grupa amerykańska. Liczy sobie 7842 zarejestrowanych geniuszy. Niestety, wszyscy, przynajmniej na razie pozostają jeszcze w cieniu. Nie ma wśród nich żadnej znanej postaci uczonego, polityka, przemysłowca. I na ogół nie są nawet bogaci, przynajmniej w stosunku do amerykańskiego standardu. Klub Mensa wyjaśnia przyczyny tego zjawiska następująco: większość członków stanowią studenci i emeryci. Pierwsi zarabiają mało nie mając jeszcze możliwości wybicia, drudzy możliwość tę już utracili. Zresztą, twierdzą notable klubu — superinteligencja nie oznacza koniecznie zmysłu praktycznego, nieodzownego w robieniu kariery i pieniędzy. Oddział amerykański chlubi się sporą ilością „cudownych" ośmiolatków tudzież pewnym geniuszem z Indianapolis, który w życiu codziennym spełnia trudne i niezbyt dobrze płatne obowiązki strażaka. Ma za to czas, w przerwach między pożarami, czytywać filozofów greckich w oryginale. Na jednym z zebrań klubu genialny strażak wygłosił genialny odczyt o Platonie, który jak wiadomo też był genialny, choć za jego czasów nie istniały kluby superinteligentów, ponieważ zajmowano się wyłącznie biesiadowaniem. Sekretarz generalny Serebriakoff, obdarzony, oprócz superinteligencji, rudawą brodą, powiedział w wywiadzie udzielonym przedstawicielowi Life'u: „Można być miliarderem, chłopem, doktorem nauk, włóczęgą lub nawet świętym; nie ma to nic wspólnego z inteligencją. Inteligencja to coś zupełnie innego i ludzie inteligentni czują się często osamotnieni, wyobcowani z otaczającego świata".

„Czy sądzi pan, że kandydaci na prezydenta USA mogliby ubiegać się o przyjęcie do klubu" — zapytał dziennikarz, „Ach, nie!" — odpowiedział bez namysłu Serebriakoff. „A członkowie brytyjskiej rodziny królewskiej?" „Ba, wydaje im się, że książę Filip jest bardzo bystry". „A co pan sądzi o New Jorku?" — „New Jork przypomina mi gigantyczny ul, w którym żyje wielu zapoznanych geniuszy. Musimy ich odnaleźć. Przyczyni się to niewątpliwie do udoskonalenia świata. Aby osiągnąć ten cel, każdy musi poddać się badaniom testowym by móc poznać własne zdolności."

Jak można zostać członkiem klubu Mensa? Bardzo prosto. Zwraca się do oddziałów klubu z prośbą o przysłanie testu Cattella, a następnie rozwiązany test odsyła się z powrotem. O ile rozwiązanie okaże się zadowalające (współczynnik inteligencji wymagany przez klub) — kandydat poddany zostaje pewnemu badaniu, tym razem w obecności egzaminatora. Kto przejdzie zwycięsko i drugą fazę egzaminu, może uważać się za superinteligentnego. Pozostaje mu tylko płacić 6 dolarów rocznie i już jest pełnoprawnym członkiem Mensy, z prawem do otrzymywania biuletynu informacyjnego „Interim" tudzież do figurowania w Rejestrze, księdze złotej zawierającej nazwiska wszystkich członków i dane dotyczące ich wieku, zawodu, zainteresowań itd.

Test Cattella to 8-stronicowa broszurka, w której mieszczą się 4 serie zadań.

Łącznie kandydat odpowiada na 46 pytań. Wystarczą dobre odpowiedzi na 41, by zostać jednym z „dwóch procent". Komu uda dzą się 42 odpowiedzi lub więcej, zostaje zaliczony do grupy „jednoprocentowców" z najwyższym współczynnikiem inteligencji I. Q. 160. Nikt do tej pory nie odpowiedział bezbłędnie na wszystkie pytania testu.

Klub jajogłowych, klub nieograniczonych możliwości, z dnia na dzień poszerza obszary swego promieniowania. Tylko tu bowiem strażak może przewyższyć profesora uniwersytetu, a biedny emeryt przedsiębiorczego milionera. Wszyscy mogą tu dyskutować o wszystkim na równych prawach. A jedynym kryterium i miarą wartości, niezależnie od tytułów, stanowisk i majątków, jest tajemniczy symbol I. Q — rzec można — firmowy znak inteligencji.

SPRAWDŹ SWOJĄ INTELIGENCJĘ i rozwiąż jeden z testów I.Q. Polega on na odnalezieniu w każdym szeregu figur tzw. „analogów". A oto przykład wyjaśniający:

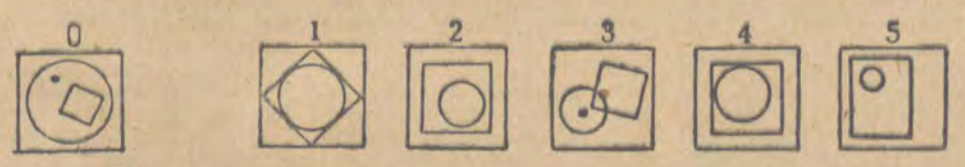

W przykładzie „ANALOGIEM" jest oczywiście figura 3, bowiem — jak w rysunku testowym (0) kropkę można umieścić
— wewnątrz koła
— a jednocześnie na zewnątrz kwadratu.
Przekonaj się sam, że w innych rysunkach tego szeregu jest to niemożliwe.

MIKROPORTRETY odgłosów

JERZY SADEK

Naprzód grał w „Czarnych" z Radomska.

Jako dziewiętnastoletni chłopiec został napastnikiem jedenastki ŁKS-u.

Potem zielona murawa stadionu w Glasgow. Do końca meczu — kilkadziesiąt sekund. Stan: 1:1. Piłkę otrzymał z głębi bolska. Miał przed sobą trzech Szkotów. Trzech potężnych, brutalnie grających obrońców... „Jedź" — dobiegło Sadka z tyłu. To chyba Ernest krzyczał, Sadek nie wie na pewno, ale chyba Pohl... Więc pojechał. Przebojem. Jak burza. Minął jednego, drugiego — obaj się dzieli mu na pięta — minął trzeciego, wystawił sobie na lewą i z pełnego biegu kropnął, że piłka przedarła siatkę...

To był piękny strzał. Łodzianie przy głośnikach i telewizorach szaleli z radości. Polonia szkocka płakała. Drużyna polska wzięła Sadka-debiutanta w pół; całowali go, poklepywali...

— Przeżyłem wówczas największe szczęście — wspomina Sadek. — Bramki, które strzelałem później Finom, Węgrom i Niemcom nie dały mi już tego. Ale nadzieja została. Nadzieja, że jeszcze przeżyję podobne wzruszenie.

Sadek ma obecnie 23 lata. Jest ambitny i zdobył reprezentacyjną koszulkę i nieprędko ją straci. Zdobył także sławę i sympatię kibiców. Sportowa Łódź chlubi się Sadkiem. Sportowej Łodzi Sadek ostudza porażki ŁKSu i Startu.

— Piłka to nie tylko piłka — mówi Sadek; chłopak tęgi fizycznie lecz delikatny duszą. — Jak myśmy odjeżdżali z Glasgow, to Polacy naprawdę płakali. Przyrzekali niektórzy, że będą pisać. I piszą. Przyrzekali kibicować nam z daleka. Żeby do tego doprowadzić — trzeba było wygrać mecz. Nawet remis by nie wystarczył. Polonia szkocka chciała zwycięskiej bramki.

On ją zdobył.

LIST z WARSZAWY

W październiku cały naród dyskutował namiętnie i rozwlekle nad „Popiołami". W listopadzie w repertuarze warszawskich dyskusji pojawił się teatr. Oczywiście Wielki. O pierwszym historycznym spektaklu nie ma co pisać. Wszyscy uczestniczyliśmy w premierze za pomocą tzw. środka masowego przekazu, czyli jaśniej mówiąc radziemej Telewizji. Tematem dyskusji stały się koszty budowy i przyszłość gmachu. Domowi buchalterzy z wypiekami na twarzy obliczają, ile kosztowało otwarcie: cztery spektakle po kilkaset zaproszonych gości każdy. Buchalterzy z gestem aprobują delegacje zagraniczne, uważają natomiast, iż każdy z zaproszonych redaktorów mógł co nieco uiścić z własnej kieszeni. Ponoć w Wiedniu dni otwarcia opery po wojnie były złotodajne nie tylko dla koników. Ot, przykład! Apage satanas — zawołajmy naśladując Kisiela. Prawdziwej Wielkości nie mierzy się centymetrem!

Co tu kryć; warszawiacy są dumni ze swego Teatru, najwspanialszego i największego w Europie. Teatr Wielki to też pomnik Warszawy — pomnik narodowej kultury wiecznie żywej, budzący najszlachetniejsze aspiracje. Jaśnieje wieczorem gmach Pana Szyfmanowy, o którym (p. Szyfmanie) się mówi, że w one wielkie dni odmłodniał i wielką werwą się cieszył, patrząc na swe dzieło, ową „wielostrunną lirę z cegły" — jak mówił poeta.

Warszawiacy co wieczór pędzą tłumnie na kolejne spektakle, spośród nich zaś największym się cieszą uznaniem „Halka" i „Pan Twardowski". Zresztą, jak na razie, bilety są ponoć wyprzedane aż do lutego. I gdyby łodzianie, znani z umiłowania teatru i sztuki muzycznej, będąc w stolicy, wybrać się na jeden z tych spektakli chcieli — to tylko dyr. Libera, dzierżący administrację, byłby w stanie ich pragnienia zaspokoić. Oczywiście jest to nasza słodka tajemnica. I nie bardzo radzę masowo powoływać się na „Odgłosy"; bo i sympatyczny dyrektor może „wyjść z nerw".

Aby nie narazić się X Muzie, wspomnijmy i o niej. Otóż grudzień i styczeń szykują nam wiele ciekawych pozycji. A więc: „JEDEN PRZECIW WSZYSTKIM" — czyli Shirley Mac Laine po raz pierwszy w westernie i to w towarzystwie Glena Forda. Bójki, pościgi, strzelanina; słowem — po raz pierwszy od dłuższego czasu wes'ern tradycyjny.

Kto lubi żartobliwe komedie amerykańskie, których scenarzyści kpią sobie ze zwyczajów rodaków, zobaczy chętnie „Pana Hobsa na urlopie".

A z polskich, oczywiście, sensacja nr 2 — „Faraon". Wchodzi pod koniec stycznia na nasze ekrany. Napiszemy o nim oddzielnie, gdy się przekonamy kto jest górą: Prus czy Kawalerowicz.

„Wehikuł czasu"; słusznie nagrodzony „Oscarem" za najlepsze efekty techniczne, powstał według noweli Wellesa, pod tym samym tytułem. Jest może najbardziej sensacyjnym filmem, jaki trafił na nasze ekrany. Ukazuje ziemię za dziesiątki tysięcy lat i już teraz Ivette Mimieux, najpiękniejszą z młodych gwiazd amerykańskich. Reżyserował specjalista od filmów science-fiction, George Pal.

Tylko w tym jednym i jedynym filmie „Wrak „Mary Deare" zagrali razem Gary Cooper i Charlton Heston, wybitnie przystojny aktor znany nam z „Białego Kanionu" i niestety, nie znany nam dotychczas jeszcze ze słynnego „Ben Hura"; gdzie odtwarza rolę tytułową. Sensacyjna historia walki o na wpół zatopiony okręt, znakomicie reżyserowana przez M. Andersona, posiada dodatkowy atut w postaci ślicznej Virginii Mac Kenna i fantastycznych zdjęć Josepha Ruttenberga.

Marylin Monroe i Joseph Cotten, bohater filmu „Portret Jenny" są parą bohaterów filmu Henry Hathawaya. Nasycona sensacją i napięciem akcja filmu rozgrywa się nad słynnym wodospadem Niagara — stąd tytuł filmu Dawno nie widzieliśmy tak mrożących krew w żyłach zdjęć i tak ciekawej intrygi kryminalnej.

Ożywienie daje się zauważyć w kabaretach i kabarecikach warszawskich. Sympatykom małych scenek polecam oprócz „Dudka" (dobry, nowy program), „Łopka" (słabszy), nastrojowy kabaret „U Warskiej" na Nowym Świecie i „Małpę" — pardon, ale tak nazwał swój kabarecik Józek Prutkowski.

Zapomniałabym, że dla miłośników mocnego uderzenia szykuje się „Gitariada" (piękna nazwa, prawda?) — przegląd zespołów big - beatowych, a dla wielbicieli nastroju ciszy i pół czarnej polecam uroczy, sympatyczny, aczymiły Klub Prasy i Książki, połączony z galerią malarstwa. Gdzie? Właśnie w gmachu Teatru Wielkiego w skrzydle od strony ulicy Wierzbowej.

Jest więc w czym wybierać. Przekonajcie się proszę, sami. Dziewięćdziesiąt minut jazdy z Łodzi do Warszawy, nie jest ceną zbyt wysoką!

LUDMIŁA GUTKOWSKA

Christian Dior — tylko dla panów!

„Polska papugą narodów" (J. Słowacki) I jak że to nie papużyć, „kiej potrza. Potrza czy nie potrza?" Coś dla panów: Christian Dior! Pokaz kolekcji! Zima 1965—66.

Siedziało się, a jakże, w drugim rzędzie. Widziało się aż oczy rosły. W Sali Kongresowej, amfiteatralnie sam kwiat: dziewcząt polskich i kobiet, około trzydziestki z różnych profesji; w tym sporo projektantek, krawcowych, modelek i kilka dam, które znajomość „tamtych czasów" i elegancji prezentowały nurkami nadjedzonymi przez mole wszystkich czasów. Orkiestra dyskretnie, na uboczu podgrywała, wprowadzając w chwilowe ożywienie przybyłych na pokaz, w ramach delegacji terenowych i przymusu domowego, smutnych mężczyzn o nieokreślonych zainteresowaniach. Bowiem „małpowanie" jest absolutną i wyłączną płci (brrr...) brzydkiej cechą; polega ona na mechanicznym i bezmyślnym transponowaniu, trawestowaniu, przetrajlowywaniu (!) tego, co ktoś inny, z innych stron (świata) w czoła pocie już był wydumał. Weźmy na ten przykład: Ravela — 3/4 z białych nurków, futro. Przyjmie się u nas? W Łodzi? Albo Rabelais — ten stary świntuch, ur. 1495 — kurtka z kun kanadyjskich. Zawędruje na Koziny?

A z Rimbaudem, to już cała afera: nie wiem czy wszyscy pamiętają czasy, gdy on maczał palce w handlu żywym towarem w Afryce, a teraz znów: Rimbaud — kurtka z kun amerykańskich. Futerka z imionami wziętymi z muzyki i literatury, niemniej jednak gustowne, praktyczne i co najważniejsze przystępne...

Fot. W. Paryś

Fot. W. Paryś

Panowie drzemią, a Francuzi muszą robić za nas modę w szczególności Marc Bohan, Dyrektor Artystyczny Domu Mody Christian Dior. To on, w czoła pocie przewiózł „specjalnie z Paryża linią lotniczą Air France" kolekcję: 131 modeli i 9 modelek I nic się nie pogniotło! Niektóre modelki zapewne nasze panie znają z okładek Vogue'a i Elle. Czego to magia fotografii, a nawet telewizji nie jest w stanie zrobić z człowieka!... A nasi panowie drzemią w dwurzędowych „tenisach", poniektórzy obok swych pięknych połówek, które z wypiekami na twarzy i w spódniczkach do pół łydki niekiedy. Tak, tak... a później mechanicznie i bezmyślnie będą oni (panowie) podtrzymywać gatunek. Pójdą i po prostu, zwyczajnie, bez znawstwa, przekonania i trudu najmniejszego zapłacą za: Bobby-kostium z bluzką; Clotilde — suknia wieczorowa z etolą; Barbara — suknia i płaszcz; Marie-Anne — suknia wieczorowa z płaszczem; jedno z dziesięciu, albo lepiej dwa futerka; oraz dodatki (prawdziwa elegancja polega na dobrze dobranych dodatkach!) jak: najbliższa ciału i sercu delikatna odzież, kolia, rękawiczki, szale i kosmetyki. Nie należy zapominać, że do każdej pory i oczywiście kreacji, nasza pani ma nosić inne pantofle i używać innych kosmetyków. Zakupy zrobione, wprawdzie bez najmniejszej inwencji, ale teraz... Panowie, panowie! Wolnego! Jeżeli chodzi o skromną i niezepsutą dzieweczkę to: Hymenee — suknia ślubna.

Ten Wiśniewski (nie mieszać z Wiśniewskim z Łodzi!) to jednak bezczelny facet. W hallu, gdzie high life, i bon ton — nieco zapóźniony, już bez ambasadorów, artystów, uczonych i intelektualistów, przy żonach, bo dzień trzeci i przewaga wycieczek terenowych — to on, Wiśniewski żwawy i obrotowy. Gdy weszła pierwsza modelka, to on całym ciałem w „wybieg" napięty; druga weszła, trzecia, czwarta... — tylko Valery ma coś w rodzaju piersi — powiedział — a Tima coś niby nogi, a Christel robi biodrami, hula-hoop, czy coś... poza tym nic takiego — i ziewnął. Bezczelny ten Wiśniewski, aż dziw, że Wiśniewską ma za żonę. Nie rozumie jeden z drugim (samiec), że modelka stroje ma demonstrować.

Znajomy filozof, uczeń Cieszkowskiego, trochę niedowidzi, ale ma okulary, lornetkę i mówi: kobietka, panie szanowny, winna być, panie łaskawy, jak ta... — łania, podpowiadam. Krzywi się z niesmakiem. — W gorsecie, wyciśnięta, cacuszko! Jak... — Jak co? — Niecierpliwię się. — Muzycznie, panie mu... — Już wiem! Jak gitara! — Mniejsze coś, mniejsze... — Skrzypce! — Ee... łaskawco... szarpane... — Mandolina! — O, o... trochę krąglejsze. — Myśli. — Bałałajka — wykrzykuje radośnie. Spłakaliśmy się z uciechy.

A materiały! A gatunek! Najwyższy. Modne: brokaty (duży kawał brokatu zwisa bezużytecznie nad sceną); ciężkie jedwabie na długie wieczorowe suknie; komplety na dzień jednobarwne lub zestawione kontrastowo; suknie pod płaszcze, bluzki pod kostiumy, bez rękawów. Dużo bieli czystej albo „złamanej kością słoniową". Czerń, fiolet, czerwień — mocne, zdecydowane kolory. Wiele sukien z etolą (strojne) czasem wieczorowe z bolerkiem. Suknie, jeżeli długie, to do ziemi i raczej wąskie dołem; jeżeli krótkie, to nie kryją kolan. Strojne wieczorowe i popołudniowe — z długimi rękawami, a jeżeli dekolt, to na plecach. Wszystko gładko pod szyję, bez kołnierzy. Do wieczorowych sukien — szale lamowane futrem. Do płaszczy i kostiumów — długie krawaty z futra. Kapelusze b. duże, ale również małe „Piotrusie" do małych płaszczyków. Na przedpołudnie sportowe buty na wysokim, grubym słupku, zachodzące na podbicie.

Otóż Szanowni Panowie! Nam zrobiłem tę wyliczankę ku pamięci. Zakup rzecz niewielka, jak sami widzicie Trochę, przynajmniej teraz, uwagi, pamięci i z głowy.

Ale niechże ten płaski oportunizm „małpowania" z pamięci mód zagranicznych nie zabija w nas honoru estety i dumy narodowej. Otrząśnijmy się z drzemki, Panowie! Nie o fatygę i drobny wydatek tu chodzi, Panowie! Nie dobór naturalny za cenę indywidualności przecie. Przyjdzie chwila odwagi, a kiedyś przyjść musi i trzeba będzie „zapodać":

1. Jak dekolt, to z przodu, a nię z tyłu.
2. Jak noga, to na szpilce, a nie na słupie, bo krzywa.
3. Jak wyżej kolana, to w domu.
4. Jak płaszcz, to nie futro. (Kochanie).

Ejże! Ale nie podburzam. Można ostrożnie. Naprzód niby nic, opowiadać: specjalny pokaz kolekcji (to, że sportowo-narciarskiej, przemilczeć!) przygotowanej przez „Modę Polską" wraz z Cepelią odbył się w salonach... (jakich, nie mówić!) Nasze kożuchy, samodziały, parzenice, pasiaki, kapce i chusty wzbudziły ogromny entuzjazm publiczności (mówić, licznej!), dziennikarzy francuskich i modelek „Diora", które wtargnęły na scenę i zaczęły gorączkowo przymierzać modele odarte z Polek. W tym czasie przedstawiciele dyrekcji „Diora" wraz z innymi wpływowymi osobistościami „na pniu" zakupili wszystkie nasze eksponaty.

No i co? Ejże Panowie!

A niechaj narodowie wżdy postronni znają,
Iż Polacy nie gęsi, iż swój język mają".

ROMAN ŁOBODA

List z PRAGI

Rabbi Löw spełnia życzenia...

Na słynnym praskim cmentarzu tuż obok gotyckiej synagogi, do której pielgrzymują tłumy turystów, jest grób rabbiego Löw, Rabbi Löw, twórca Golema, umarł w r. 1609 i od tego czasu — jak mówi legenda — spełniają się życzenia wrzucane wraz z kamyczkiem do grobowca, w którym spoczywa mędrzec i filozof żydowski. Oczywiście, życzenia bywają różne. „Rabbi, daj, żebym zdała maturę" — oto najbardziej banalny przedmiot westchnień posyłanych podobno w okresie egzaminacyjnym przez setki praskich mundurków. „Czy nie ma pan żadnych życzeń" — spytałam Japończyka, który milcząc przypatrywał się moim żarliwym literkom, gryzmolonym na skrawku papieru. „Owszem, chciałbym pójść z panią na kawę" — odpowiedział dość przytomnie.

Na kawę zabrakło jednak czasu W lokalu Związku Literatów Czeskich w Národní Třída 11 czekało właśnie kilku młodych pisarzy i krytyków z miesięczników „Plamen", „Twarz" oraz tygodnika „Literarní Noviny": Vladimir Karfik, Zdenik Pochop, Karpatskij i Drapal.

Po żywej dyskusji o tradycjach współczesnej poezji czeskiej, o jej związkach z poezją europejską, zwłaszcza niemiecką oraz amerykańską (z tej ostatniej tłumaczeni tu popularni, niestety, jakże mało znani w Polsce beatnicy: Ferlinghetti, G. Corso, Ginsberg) — poruszyliśmy niemal automatycznie temat obchodzący wszystkich bodaj pisarzy, z którymi zdarzyło mi się rozmawiać w Czechach: czasopisma literackie.

Ich aktualny układ i wpływ na kształt młodej literatury. Sześć pism Związku Literatów to stanowczo niedużo — mówili niektórzy krytycy. Naszym ideałem były tygodniki grup artystycznych, prowadzące spory literacko-estetyczne i światopoglądowe, dyskutujące o istotnych sprawach pisarzy i czytelników. W aktualnym układzie (nb. pisma regionalne są, inaczej niż u nas, o wiele mniej atrakcyjne od centralnych) daje się odczuć w środowisku praskim brak takich czasopism jak słowacki „Host do domu". Spory artystyczne zamieniają się często w monologi, są bardziej fachowe, czysto „literackie", mniej aktualne.

W ostatnim okresie cierpi na pewien uwiąd publicystyczny w czeskich pismach także problematyka polska. Jakby nie było w Pradze i poza Pragą mamy znakomitych, oddanych polskiej literaturze tłumaczy, z królową polonistów Heleną Teigovą na czele. Ona sama, co najwyżej z przystojną i miłą córką — także tłumaczką, przełożyła na czeski większość najlepszych pozycji współczesnej literatury polskiej: „Sennik współczesny" Konwickiego, prozę Brandysa, Borowskiego, Andrzejewskiego, Iwaszkiewicza.

W samym tylko I półroczu 1965 r. ukazały się poza tym w Pradze tłumaczenia książek Mrożka, Dygata, Szymborskiej, Jastruna, Żukrowskiego, Leca, Stryjkowskiego, Rożewicza, Hena, Piwowarczyka, Lema itd. Prócz tego prace socjologów Baumanna i Wiatra. Nieraz padają polskie nazwiska podczas dyskusji i wieczorów poetyckich w kabarecie „Viola", gdzie nad kieliszkiem wina przesiadują godzinami długowłosi młodzieńcy.

W prasie literackiej te polskie zainteresowania niektórych czeskich pisarzy i czeskich czytelników nie znajdują dostatecznego wyrazu. Brak nam informacji krytycznej na ten temat — mówią redaktorzy Zresztą w polskiej prasie także wciąż za mało miejsca poświęca się przekładom z literatury czeskiej. Owszem, „Literarní Noviny" mają zamiar recenzować teraz szkice Kołakowskiego, zresztą już omawiane poprzednio, książkę A. Schaffa — ale to z filozofii. Pisarze? Chcielibyśmy poznać osobiście wasz „pierwszy garnitur" związkowy, a tymczasem z oficjalnymi kontaktami różnie bywa...

Ślady związków polsko-czeskich (różnego typu związków, nie tylko literackich) odnajduję na każdym kroku. Oto w ponurym, niedostępnym, jakże pięknym Karlsteinie, uśmiechają się ze ścian dwie (spośród czterech) żony cesarza Karola IV: Anna Świdnicka z obtłuczonym marmurowym noskiem i zamyślona Elżbieta Pomorska. Ale to tylko historia...

Przemierzając sale jednego z najwspanialszych na świecie muzeum czeskiego gotyku przed Madonną z Dzieciątkiem pędzla nieznanego mistrza (1380 r.) spotykam zamyślone oczy młodej historyczki sztuki z Polski. Pisze pracę o współczesnym malarstwie awangardowym w Czechosłowacji — wcale niezłe to malarstwo.

Idziemy przez spadające ogrody Hradu. Na dnie małej fontanny, wśród wielu innych leży największa chyba ilość polskich pieniążków. Nasi turyści chcą zapewnić sobie, wedle przesądu obowiązującego w Rzymie, Paryżu, Pradze, powrót na praskie Stare Miasto. Choćby po to, żeby włóczyć się alejami pustego parku przy pałacu feldmarszałka Ferdynanda III, rycerza Wallensteina, któremu gwiazdy przepowiedziały przedwczesną śmierć Choćby po to, żeby w kafkowskich uliczkach, na dziwnym cmentarzu, przy tajemniczym grobie rabbiego Löw powtarzać najbardziej intymne pragnienia. Spełniają się, wierzcie mi. Daję na to słowo honoru.

ALICJA LISIECKA

MIKRO-PORTRETY odgłosów

STANISŁAW WOJTASIK

Zainteresowania swoje określa krótko: Jestem miłośnikiem ptaków. Najpierw spotkało się to ze sprzeciwem żony, ale powiedziałem — trudno, nie chcesz ptaków, to się rozejdziemy. A obecnie żona pomaga mi pielęgnować moje gołąbki.

Wielka namiętność zaczęła się w r. 1957. Z poręki prezesa Zrzeszenia Polskich Hodowców Gołębi Pocztowych za ciężkie pieniądze nabył parkę na Śląsku od kogoś, kto sprowadził ptaki z Belgii. Od tej pory ma zajęcie, bo o gołębie trzeba bardzo dbać, gołąb pocztowy nie może być za tłusty. Tusza u gołębia wysłanego na zawody to prawie tyle samo co śmierć. Zasłabnie w drodze. Bo też odległości, które muszą przebyć gołębie na zawodach są naprawdę imponujące. „Siwka" zarejestrowana jako gołąb P-62-7618 pierwsza przebyła trasę wybrzeże Holandii — Łódź równą 1.028 km. Kiedy wróciła do Łodzi, nie chciała wejść do gołębnika, usiadła na pobliskim dachu i odpoczywała. A tu minuty lecą. Aby lot był ważny, trzeba ptakowi zdjąć z nogi gumową obrączkę kontrolną z numerem i odnieść od oddziału Zrzeszenia Hodowców. Ale udało się. „Siwka" była pierwsza. Pokonała belgijskie, holenderskie i niemieckie ptaki.

Zięć, z zawodu elektryk, widząc Wojtasika wyczekującego ze zdenerwowaniem w gołębniku, założył w ptaszarni dzwonek do mieszkania. Gołąb, który wchodzi do wnętrza siada zwykle na parapecie. Blacha ugina się pod nim zamykając elektryczny obwód. I wtedy w mieszkaniu sygnał: drrr, drrr.

Ale Wojtasik i tak najczęściej przebywa w dużym, zrobionym z poddasza gołębniku, który na potrzeby hodowli przyznała mu Rada Narodowa m. Łodzi. Wypędzić go stamtąd może tylko noc, albo godzina rozpoczęcia pracy w Zakładach Wełnianych im. Barlickiego, gdzie od lat jest czyściarzem.

Taką już ma ptasią naturę.

JANUSZ DUNIN

Z BIBLIOFILSKIEGO raptularza

EX-LIBRIS JULJANA TUWIMA

Z dużym opóźnieniem dotarła do Łodzi wieść o niezwykłej i nieco tajemniczej książeczce, która może wzbudzić tu szczególne zainteresowanie, ponieważ obraca się wokół osoby twórcy silnie z naszym miastem związanego

W Muzeum Adama Mickiewicza na warszawskim rynku Starego Miasta znalazł się ostatnio złożony przez żonę poety księgozbiór Juliana Tuwima. (Nawiasem mówiąc decyzja ta przekreśla, a w każdym razie bardzo utrudnia realizację marzenia wielu łodzian, aby w rodzinnym mieście poety stworzyć muzeum poświęcone jego pamięci). Wspomniana biblioteka tuwimowska dostarczyła materiału do niecodziennej publikacji. Pracownik muzeum, Tadeusz Januszewski, zainteresował się dedykacjami, jakie znalazły się na egzemplarzach autorskich i różnych ciekawostkach bibliofilskich, dostarczanych Arcyszperaczowi przez przyjaciół i wielbicieli. W wyniku tych zainteresowań powstała książeczka, której kartę tytułową stanowi Ex-libris Juliana Tuwima — wykonany dla księgozbioru poety przez J. Toma. (Wydawnictwo to jest numerem specjalnego periodyku wydawanego przez muzeum). Pomimo, że większość przedwojennych zbiorów poety podzieliła losy stolicy, zebrany materiał (stanowiący tylko wybór dedykacji z książek tuwimowskich) przedstawia się bardzo interesująco. Wśród ofiarowujących swe książki nie brak najtęższych piór naszej literatury, uderzające jest bogactwo i różnorodność tych niewielkich w swych rozmiarach utworów Można przypuszczać, że twórcę „Rzeczy Czarnoleskiej" najbardziej musiał ucieszyć najskromniejszy z nich, bo liczący tylko dwa słowa:

„TUWIMOWI
STAFF"

W większości dedykacji brzmi ton uwielbienia:

JULIANOWI TUWIMOWI
ARCYPOECIE
TYLE, ILE UMIAŁEM
MIECZYSŁAW JASTRUN.

Wśród nielicznych zachowanych przedwojennych dedykacji znajdujemy też interesujące „łodzianum". — Na zbiorku swym „Ludzie wśród ludzi" wydanym w Łodzi w r. 1932 — Światopełk Karpiński pisał:

„PANU JULIANOWI
TUWIMOWI
ŁOWCY
NAJDZIKSZYCH
ZWIERZĄT: SŁÓW!!!"

Nie brak też słów hołdu dla arcypoety od ludzi, których drogi twórcze były przeciwstawne tym, po których wędrowali poeci zwani „Skamandrytami":

JULIANOWI TUWIMOWI
WIELKIEMU POECIE
Z WYRAZAMI PRAWDZIWEGO POWAŻANIA
JULIAN PRZYBOŚ.

Sam poeta jednak zdawał sobie sprawę, że nie wszystkie superlatywy umieszczone w dedykacjach są szczere. Kiedy Adam Tarn zastanawiał się co napisać na autorskim egzemplarzu swej „Zwykłej sprawy", Tuwim wyrwał mu książkę i szybko nakreślił:

„WIELKIEMU POECIE, WSPANIAŁEMU
I CUDOWNEMU CZŁOWIEKOWI, GENIALNEMU
TŁUMACZOWI POETÓW ROSYJSKICH
JASNOWIDZOWI I PROROKOWI; IDEAŁOWI
JAKI DAREMNIE STARAM SIĘ OSIĄGNĄĆ
Z NAJWYŻSZYM UWIELBIENIEM
I NAJNIŻSZYM SZACUNKIEM".

„Nieco przesady" — powiedział Tarn podpisując tę osobliwie parodystyczną dedykację, Osobną grupę stanowią te wpisy, które starały się uniknąć laurkowego stylu, pochodziły one najczęściej od osób, które łączyła z Tuwimem większa zażyłość Tu często przewijają się aluzje do onegdajszych dysput i sporów a nieraz brzmią tony żartobliwego liryzymu, zaprawionego niekiedy szczyptą ironii.

„JULIANOWI TUWIMOWI
PO KŁÓTNI
I PRZED KŁÓTNIĄ
ADAM WAŻYK"

JULKU! TO NIE ALKOHOL
POETO ŁÓDZKI
POETO LUDZKI
JA CIĘ KOCHAM
W. BRONIEWSKI

Trzeba pamiętać, że te osobiste dedykacje nie były przez autorów przeznaczone dla szerszej publiczności — ot, przyjacielski uśmiech i żart, przesłane Julianowi i jego dobrym towarzyszom gwoli.

Książeczka, która może zainteresować znawców i miłośników twórczości Juliana Tuwima — ma jednak szersze znaczenie. Zwraca naszą uwagę na zaniechaną dziś sztukę pięknego dedykowania. Autograf ma podnieść walor książki, pozbawić egzemplarz standardowego, bezosobowego charakteru. A tego celu nie spełnią stereotypowe słowa: „Miłemu p. Kowalskiemu z prośbą o przyjęcie — Autor".

BIBLIOFILSKA GLOSSA

Wydając na światło dzienne zbiór tak intymnych utworów, jakimi są dedykacje, wydawcy uczynili słusznie wydając z bibliofilską starannością książeczkę w bardzo ograniczonej liczbie 222 numerowanych egzemplarzy. ponadto w rękach czytelników znalazła się pewna ilość tomików nienumerowanych z błędem zecerskim w dedykacji K. I. Gałczyńskiego. Ograniczenie nakładu spowodował nie fakt małego zainteresowania tego typu wydawnictwem, chodziło zapewne o podkreślenie intymności osobistych, nieraz b. bezpośrednich i literacko niedopracowanych zdań, którym nadano również intymną formę wydawniczą. Druk nie będący przedmiotem handlu księgarskiego, stał się własnością przede wszystkim bibliotek i grona osobą poety zainteresowanych, które mają prawo potraktować wydawnictwo jako osobistą pamiątkę z księgozbioru wielkiego poety. Dlatego chwalę Ex-libris Juliana Tuwima - piękne i potrzebne wydawnictwo *).

*) Zgodnie z prawdą muszę jednak przyznać, że nim udało mi się zdobyć egzemplarz tej książeczki, ciężko przeklinałem pomysł takiego ograniczenia nakładu.

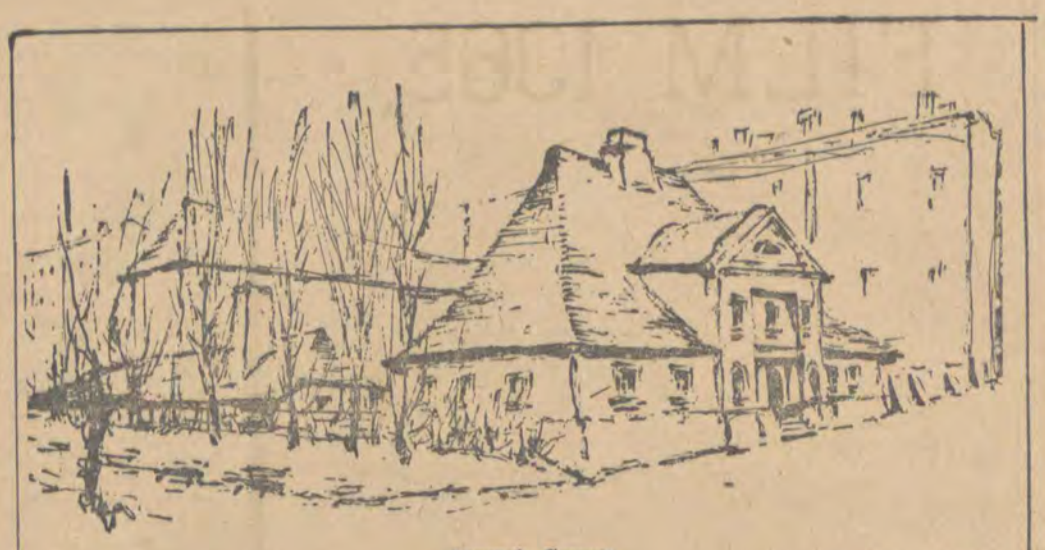

Dworek Gayera *Rys. W. Śniadecki*

JERZY DARNAL

PERŁY DAWNYCH KARNAWAŁÓW

„Karnawał, z łacińskiego: caro i valet, to jest: mięso, bywaj zdrowe! zowie się (początkowo we Włoszech) czas zabawami, krotochwilami i różnego rodzaju wesołością przepełniony, od Święta Trzech Króli (6 stycznia) aż do Środy Popielcowej, czyli do rozpoczęcia czterdziestodniowego postu, w którym się wstrzymać należy od wszelkiego mięsiwa".

„W Polsce zapusty suto niegdyś bywały obchodzone: maski, reduty, kuligi, przebierania się, panowały powszechnie; nowszemi czasy, ograniczał się karnawał na maskaradach i balach; od lat trzech umilkł zupełnie; po pączkach i faworkach jedynie poznać go można".

ENCYKLOPEDIA POWSZECHNA ORGELBRANDA 1863

Łódzki karnawał końca XIX wieku mieści się w tej definicji. Przekazy źródłowe opowiadają nam zresztą tylko o karnawale wytwornym. Co roku na stawie w Helenowie urządzana jest płatna ślizgawka, oświetlona elektrycznością i sztucznymi ogniami, a łyżwiarzom przygrywa dobrowa orkiestra.

Natomiast karnawał w Łodzi początków XX wieku jest zasadniczo odmienny. Niezmiernie wzrosła liczba uczestników zabawy, formy karnawałowych uciech są o wiele bogatsze. W gazetach pojawiają się coraz liczniejsze ogłoszenia o balach, maskaradach i redutach. Zacytujmy za „Republiką":

„Hallo. Czerwonego Krzyża maskarady noc się zbliża, piąty styczeń — termin krótki, więc opędźcie wszelkie smutki i czekajcie, pełni werwy, cudnej trosk codziennych przerwy. Wszak renomę ma nie lada ta doroczna maskarada, istna perła karnawału, noc upojeń, czaru, szału. Ale pewno nigdy jeszcze nie przechodziły was dreszcze takich wrażeń i uroku, jaki Was spotka w tym roku. Byście (niech strzega anieli) z zachwytu nam nie pomdleli, ujrzawszy cudów miraże — rąbek ich tu Wam ukażę.

A zatem, bez łaski Cooka, do wrót się Azji zastuka, by roztoczyła swe blaski: pagody, palmowe laski, Indochin czar nieodparty, lwy (z Malinowej), lamparty oraz (z dansingów) gazelle. Przyznajcie, że wrażeń wiele mieć można w takiej socjecie. Ale wszystkiego nie wiecie. W kostjumie cud-maharami, na pana czeka tam pani i maharadża wyśniony tam przyjdzie szukać swej żony. A smok złocisty z ogonem będzie tych stadeł patronem, że zaś zabawa się uda, przyrzeka sam wielki Budda. A wszystko kosztuje jeno 5 złotych, za bilet jeden, nie liczy się bowiem z ceną Komitet, dając Wam Eden".

Bilety „wczas dostać można" na ulicy Piotrkowskiej w gmachu Siemensa (czyli tu, gdzie się dzisiaj mieści redakcja „Odgłosów"). Brak wierszyka czy Budda dotrzymał obietnic, wiadomo tylko, że dochód brutto wyniósł 14.067 35 zł. Bo też prawie zawsze maskaradom, balom, redutom przyświecał jakiś „uświęcony" cel, czy to chodziło o „czysty zysk przeznaczony na bezrobotnych pracowników drukarskich", czy też o zysk „celem zasilenia skromnych funduszów Komitetu Szpitala „Kochanówka".

A gazety, jakby na ironię, właśnie w tym świątecznym okresie donosiły najchętniej o tragediach: „Początek „lepszego" roku": Straszne samobójstwo zubożałego kupca; śmiertelny skok z 6-go piętra. Samobójstwo w garsonierze. Zabił się w mieszkaniu kobiety, którą ukochał nad życie. Ajzyk Rapoport zamieszkały przy ul. Engla 9 wracając z maskarady sylwestrowej został przejechany na Placu Wolności przez dorożkę. „Koledze W. za urządzenie wesołego Sylwestra składamy serdeczne „Bóg zapłać". „Nad mieniam. że 38 groszy za stłuczoną szybę już uiściłem. Jeden z uczestników zabawy".

Wchodzi w modę charleston: jakiś anonimowy Petroniusz przestrzega, że „w żadnem solidnem towarzystwie się nie przyjmuje" jako taniec marynarzy z podrzędnych szynków: „Charleston" pod żadnym pozorem nie może mieć dostępu do salonów", „Charleston co nie wszystkim jest wiadome, powoduje zapalenie stawu kostkowego, a u kobiet może wywołać nawet poważną chorobę".

Natomiast Shimmy był tańcem dla wszystkich „bez różnicy wieku, przekonań i narodowości". Blues nazywany także „fox bluesem" co znaczy „błękitny lis" jest też dostępny dla wszystkich, ale bardziej dystyngowany. Jeszcze wyższy stopień elegancji osiąga tango, zwłaszcza tango paryskie mające „prawo obywatelstwa nawet w salonach", podobnie zresztą jak boston.

Reprezentacyjny bal 31 Pułku Strzelców Kaniowskich w salonach Grand Hotelu zaczyna się zwykle polonezem, mazurem oraz kotylionem. „Strojem obowiązującym dla panów jest frak i smoking". Moda kobieca jest jeszcze bardziej wymagająca, lansuje wprawdzie dowolność kroju, ale suknia powinna być koniecznie ze złotej lamy naszywanej barwnymi półszlachetnymi kamieniami. „Z tyłu długi szeroki tren zakończony pasem sobolowym". Szczytem zaś elegancji są „suknie geograficzne" z tkanin, których deseń stanowią batikowane fragmenty map.

Czy wszystkie panie łódzkie mogły sobie pozwolić na tego rodzaju stroje? Zapewne mogła to uczynić pani pułkownikowa Iwanowska, mecenasowa Fichnowa, dyrektorowa Lewensteinowa, (na akademickim raucie p.n. „U króla Stasia" w Łódzkiej Filharmonii). Zdjęcia upamiętniające tradycyjny „five o'clock" dowództwa okręgu IV korpusu utrwaliły buzie kilku jeszcze dam, które bez wahania można wymienić obok tamtych nazwisk: Pani wojewodzina Darewska, na pewno pani baronowa Heintzlowa, pani generałowa Małachowska, pani Leonowa Grohmanowa czy wreszcie pani doktorowa Tochtermanowa.

Oglądając te toalety i piękne buzie wierzymy, że najlepszym przydatkiem kobiecego stroju „był męski frak z jakimś wdzięcznym tancerzem w środku".

Szary obywatel szukał natomiast wiadomości w rodzaju tej: „Kostjumy maskaradowe do wynajęcia. Przejazd 14, II piętro front, Kolubiński". Maskarada na „zasilenie funduszu Kasy Inwalidów Strażaków" zupełnie zresztą nie przypominała zabawy strażackiej. Komitet zapowiadał niespodziankę p.n. „Noc w Japonii" i przyjazd członków konsulatu japońskiego, którzy pono zachwycili się „przedstawionym im projektem dekoracji". Nie gorzej przedstawiała się impreza Ligi Morskiej i Rzecznej (nie ma w tej nazwie jeszcze ani cienia kolonializmu) „Łódź na plaży". Wprawdzie kierownictwo powierzono pani generałowej Arctowej i pani pułkownikowej Iwanowskiej, ale nie zabrakło w komitecie organizacyjnym i artystów plastyków: Grusa, Lubelskiego i Mackiewicza. Właśnie na nich spadł obowiązek zamienienia części sali na rozsłonecznioną plażę, „w niszach zaś panowie plastycy mieli umieścić groty koralowe i muszlowe".

Cele i zadania balu organizowanego corocznie przez Chrześcijańskie Towarzystwo Ochrony Kobiet (kierowała tym towarzystwem baronowa Heintzlowa) uprzytomni nam wierszyk:

„W dniach karnawału, kiedy piękna pani i pan wytworny w zabaw szale — tonie — najszczęśliwszym, złóżcie grosz swój w dani, myślą się zwróćcie ku Kobiet Ochronie. Każda z Was, Pani, szczęśliwa i strojna w uśmiechach losu, gdy życie spędza — lecz dla sióstr waszych dola jest mniej hojna i czyha na nie głód, ulica, nędza.

A wy, Panowie, co u stóp kobiety składacie wieńce hołdów i miłości, pomyślcie chwilę o tej, co niestety, od losu żąda jedynie litości".

„Więc Towarzystwo dla Kobiet Ochrony do Was z gorącym apelem się zwraca: choć płochy środek, lecz cel uświęcony, a wszak najbardziej zabawa popłaca. Zatem na bal Was prosimy uprzejmie w 20-tym stycznia w Grand Hotelu Sali, a już Komitet cały trud podejmie, aby tradycje wznowić polskich bali".

Z wybuchem kryzysu, który przyniósł Łodzi masowe bezrobocie, otwarcie wznawiać „tradycji polskich bali" już nie wypadało. Mogli sobie pozwolić na to jedynie Strzelcy lub Oficerowie IV Korpusu choć i oni zapowiadają, że ze względu na istniejącą sytuację „nie będzie żadnej kaeoty" czyli dodatkowych opłat Wobec kryzysu nawet „rendez-vous wykwintnych sfer towarzyskich" musiało odbyć się skromniej.

Ale atrakcji nawet w tych latach nie brakowało. Gazety doniosły o przygodzie, jaka spotkała w sali Filharmonii przemysłowca J. K. w związku z obecnością na tym balu hypnotyzera Władysława Messinga. Na życzenie przemysłowca hypnotyzer pokazał kilka łatwiejszych „sztuk" telepatycznych, co jednak pana J. K. tak bardzo znudziło, że puścił się w tany. Po pewnym czasie spostrzegł brak zegarka wartości 650 zł. Wówczas już na serio zwrócił się o pomoc do hypnotyzera. Ten publicznie wskazał złodziejkę, niejaką Milę K., lat 24. Okazało się, że pan Messing jest prawdziwym mistrzem w swojej sztuce.

A łódzcy ogrodnicy — których jeszcze nie zwano badylarzami — organizując w „Hotelu Manteufel" przy ul. Zachodniej bal, ogłaszali w gazetach, że „każda z pięknych pań musi przyjść po swoje kwiaty". Jednak taki anons brzmiał niezbyt przekonywająco obok coraz częstszych ogłoszeń „Przyjmę każdą pracę".

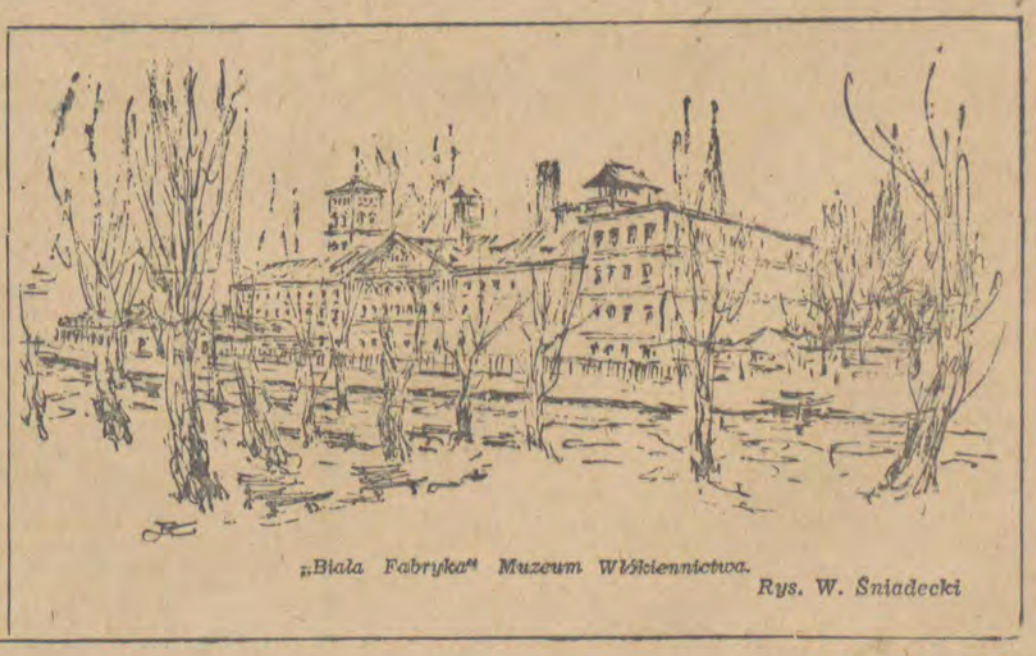

„Biała Fabryka" Muzeum Włókiennictwa. *Rys. W. Śniadecki*

FILM 1965

FILMY ROKU 1965 —

Co się nam najbardziej podobało z tego, co łaska niebios, a wola CWF pozwoliła nam w bieżącym roku w kinach oglądać, spisane gwoli spokoju sumienia, alfabetycznie.

The Beatles — Richarda Lestera, najzabawniejsza i najsympatyczniejsza komedia roku. Nowe, a jakże świetnie fotografowane spojrzenie na głośny zespół.

Czarny Piotruś — Milosa Formana — czyli jak można, korzystając z doświadczeń cinema-verite zrobić film subtelny, liryczny, mądry i naprawdę prawdziwy.

Daniel i Liza — Franka Perry — piękny a prosty film o miłości i nadziei, o tym, że jedynym ocaleniem człowieka jest zawsze drugi człowiek.

Diamenty nocy — Jana Nemeca — tzw. wydarzenie sezonu. Widzenie dramatów wojny, obce wszelkim dotychczasowym schematom. Znakomita forma.

Judex — Georgesa Franju — dawnych wspomnień czar. Urocza zabawa w kino naszych dziadków. Pouczające dla młodzieży.

Kobieta z wydm — Hiroshi Teshigahary — surowy, buddyjski poemat o kondycji ludzkiej, utkany z ziaren piasku. Traktat filozoficzny kamerą pisany.

Lampart — Luchino Viscontiego — takie włoskie „Popioły", ale o prawdziwie włoskiej urodzie. No, i zamiast Olbrychskiego — Burt Lancaster!

Osiem i pół — Federico Felliniego — największe, najdziwniejsze, najpoetycznieisze widowisko czarno-białej magii.

Oskarżony — E. Klosa i J. Kadara — najbardziej nonkonformistyczny „rachunek sumienia" w dziejach socjalistycznych kinematografii.

Ręce nad miastem — Francesco Rosi — „film „nowofalowy", film artystycznej awangardy, film obserwacji wielopłaszczyznowej jest zarazem jednym z najsilniejszych ciosów politycznych w kinie europejskim ostatnich lat" (Z. Kałużyński - krytyk filmowy).

Salvatore Giuliano — F. Rosi — jeszcze jeden dowód na to, że można robić filmy polityczne i zaangażowane, nie roniąc nic z tzw. sztuki.

Tom Jones — Tony Richardsona. Bierze się ciężko strawnego klasyka i szczyptę talentu. Przy pewnym, lecz niewidocznym wysiłku wychodzi arcydzieło inwencji i dowcipu, świetny pastisz stylistyczny, cięta satyra społeczno - obyczajowa i bezgraniczna afirmacja radości życia. Znakomite na wszelkie odmiany frustracji i alienacji.

Za białym murem — Karela Kachyny — „Liryka, liryka, tkliwa dynamika, angelologia i dal" (K. I. Gałczyński — poeta polski).

W porównaniu z witalnością i absolutną afirmacją życia Ursuli Andress, Jane Fonda reprezentuje sex-bombę z wczorajszej ponurym wydaniu. Mimo olśniewającego blasku rywalki Jane, dzięki wytrawnej pomocy wybitnego specjalisty w tej dziedzinie, Roger Vadima, pozostaje nadal rewelacyjną sex-bombą A.D. 1965

Ursulę Andress, 30-letnią Szwajcarkę uznano bezapelacyjnie za uosobienie wdzięków kobiecych epoki atomu i laseru, za piękność

„Trzeba angażować się w sprawy, w których rzeczywiście o coś idzie, a nie gdzie wszystko jest jasne i oczywiste".

V. CHYTILOVA

roku 2000. Jeszcze do niedawna, Ursula nie mogła odnaleźć się w kinie i dopiero trzeba było Jamesa Bonda aby objawić ją stęsknionemu za jakąś nową sex-bombą, światu. Ursula nie dba zresztą o pieniądze i zaszczyty. Kocha życie, które jest zbyt krótkie, by starczyło w nim czasu na smutki i kłopoty. Jako gwiazda przyszłości głosi program całkowicie koegzystencjonalny, pod którym mogą podpisać się wszyscy bez względu na narodowość i pochodzenie społeczne, zwłaszcza w okresie

Na firmamencie rodzimego kina żadnej z prawdziwego zdarzenia gwiazdy nie zauważyliśmy. Co najwyżej gwiazdeczki i to okropnie mrugające — z niewyjaśnionych dotąd przyczyn.

świąteczno - karnawałowym: „Pragnę tylko bawić się i być szczęśliwa".

*

Bez względu na kaprysy aury i czcigodnej komisji od zakupu filmów, musimy rok 1965 uznać za udany, a to z kilku przyczyn.

Po pierwsze mieliśmy możność pełnego zachwytu oglądania boskiej i niezrównanej Grety Garbo w ponurej melodramie pt. „Królowa Krystyna". Upewniliśmy się raz jeszcze w przekonaniu, że Greta jest jedyną jak dotąd wielką artystką ekranu, której nie do-

„Najważniejsza jest prawda. Nie ma prawd pozytywnych, użytecznych itd. Sam fakt ujawniania prawdy, nawet negatywnej, jest już pozytywny".

J. JIRES

tyczy przemijanie czasu, epok i mody. **Po drugie,** aż dwukrotnie zobaczyliśmy, u progu kariery („Małpia kuracja") i u jej szczytu („Pokochajmy się") czarującą, znakomitą i niezapomnianą Marylin Monroe. Patrząc na tę cudowną i jakże inteligentną aktorkę podzielam całkowicie niechęć Felliniego do dogmatycznych intelektualistów, zwłaszcza w rodzaju Arthura Millera. **Po trzecie:** złoty chłopiec Jamesa Deana w oryginale (olbrzym) a nie tylko wielkich to na ogół niedużych ekranach (przykładów z uwagi na szczupłość miejsca nie przytoczę!).

Rok 1965 przejdzie do dziejów kinematografii jako rok triumfalnego pochodu przez

Westerny latoś nie obrodziły. Najlepszym okazał się, niestety, absolutny antywestern Johna Forda „Człowiek, który zabił Liberty Valance". W roli głównej antyStewart.

świat agenta Intelligence Service nr 007 Jamesa Bonda. Wymyślił Bonda angielski pisarz kryminalny Ian Fleming. Na ekran po raz pierwszy, nie zdając sobie zapewne sprawy z konsekwencji, przeniósł reżyser angielski Terence Young. Zagrał aktor angielski Sean Connery. W krótkim czasie Bond stał się bohaterem stulecia, zręcznie wykorzystującym w walce ze swymi przeciwnikami, najnowsze, a czasem nie istniejące zdobycze nowoczesnej techniki. W tej chwili każdy kraj, nie chcąc zyskać miana zacofanego, stara się na gwałt o własnego Bonda. Mamy już nawet żeńskie odpowiedniki. Jednym z nich będzia sama Monica Vitti. Oto do czego prowadzi nadmiar sfrustrowanej alienacji.

„Jako artyści, cóż możemy więcej utracić aniżeli prawdę? Godność, wartość człowieka i jego życie mierzy się walką o poznanie... Kłamstwo w sztuce winno być karalne".

V. CHYTILOVA

FILMY, które znamy z prasy, radia i innych środków masowej komunikacji, tudzież z opowieści bywałych w świecie znajomych:

■ *„BŁĘDNE GWIAZDY WIELKIEJ NIEDŹWIEDZICY" LUCHINO VISCONTIEGO. Złoty Lew Festiwalu Weneckiego, „Nigdy dotychczas twórca „Zmysłów" nie przeniknął tak głęboko w otchłań uczuć mrocznych i namiętności występnych... Odnajdujemy w dziele wszystkie obsesje dramatyczne i estetyczne autora", (recenzent „Lettres Francaises", „Etruskowie, Oresteja, Freud, Hitler, Leopardi, Marks i Baudelaire pod rękę" (inny recenzent, też zagraniczny).*

■ *„GIULIETTA I DUCHY" FEDERICO FELLINIEGO. Nowy kamień filozoficzny ekranowego alchemika. A oto co mówi sam mistrz o swoim filmie: „Jedynie Giulietta jest postacią „realistyczną", inne mają charakter subiektywny... Chciałem pokazać obsesje małych mężatek ze środowiska włoskiego drobnomieszczaństwa, obsesje określone przez pewien typ wychowania idealizującego życie". A Claude Mauriac autorytatywnie pociesza strapionych widzów: „Niech was nie niepokoi, że nie wszystko jest zrozumiałe. Poddajcie się urokowi form, kolorów i muzyki".*

■ *„YOYO" — PIERRE ETAIX (twórcy „Zalotnika") — rzecz o fatalnej i uciążliwej (dla bohatera) konieczności bycia milionerem. Kontynuacja tradycji Chaplina, Keatona i Tati. Podobno śmieszna i liryczna zarazem „Etaix jest jednym z prawdziwych poetów komizmu, jednym z nielicznych twórców, którzy potrafią podnieść humor na wyżyny przeżycia estetycznego, poetyckiego" (M. Capdenac — krytyk francuski).*

■ *„THE KNACK" — RICHARDA LESTERA. Grand Prix Festiwalu w Cannes. Film o sposobie na kobiety, który jak wszystkie sposoby w końcu okazuje się zawodny, ku obopólnemu zadowoleniu — bohaterów i widzów. Błyskotliwa komedia, pełna ogromnej inwencji i nieprawdopodobnych pomysłów. Tylko Yankes na dworze Królowej Elżbiety mógł coś podobnego wymyślić i gwoli powszechnej zabawy zrealizować. Film z wielkiej serii „Śmiejmy się, bo nie wiadomo czy świat potrwa jeszcze dwa tygodnie".*

■ *„SZCZĘŚCIE" — AGNES VARDY. Nagroda im. Delluca. Film przez wielu uznany za niemoralny właśnie z uwagi na dość niekonwencjonalną koncepcję tytułowego szczęścia, które zdaniem autorki jest „jak melon z wędzoną szynką lub ser z winogronami: ma smak paradoksalnej mieszaniny". „Pragnęłam — mówi Varda — pokazać kronikę szczęśliwego pożycia (szczęśliwego trójkąta dodajmy gwoli ścisłości) w rzemieślniczym środowisku paryskiego przedmieścia". „Szczęście" podzieliło Francję na dwa obozy: moralistów i wolnomyślicieli. Jak przystało białogłowie parającej się sztuką nie tylko kulinarną, Varda broni się kokieteryjnie, a może roztropnie przed ewentualnymi atakami: „W mojej twórczości jest przede wszystkim coś kobiecego — to intuicja. Byłoby bardzo niepokojące, gdyby intuicję miało się cenić niżej od inteligencji".*

■ *„SZYMON SŁUPNIK" — LOUISA BUNUELA. Nagroda specjalna w Wenecji. Trwa tylko 40 minut, a zmusza wszystkich do znacznie dłuższych refleksji. „Dzieło Bunuela — napisał krytyk patetyczny — góruje tak wyniośle nad pustynią weneckiego festiwalu, jak jego bohater, który wspiął się na szczyt samotnej kolumny na pustkowiu, by się umartwiać i być bliżej Boga". Trzeba przyznać, że niestety nie każdego reżysera stać na bunuelowskie „O sobie mogę powiedzieć tylko tyle, że nigdy nie wyparłem się moich poglądów. Robiłem filmy zgodne z moim sumieniem".*

■ *„SZALONY PIERROT" — JEAN-LUC GODARDA — największa prowokacja weneckiego festiwalu. Oddajmy głos zagranicznym recenzentom, którzy jasno, zwięźle i precyzyjnie powiedzą nam w czym rzecz. „Filozoficznie przyrządzony cukierek z dynamitem, spieniona mieszanka satyry, burleski, klownady, panoptikum i grand-guignolu...". („Film Echo"). „Ten zachwycający przykład autoanalizy, narcyzmu do n-tej potęgi; jest równie dobrze typowo anty-Bunuelowski, stanowiąc afirmację nicości naszej egzystencji, jak też anty-konstrukcyjny w sensie opowiedzenia pewnej historii..." (Lettres Francaises"). Jasne, prawda? I niech ktoś teraz powie coś złego pod adresem rodzimej krytyki.*

NASI ZA GRANICĄ

Nie tylko Borowczyk i Lenica odnoszą sukcesy za granicą. Nasza wyeksportowana gwiazda **Barbara Kwiatkowska-Lass** wystąpiła w zachodnioniemieckim (ale zrealizowanym w Kalifornii) filmie o poetycznym tytule: „Serenada dla dwóch szpiegów" reżyserii Michaela Pfleghara.

„Wstręt" — to tytuł mniej poetyczny. Autorem jest nasza inna wyeksportowana gwiazda — Roman Polański. Nowofalowy, awangardowy horror — film. Psychopatologia i myzoginizm. Słowem — autentyczna nowoczesność.

Tradycyjnym już zwyczajem najbardziej przestraszył nas jowialny i uśmiechnięty Alfred Hitchcock, przewrotnie wykorzystując do tego celu nie winne „Ptaki".

Na podstawie prasy krajowej i zagranicznej, plotek poufnych i oficjalnych tudzież głosu własnego natchnienia, opracowała wyłącznie w uczciwych zamiarach

Maria Kornatowska

REŻYSERZY ROKU

Federico Fellini (45 lat) — połączenie natchnionego artysty doby renesansu z „gwiazdą" epoki kultury masowej. Czarodziej, wizjoner, poeta. Sensualista i alchemik. Geniusz albo mistyfikator? M.in. Wałkonie, La strada, Słodkie życie, 8 1/2, Giulietta i duchy.

Jean-Luc Godard (35) — najbardziej kontrowersyjny reżyser współczesności. Ubóstwiany i opluwany. U nas z woli tak zwanych czynników, zupełnie nieznany (ani jeden film nie był w normalnej eksploatacji). M.in.: Do utraty tchu, Żyć swoim życiem, Kobieta zamężna, Pogarda, Szalony Pierrot. Mówi Aragon: „Jednego, co najmniej jestem pewien (ja, który obawiam się takich stwierdzeń — i to jest dla mnie jakby filarem pośrodku mokradeł) — sztuka dzisiejsza to Jean-Luc Godard".

Wojciech Has (40) — Coś w rodzaju polskiego Felliniego. Jedna z nielicznych w naszym kinie indywidualności, posiadająca własny styl i świat poetycki. Bez narodowych obsesji, i kompleksów. Mistrz nastroju. M.in. Pożegnania, Rozstanie, Jak być kochaną, Rękopis znaleziony w Saragossie.

Richard Lester (30) — Amerykanin, który wybrał Anglię. Łączy tradycje amerykańskiej komedii filmowej z angielskim poczuciem humoru. Zwolennik czystej zabawy, a przecież w jego filmach odbija się obraz współczesnego świata. M.in. Zabawa na sto dwa, The Beatles, The Knack, Na pomoc.

Francesco Rosi (43). Zwany włoskim Eisensteinem. Stworzył nowoczesną formę kina intelektualnego, zaangażowanego w rzeczywistość społeczno—polityczną kraju. Laureat licznych nagród międzynarodowych. M.in. Wyzwanie, Salvatore Giuliano, Ręce nad miastem, Chwila prawdy.

FILMY POLSKIE

Najładniejszym, najdowcipniejszym, najinteligentniejszym filmem polskim był, naszym zdaniem, „Rękopis znaleziony w Saragossie" — Wojciecha Hasa. Czymże jest zresztą nasza skromna opinia wobec głosów zagranicznych krytyków. Francuzi (M. Martin) mówią o „Rękopisie" jako o „zdumiewającym i wspaniałym widowisku, pełnej inwencji mieszaninie elementów pikarejskich i fantastycznych"; Anglicy (International Film Guide 1966) — jako o „polskim Kandydzie, a może nawet czymś w rodzaju pasywnego Don Kichota. Has potrafi zadziwiająco zręcznie panować nad tym stopem ekscentryczności, dowcipu i heroikomizmu. Z filmu emanuje dziwna, fascynująca filozofia życia, połączona z libertyńską swobodą i ludową naiwnością".

Najdłuższym i najbogatszym w komentarze i przyczynki filmem roku były, bezkonkurencyjne pod tym względem, „Popioły" Andrzeja Wajdy.

Najwięcej ambicji intelektualnych i najlepszy zespół aktorski miało „Salto" Tadeusza Konwickiego — film aktorski we wszystkich naukowo stwierdzonych znaczeniach tego terminu.

Najgłośniejszym (zdaje się zresztą, że jedynym!) debiutem roku były „Rysopis" i „Walkower" cudownego dziecięcia naszej kinematografii Jerzego Skolimowskiego. Jedyny nasz młody, troszkę zagniewany twórca, dwoi się i troi by skompensować brak nowej fali made in Poland; wypełnia zręcznie swoją osobą prawie całą czołówkę i znaczne partie tzw. środka. Sukcesy w kraju i za granicą.

OPERATORZY ROKU

Raoul Coutard (lat 41) — fotograf „Life" i „Paris Match" związany z francuską nową falą, a zwłaszcza z jej czołowymi przedstawicielami Truffaut i Godardem. Błyskotliwy styl zdjęć. Lubi filmować z ręki. Zdjęcia m.in. Jules i Jim, Gładka skóra, wszystkie filmy Godarda.

Walter Lassally (39) — związany z angielską nową falą oraz greckim reżyserem Cacoyannisem. Ogromna skala możliwości operatorskich. Mistrz portretu i koloru. Spec od wewnętrznej rytmizacji zdjęć, zwłaszcza w scenach dynamicznych. M.in. Elektra, Grek Zorba, Smak miodu, Samotność długodystansowca, Tom Jones.

Sven Nykvist (43) — nowy operator Bergmana, następca słynnego Fischera. Spec od urody szwedzkiego pleneru. Mistrz światła i efektownej stylizacji. M.in. Karin, córka Mansa, Jak w zwierciadle, Milczenie, A propos tych wszystkich kobiet, Kochać, Persona.

Hiroshi Segawa — autor zdjęć do „Kobiety z wydm" — „poeta kamery". Współpracę z Teshigaharą rozpoczął w r. 1961 filmem „Prześladowca". Ogromna precyzyjność, styl fotografii zaczerpnięty jak gdyby z filmu naukowego. Znakomite operowanie fakturą i kontrastami.

Gianni Di Venanzo (45) — związany z nowym filmem włoskim. Bogactwo możliwości stylistycznych. Wirtuozeria techniczna. Świetnie operuje światłem Południa. Nowoczesność i nastrój. Wyrafinowana kompozycja. M.in. Następcy tronów, Salwatore Giuliano, Ręce nad miastem, Chwila prawdy, Noc, 8 1/2, Giulietta i duchy.

„Twój powszedni morderca" w wykonaniu zespołu „Gong-2".

Mamy więc w Łodzi ogólnopolską imprezę kulturalną dźwiganą na barkach przez Radę Okręgową ZSP, Rozgłośnię PR oraz, jakże by inaczej, przez Wydział Kultury. Inicjatywa pomyślana w nazwie dość skromnie jako „Łódzkie Studenckie Spotkania Teatralne" jest w rzeczywistości czymś na kształt festiwalu festiwali. Zgodnie z regulaminem „spotykać się" mogą tylko zespoły nagrodzone na innych konkursach w ciągu roku, aby umożliwić jury (Kazimierz Rudzki, Konstanty Puzyna, Maria Lorberowa, Wojciech Boczkowski, Zbigniew Wojciechowski oraz inni) wyłonienie najciekawszego spektaklu.

„Spotkaniom", aczkolwiek dotyczą na ogół dobrych znajomych, nie przyświeca jednak charakter towarzyski. Toczą się w atmosferze zaciętej rywalizacji. Dość powiedzieć, że publiczność, mimo nocnej pory wytrwała w „Klubie pod Siódemkami" czekając ogłoszenia werdyktu. Kazimierza Rudzkiego, który na czele wysokiej komisji oceniającej wkroczył wreszcie do sali powitano jedynie pieśnią masową „Przybieżeli do Betleem" ze względu na bliskość gwiazdki, a także ze względu na to, że „Bożek deszczu" (główne trofeum, rzeźba Wacława Kondka) już się urodził. W chwilę potem okazało się, że urodził się pod dobrą gwiazdą. Jury uznało bowiem za najciekawszy spektakl roku 1965 „Szewców" Witkacego w wykonaniu Studenckiego Teatru „Kalambur" z Wrocławia.

Od „Szewców" też godziłoby się rozpocząć omówienie „Łódzkich Spotkań", drugich już z kolei. Ale równie mocno godzi się powiedzieć coś nie coś o teatralnym ruchu studenckim w ogóle, co już nie jest takie proste. Chyba, że zacytuje się opinię prof. Kazimierza Rudzkiego, który ocenił łódzki konkurs następującym zdaniem: „Nieprawdą jest jakoby teatr studencki przeżywał kryzys". A także: „Te trzy dni nie były czasem zmarnowanym".

Wyręczywszy się w ten sposób Kazimierzem Rudzkim wracajmy do „Szewców". Najpierw fakt bardzo ważny: nagrodzenie spektaklu wyreżyserowanego przez Włodzimierza Hermana spotkało się z powszechną aprobatą. Palmę pierwszeństwa przyznało „Szewcom" nie tylko jury właściwe, ale i jury studenckie. Z dyskusji prywatnych i zakładów wynika, że młoda publiczność także typowała „Kalambur" do nagrody. Rzec by można „antybebechowatość" Witkacego odniosła pełny triumf pośmiertny u przyszłości narodu. „Szewcy" to spektakl dojrzały warsztatowo i świeży inscenizacyjnie. Przemówiło zaś z niego głównie to, co na styku

KONRAD FREJDLICH

Stworzenia dzień wtóry

smu z rzeczywistością znamy jako nudę wiejącą z niektórych naszych zebrań. Filozofię „Szewców" (sztuki naukowej w III aktach, napisanej w 1934 r.) sprowadzić można do maleńkiej formułki: o wiele łatwiej zachowywać żar ideologiczny w okresie walki niż po zwycięstwie. Innymi słowy: nawet najwspanialszym ideałom grozi niebezpieczeństwo zmumifikowania. Tę naukę wyprowadzić można z losu Kajetana kreowanego przez Janusza Hojnowicza, który został nagrodzony za swoją rolę. Ale na podobne wyróżnienie zasługiwał bez mała cały zespół poczynając od obu Czeladników (Stanisław Pater i Jerzy Ambrożewicz), kończąc zaś na dość epizodycznych rolach Kmiecia, Kmiotka i Dziwki bosej. W ósmym roku swej działalności teatr „Kalambur" jest już instytucją, która waży w naszym życiu teatralnym, nie tylko zresztą studenckim. Wraz z teatrem „Gest", (który w rb. nie przyjechał do Łodzi, jest nam jednak znany ze „Spotkań" poprzednich) „Kalambur" pracuje na opinię, że akademickiemu Wrocławowi nie zagraża nuda kulturalna, ani tym bardziej mumifikacja ruchu teatralnego, czego nie można by już tak jednoznacznie powiedzieć choćby o Łodzi.

Honor naszego miasta ratował nestor STS „Pstrąg" oraz podmiejski kabaret „Hybrydy" z Warszawy (ok. 130 km od śródmieścia Łodzi). Program satyryczny „Hybryd" pt. „Uśmiech z erratą" raził naleciałościami prowincjonalnymi. Prowincjonalizm ów poszedł tak daleko, że ten ambitny zespół ograniczył się do tekstów własnych pracowników oraz współpracowników, pisanych dla własnej widowni. Ponieważ jednak wśród pracowników i współpracowników zabrakło doradcy — widza, teksty poniekąd rozmijały się z adresatem i nie mógł ich uratować nawet Genek Matysiak, wypożyczony z radia. Tak więc na placu boju pozostał tylko „Pstrąg" z programem „Klucz niebieski", tekst Leszka Kołakowskiego w adaptacji Juliana Brysza i Leszka Skrzydło (nagroda za adaptację). Zabrakło jednak „Cytryny", której zeszłoroczne „Tempo z przedrostkiem" znamionowało już pewien kryzys teatru medyków, co aktualnie doszło prawdopodobnie do rozmiarów wyciśnięcia. Przyjmując zasadę mówienia źle tylko o obecnych, nic więcej nie dodamy, tym bardziej że o „Cytrynie" nic pewnego nie udało się nam dowiedzieć mimo nacisków wywieranych na działaczy ZSP.

„Pstrąg" pozazdrościł sukcesu edytorskiego Kosidowskiemu („Opowieści biblijne") i sięgnął do apokryfów Kołakowskiego podejmujących przykładowo problematykę następującą: „Smutek wyższych racji", „Pokusy solidarności", „Nędza moralistów" itd. Zainteresowanych odsyłam do Biblii i Kołakowskiego. Piotr Hertel (nagroda), który spektakl reżyserował potrafił swym racjom niebieskim nadać koncepcję inscenizacyjną. Było to przedstawienie nie gorsze od „Szewców", a byłoby zupełnie niezłe, gdyby nie zakradło się do niego za dużo kabaretu. Liczne piosenki mające służyć jako przerywniki, mnie osobiście, przeszkadzały niekiedy w odbiorze całości. Ale spektakl był w sumie uroczy (słowo niedopuszczalne w recenzji, a czyż to recenzja, proszę Państwa?), przypowieści mądre, a reakcja publiczności żywa. Warto też podkreślić, że pracownicy współpracownicy „Pstrąga" zdobyli na „Spotkaniach" najwięcej nagród indywidualnych. Na liście wyróżnionych dopisać trzeba jeszcze Janusza Słowikowskiego i Piotra Hertla za piosenkę „Moja bezsenność".

Moim zawodem natomiast mógłbym nazwać „Ryszarda III" Szekspira wystawionego przez „Teatr — 38" z Krakowa. Nie dlatego zresztą, że aktorzy nie umieli się poruszać na noszach imitujących raz łoże, raz dywany i chodniki, to znowu katafalk. Przeświadczenia o porażce artystycznej tego spektaklu nie może zatrzeć interesująca wreszcie scena finałowa. Jak w roku ubiegłym „Teatr — 38" ratował się scenografią Ewy Czuba (nagroda).

Mieliśmy wreszcie na „Spotkaniach" dwa interesujące teatry poezji: „Sigmę" z Warszawy oraz „Gong 2" z Lublina. Z tych dwu „Gong" oparty w zasadzie na tekstach Woroszylskiego („Twój powszedni morderca") był bardziej „bebechowaty" w Witkiewiczowskim znaczeniu, a także gorszy aktorsko. „Lis" czyli wariacje asceniczne na temat Harasymowicza wystawione przez „Sigmę" imponowały pomysłami inscenizacyjnymi, a także grą aktorską. Była to właśnie gra, a nie tylko recytowanie wierszy. Wojciech Boratyński, autor adaptacji, był konsekwentny w przydziale tekstów tylko dla siebie, reprezentował bowiem samego świętego Jerzego (Harasymowicza). Henryk Baranowski musiał być Krzyżem i czymś więcej, Ewa Konstantynowicz Warzywnikiem i czymś więcej niż samym Warzywnikiem, mianowicie Dziewczyna. Ale w odniesieniu do „Sigmy" można mówić o sukcesie, który nie jest zresztą sukcesem autora tekstów Jerzego Harasymowicza.

Wreszcie teatr „Kontrasty" z Białegostoku (nagroda radioodbiornik jakby specjalnie stworzona dla spektaklu „Listy spod gilotyny" przypominającego miejscami bardziej słuchowisko radiowe niż teatr). „Kontrasty" oparły na książce dokumentalnej Aleksandra Omilianowicza swój głos w dyskusji na temat przedawnienia zbrodni hitlerowskich, spektakl „Listy spod gilotyny" jest więc ważki tekstowo i politycznie, ale niesłychanie ubogi inscenizacyjnie. Zabrakło właśnie inscenizatora, aktorsko niesłychanie trudny do mówienia tekst, był dostatecznie dźwigany przez białostockich medyków.

Jest to właściwie wszystko, co mam do przekazania z „II Łódzkich Studenckich Spotkań Teatralnych", co wcale nie znaczy, że w drugim dniu stworzenia, gdy idzie o drogi rozwojowe teatrów studenckich, jestem mądrzejszy niż przed rokiem. Mogę więc powiedzieć tyle samo: ambitne poszukiwania formalne i repertuarowe nie ustają. Teatry studenckie są w dalszym ciągu eksperymentalnym laboratorium dla scen zawodowych. Z tamtej też strony zagraża im największe niebezpieczeństwo — niebezpieczeństwo profesjonalizacji.

MIKRO-PORTRETY odgłosów

STANISŁAW LINKE

W ubiegłym roku, tuż przed Bożym Narodzeniem, ratując mienie społeczne przed pożarem, stracił wzrok. Nie odzyskał go do tej pory, mimo rocznego pobytu w szpitalach, z małymi przerwami. Taki był koniec jego dwudziestoletniej pracy w zawodowej straży pożarnej. Wyciąga przed siebie ręce, których nie może zobaczyć i mówi z jakąś zaciętością w głosie: Jeszcze rok temu miałem taką krzepę, że jak komuś ścisnąłem dłoń, to palce dosłownie trzeszczały. A dzisiaj to ja tej garści swojej nie mogę ścisnąć. Z tylu pożarów wyszedłem. Poparzony, zagazowany, ale w końcu zdrowy. A tu masz...

Przed wojną jakiś czas pracował jako murarz. Swoje umiejętności postanowił wykorzystać w VI oddziale straży, gdzie był szefem zmiany w stopniu podporucznika. Chciał zrobić myjkę na wozy, fontannę przed strażnicą, magazyn na materiały pędne. Pracę tę rozpoczął przed wypadkiem. Jest mu przykro właśnie dlatego, że nie może ich dokończyć. A „chłopaki" z oddziału bez niego tych prac nie skończą, w każdym razie nie wykonają ich tak, jak on by to zrobił.

Teraz trafił do szpitala wojskowego przy ul. Żeromskiego, gdzie nareszcie poddany zostanie operacji. Jest bowiem nadzieja, że częściowo odzyska wzrok. Bardzo chciałby znowu zobaczyć światło. Może mógłby wtedy pomóc „chłopakom" z oddziału skończyć tamte prace.

Poza tym czeka go jeszcze proces z Zakładami Prod. Elementów Budowlanych przy ul. Wieniawskiego 5 o odszkodowanie. Nie dostał od nich ani grosza, a przecież ten rok ciemności jest chyba coś wart, chyba to były jakieś cierpienia, kiedy wybuch proszku aluminiowego spowodował kalectwo.

Ma tylko dwa życzenia: podreperować sobie trochę oko i wiosną dostać skierowanie na wczasy, dla siebie i żony.

Musi się bowiem na nowo nauczyć żyć.

KRONIKA Antytelewizyjna

REFLEKSJE TELEWIDZA

Namówił mnie do pisania tych sprawozdawczych impresji Jan Koprowski, gdy dowiedział się, że uległem wreszcie ogólnemu pędowi i kupiłem telewizor. Stawiał na mnie jako na widza o dość świeżej wrażliwości. Jak dalece się zawiódł, tego nie wiem „Agat" został kupiony na raty w czerwcu. Sprawuje się — odstukać w nie malowane drzewo — wcale nieźle, jak dotąd, tylko dwa razy wysiadł bezpiecznik.

Okazuje się, że do tej dużej skrzynki, kryjącej we wnętrzu skomplikowane bebechy, można się przywiązać, aczkolwiek regularne korzystanie z jej usług nie bardzo mi odpowiada.

Zastanawiam się nad tym, czego od „Agaru" wymagam? Wiadomości bieżących ze świata? Niekoniecznie. Przy pomocy gałki aparatu radiowego ma się wiadomości w paru wersjach, albo też bardziej się uzupełniające. A więc chodziłoby raczej o pogłębione kontakty z rzeczywistością kraju i świata, ze skomplikowaną współczesnością. I to właśnie mogą dawać, a często i dają, magazyny, monitory, wszechnice TV.

Tej penetracji naszej rzeczywistości wciąż jest za mało. Nie tyle chodzi o rozmaitość form, ile o wzbogacanie treści te formy wypełniających. Bez porównania lepiej jest z artystycznym wyrazem współczesności — zawdzięcza się to sztukom i widowiskom, audycjom poetyckim.

Pragnie się, żeby „Agat" częściej nawiązywał do przeszłości. Niekoniecznie ze względu na mnie, ale na młodsze pokolenia rodaków. Mam zwłaszcza na uwadze przeszłość związaną z dziejami międzywojennymi, czyli z dziejami II-ej Rzeczypospolitej. Także często odnoszę bowiem wrażenie, że świadomość młodszych naszych pokoleń staje się ahistoryczna. Decydują nie związki z Mieszkiem I, ale z dziejami ojców i dziadów, najbliższych poprzedników. Z rzeczowym przedstawianiem dziejów ojców dwudziesto- i trzydziestolatków nie jest dobrze. Przecież nie mamy dotąd popularnej monografii dziejów dwudziestolecia między wojnami, nie mamy nawet monografii o literaturze tamtego dwudziestolecia (tego również także)... I tu moglibyśmy brać przykład z Rosjan: oni bardzo ostrożnie dyskryminują swoją przeszłość, podchodzą pieczołowicie nie tylko do dziejów w ścisłym sensie rewolucyjnych. Oni szukają pozytywów, my negatywów. Mam na myśli historię naszej państwowości, dzieje kultury, obyczaju, społeczeństwa, jego integracji, dzieje myśli polskiej w rozmaitych jej przejawach, próby obiektywnego przedstawienia wysiłków owocnych i bezowocnych, mam na myśli wyjaśnianie, nie zaś upraszczanie i oskarżanie, bo o to zbyt łatwo. Bez uczuciowych związków z przeszłością nie można na serio mówić o współczesnym patriotyzmie, na którym z racji różnych zagrożeń nam zależy. Wypada mieć nadzieję, iż zbliżające się obchody Tysiąclecia zostaną wzbogacone o próby przełamania dotychczasowych konwencji. Sprawa daleko wykracza poza TV i „Agata".

Spróbujmy więc ściślej trzymać się tematu.

W listopadzie zorganizowano w Warszawie przeszkolenie dla recenzentów TV. Nie wiem, czy doszło do skutku, ja w każdym bądź razie nie pojechałem. Wolę być amatorem, dyletantem i kibicem. Mam wątpliwości, czy jest dobrze wiedzieć wszystko od strony sekretów produkcji. Nie lubię na przykład cukierków w opakowaniu, na którym od dawna umieszcza się recepturę: cukier, syrop ziemniaczany, esencje, kwasek cytrynowy. Podobnie jak nigdy nie lubiłem prestidigitatorów, zdradzających przed widownią tajemnice kunsztu, nie lubię pokazywania aktorów w garderobach, jak uzupełniają makijaż i po raz ostatni lustrują strój. Dziwię się, gdy po spektaklu dla dzieci na gwałt tłumaczy się im, że św. Mikołaj ma przyklejoną brodę, a laiki są poruszane rękami ludzi. Siła każdej sztuki polega także i na iluzji, wywoływaniu złudzenia, na jakimś zbiorowym utożsamianiu się. Świadomość, iż Marię Stuart gra Helka, która wczoraj widziało się, jak wyklócała się z kelnerem o źle wysmażoną wątróbkę, przeszkadza. (Ale z drugiej strony autentyczna siła Helki polega na tym, iż grając tę Marię Stuart każe w końcu o sobie, Helce z utlenionymi włosami i zbyt obszernym kuperkiem, zapomnieć!).

Zbliżają się święta. Niektórzy mają kłopot z ich nazywaniem. Próbują rozmaitych określeń: zimowe, gwiazdkowe, śnieżne, bombkowo-świeczkowe, choinkowe. Dla mnie Boże Narodzenie to jest Boże Narodzenie. Święta te, a raczej wieczór wigilijny, przeżywało się intensywnie w dzieciństwie i wtedy, gdy można było tylko wspominać kutię i świeczki, opłatek i kolędę. Mam w dorobku poetyckim taką notatkę z 26. XII. 1942:

> Na stół pusty popatrzyli,
> nieobecnych policzyli —
> potem długo w noc mówili
> o choince, o wigilii.

A teraz się żaluje części utraconej zdolności do przeżywania!

Z powodu świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku składam podziękowanie wszystkim, którzy pracują w TV, życząc im dalszych sukcesów, a nam różnorodnych wrażeń i przeżyć, którym niech towarzyszy dobry odbiór bez zakłóceń. **BEZ ZAKŁÓCEŃ**, proszę państwa.

Jan Huszcza

MIKRO-PORTRETY odgłosów

JERZY ZIELIŃSKI

Na eliminacje pojechał aż do Bydgoszczy. Tam zakwalifikował się do pierwszego etapu, którego stawką było 1.600 zł. Odpowiedział na wszystkie sześć pytań, ale wspomnianej sumy nie podjął. Postanowił grać dalej. Gdy by w kolejnym — drugim etapie spudłował choć raz, otrzymałby zaledwie 10 proc. wygranej z pierwszego etapu — taki jest regulamin.

Ale nie spudłował. Nie podjął też następnej wygranej — 3 200 zł, aby przystąpić do trzeciego etapu.

Tym razem w puli było 6.400 złotych. Wygrał i to. W czwartym etapie, do którego oczywiście przystąpił, odpowiedział na pytania w przepisowym czasie 2 minut. Znała go już wówczas cała Polska, a Łódź, w której wyrastał, którą godnie reprezentował, trzymała za niego kciuki.

Po czwartym etapie Jerzy Zieliński — co tu dużo gadać — nieco się wahał: grać dalej, czy też schować niebagatelną sumę (12.800 zł) do kieszeni i wy począć? Ryzyko było duże. W wypadku niepowodzenia w ostatnim, piątym etapie, kwota ta stopniałaby do 1.280 zł.

Zdania przyjaciół, jakich codziennie wysłuchiwał setki, były podzielone. Ci jednak, na których opinii zależało mu najbardziej mówili:

— Możesz przegrać, ale musisz stanąć.

Więc zaczął znowu od początku studiować historię Polski. Siedział nad książkami, w bibliotekach i w domu, po 5—6 godzin dziennie. Poznał na wyrywki wszystko, co wydarzyło się w naszym kraju w ciągu tysiąca lat. Znał, toteż nie mówił o szczęściu, kiedy nagroda 25.000 zł po ciężkich, ambitnych bojach, znalazła się w kieszeni. Nie mówił, ale był szczęśliwy.

Z SATYRY CZESKIEJ

Samokrytyka

Dydaktyka

Turystyka

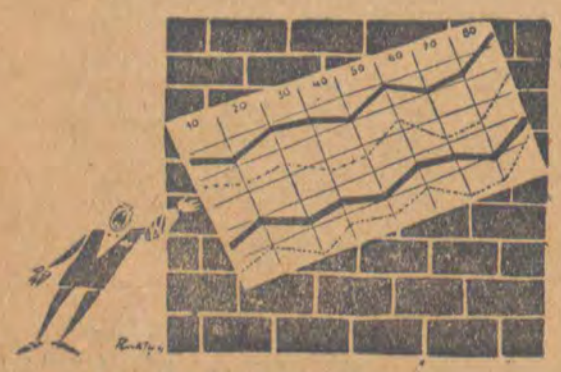

Kazuistyka

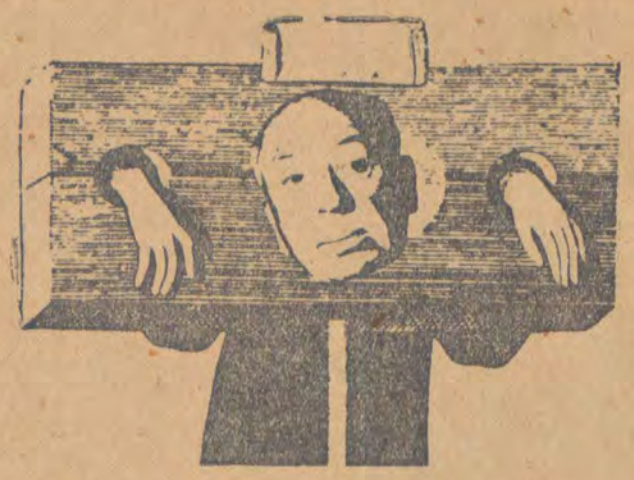

Przedstawiam Państwu opowiadanie którego nie pozwolili mi zrealizować w TV

Alfred Hitchcock

JACK RITCHIE

Czy opłaca się wynająć mordercę?

W ciągu ostatnich 20 lat nieraz byłem wynajmowany po to, by kogoś zabić i bez chwalenia się muszę stwierdzić, że ze swej misji wywiązywałem się ku zadowoleniu klientów, bowiem jestem w pracy skrupulatny i lubię porządek.

Moje ofiary bardzo różniły się pod względem płci, zawodu i sytuacji społecznej, ale jedno było im wspólne — każda z nich miała wroga, który był gotów zapłacić kilkanaście tysięcy za morderstwo.

Ale dzieją się na świecie rzeczy niezwykłe, i tak oto zaproponowano mi, żebym sprzątnął samego siebie.

Tu trzeba pewne rzeczy wyjaśnić: nie mogę oczywiście prowadzić biura czy dawać oficjalnych ogłoszeń — „Morderca do wynajęcia". — Jeśli mam liczyć na powodzenie, muszę działać w ścisłej konspiracji i nikt nie może znać mego nazwiska. Mam więc w pewnym małym urzędzie pocztowym swoją skrytkę z numerem poste-restante. I dbam o to, żeby gliny, broń Boże, nie wpadły na mój ślad. Opracowałem bardzo precyzyjny system odbierania poczty z tej skrzynki. Proszę mi wybaczyć, że nie zwierzę się z tej tajemnicy, musi wam wystarczyć moje zapewnienie, że nikt nigdy mnie w urzędzie pocztowym nie widział, a listy w skrzynce zawsze trafiały tylko w moje ręce. Reszta niech pozostanie milczeniem.

Oczywiście nie mam pojęcia w jaki sposób Walter Brandt wpadł na mój ślad. Tak czy owak pewnego dnia miałem w ręku jego list z propozycją nawiązania kontaktu w wiadomej sprawie. Sądziłem, że to któryś z moich poprzednich klientów zarekomendował mnie, traktowałem więc sprawę jako kolejny business i przyjąłem propozycję stawiając swoje warunki: 20 tysięcy dolarów. Może to honorarium wyda się wam nieco wygórowane, ale proszę mi wierzyć, że podjęcie się takiego zadania jak morderstwo jest sprawą ryzykowną i wymagającą prawdziwego geniuszu organizacyjnego. W odpowiedzi na list otrzymałem tą samą drogą przez poste-restante następne pismo od Waltera Brandta. Targował się — co mnie nie zaskoczyło, bo zazwyczaj wszyscy to czynią — i wskazywał na ofiarę, którą miałbym sprzątnąć. Przyznam się, że od tej chwili ta sprawa mną wstrząsnęła, bowiem Brandt chciał wysłać na tamten świat ni mniej ni więcej — tylko właśnie moją skromną osobę.

Najbardziej zdumiewające było to, że Brandta nie znałem. Nasza korespondencja trwała, ja nie odstępowałem od swojej ceny a jednocześnie szukałem sposobu żeby poznać człowieka, który dybie na moje życie. Nie było to zresztą trudne i oto wkrótce w pewnym bardzo przyzwoitym klubie siedzieliśmy naprzeciw siebie przy kominku.

Brandt był szczupłym niepozornym człowieczkiem lat około 40, miał twarz jakiej nie dostrzega się w tłumie. Ale sprawiał wrażenie milionera, ubranie miał na pewno szyte u najlepszego krawca, spinki z brylantami też warte były majątek. Co mu się stało, że zaczęła mu przeszkadzać moja skromna osoba?

— Ale dziś zimno — powiedziałem — żeby o tej porze roku panowała taka pogoda...

Tak zazwyczaj rozpoczyna się rozmowy w klubach.

Brandt oderwał oczy od gazety, spojrzał na mnie wzrokiem najzupełniej obojętnym, bąknął coś i oto musiałem uczynić dużo energiczniejszy wysiłek, by podtrzymać tę nie zaczętą jeszcze rozmowę.

— To chyba pan wrócił ubiegłego lata z Południowej Ameryki, z tej ekspedycji poszukującej zaginionego olbrzymiego leniwca? — wybuchnąłem udanym entuzjazmem.

Spojrzał na mnie zimno.

— Pan mnie wziął za Williamsa — powiedział skrzeczącym głosem — ja z nim polemizowałem i przed tą ekspedycją i po niej. Uważam, że te zwierzęta dawno już wyginęły.

Właśnie dzięki tym publikacjom trafiłem na ślad pana Brandta i teraz posłużyłem się całą tą sprawą niby haczykiem. Ryba wzięła.

— Przyznam się, że zawsze wątpiłem w relacje Williamsa — powiedziałem przysuwając swój fotel nieco bliżej.

— Nie radziłbym panu wdawać się z nim w dyskusję — powiedział Brandt — to wojowniczy facet, ponoć zabił kogoś tam w Gwatemali.

Spoglądał mi teraz prosto w oczy.

— Straszna rzecz, zabić człowieka! — powiedziałem wpatrując się uważnie w jego źrenice. — Potworna rzecz!

Brandt nie okazał żadnego zainteresowania i z absolutną obojętnością mruknął coś „o okolicznościach".

— Jeżeli rzeczywiście ktoś ma być zgładzony to całą tę sprawę należy zostawić społeczeństwu — powiedziałem, pozując na maniaka, który uwielbia dyskusje na każdy temat. — Są przecież sądy, sędziowie... — tu zawahałem się na moment — i oczywiście nie brak katów...

Brandt uśmiechnął się ledwo dostrzegalnie.

— A wie pan, że czasami zastanawiam się czy mamy sędziów, sądy i katów dlatego że jesteśmy cywilizowani, czy dlatego że jesteśmy tchórzami? — powiedział, ożywiając się nieco. — Myślę, że jakąś rolę gra tu i strach, a także wyrzuty sumienia: przecież chyba chodzi o to, żeby przytłumić te wyrzuty i po to jest ten cały oficjalny, prawny rytuał wyroków.

Usiadłem wygodniej, serce zaczęło mi mocniej bić: ryba naprawdę brała.

— Wracam do swego — powiedziałem — po prostu nie mogę zrozumieć, że istnieją przyczyny aż tak ważkie, żeby skłonić kogoś do morderstwa.

Brandt uniósł wysoko brwi.

— A zazdrość? A pieniądze? A zawiść? — zakaszlał się, przymknął oczy, a potem dodał. — Drogi panie, bywają tysiące ważnych powodów, dla których ludzie popełniają morderstwa.

Zgodziłem się z nim w myślach, bywają tysiące takich powodów. Ale jaki ty masz powód, żeby organizować moje morderstwo? Dlaczego chcesz mnie zabić?

Już nie pytałem o nic więcej. Rozmowa się urwała, Brandt wrócił do swej gazety. Wiedziałem tylko, że jest fanatykiem — takie sprawił na mnie wrażenie. Ale dlaczego ja właśnie miałem być jego ofiarą?

W szatni dałem staremu Madsonowi pół dolara i to rozwiązało mu język.

— Miły facet z tego Waltera Brandta — powiedziałem — kim on jest z zawodu?

Madson podając mi palto, do ucha szeptał informacje: „Walter Brandt, domy mieszkalne, milioner. Nie słyszał pan o nim nigdy? Dużo teraz buduje..."

Do niedawna nie słyszałem o panu Brandtcie, ale teraz musiałem o nim wszystko wiedzieć, cała ta sprawa zaczynała mi coraz bardziej dokuczać. I żeby ją przemyśleć poszedłem piechotą do domu. Wieczorny spacer dobrze mi zrobił mimo złej pogody i natłoku myśli. Zresztą co tu ukrywać: niczego nie wymyśliłem.

W domu czekała na mnie Helena, moja żona. To był następny mój problem, któremu ostatnio poświęcałem coraz więcej czasu. Helena była bardzo piękna, dlatego rok temu wyciągnąłem ją z jakiejś drugorzędnej knajpy, w której pracowała jako kasjerka. Helena jest tak piękna, że nie zraziła mnie nawet jej — jakby to określić — nicość intelektualna. Zresztą przed rokiem wydawało mi się nawet, że jest to zaleta: nie lubię inteligentnych kobiet, są męczące i szybko stają się nudne. Helenie to nie groziło, tak przynajmniej mi się zdawało, była jakby pięknym dziełem sztuki; nie wymagamy przecież inteligencji od obrazu czy rzeźby. Była naprawdę arcydziełem. Od dnia ukończenia szkoły nie wzięła chyba książki do ręki nic ją nie interesowało, jej umysł po prostu spał. Przy moim ryzykownym zawodzie taki partner wydawał mi się idealny — zapewniał spokój, wypoczynek i odprężenie. Nabyłem Helenę do swojej kolekcji tak jak kupuję Van Gogha, czy statuetkę z epoki Ming. Wprowadziłem więc Helenę do kolekcji, jestem bowiem kolekcjonerem, o czym jeszcze nie wspominałem.

Tego wieczoru jak zwykle zastałem Helenę przed lustrem.

— Wracasz wcześnie — powiedziała swym melodyjnym głosem, nie przerywając czernienia rzęs.

— Bo jestem trochę zmęczony — mruknąłem. Byłem zirytowany sprawą Brandta i dlatego dorzuciłem zgryźliwie: — siedzisz tak przed lustrem cały dzień?

— Czy ci to przeszkadza? — zaszczebiotała Helena.

— Ani trochę. Bałem się tylko, że to może być nudne.

— Nigdy się nie nudzę. — Helena obdarzyła mnie najczarowniejszym z uśmiechów — Jak ci się dziś podobam?

Helena mi się bardzo podobała i bardzo mi się podobało moje mieszkanie urządzone ze smakiem, pełne wartościowych dzieł sztuki. Zawsze gratulowałem sobie, że udało mi się zdobyć takie mieszkanie, dziś już takich nie budują; nowoczesność, wygoda i duży rozmiar. Administrator chciał mnie się stąd pozbyć, wygadał się, że miałby zamiar przerobić mój apartament na dwa, albo trzy mniejsze, ale śmiałem mu się w nos, miałem kontrakt jeszcze na najbliższych 15 lat, a gdy cała sprawa skończyła się kłótnią, powiedziałem mu, że po moim trupie wejdzie do tego mieszkania z robotnikami budowlanymi i właśnie ten zwrot nagle mi się przypomniał.

Zapominając na chwilę o wszystkim, zacząłem grzebać w biurku, wyciągnąłem kontrakt i nagle cząstka sprawy Brandta wyjaśniła się: ten dom należał do niego, przypomniałem sobie o tym dopiero w tej chwili, ponieważ zawsze miałem do czynienia tylko z administratorem i tylko na kontrakcie, który podpisywałem 10 lat temu, figurowało nazwisko Brandta. Dom był jego. Czy to jednak wyjaśniało cokolwiek? Przecież milioner nie będzie mordował człowieka, który nie chce mu się wyprowadzić z jednego z jego tysiąca mieszkań. Więc jakiż u licha mógł mieć powód ten zimny, zasuszony, stary kawaler? Kobieta? Z ukosa spojrzałem na Helenę, czyżby Helena i Brandt? Sama myśl wydała mi się śmieszna — ale i niepokojąca zarazem. Cóż my wiemy o kobietach — pomyślałem ze złością, zażyłem dwie tabletki nasenne i wcześniej niż zwykle, poszedłem spać.

Nazajutrz siedziałem w biurze pana Listera. Zawsze uważam, że kupować należy towary w najlepszym gatunku, agencja detektywów Listera uchodzi za najlepszą w naszym mieście. Zresztą i pan Lister sprawił na mnie wrażenie człowieka godnego zaufania. Wyjaśniłem, że chodzi mi o śledzenie mej żony, to najpiękniejsza kobieta w mieście — powiedziałem — młodsza ode mnie o lat dwadzieścia, widzi pan chyba, że nie jestem amantem i że nie wyszła za mnie z miłości. Mam więc pewne podejrzenia i chciałbym, żeby detektyw śledził od dnia dzisiejszego mą żonę.

Lister rzeczowym tonem zapytał, czy podejrzewam kogoś. Nie, nikogo nie podejrzewam. Czy chce pan, żeby pana żonę obserwowano przez część dnia, czy przez cały dzień? Przez cały dzień. Czy tylko w dni robocze czy również w święta? Bez przerwy. Pan Lister podrapał się w nos. To będzie drogo kosztować. Wiem, zapłacę.

Miałem więc tę sprawę wstępnie załatwioną. Po to, żeby się zrelaksować, przesiedziałem parę godzin w galerii sztuki: nic nie przynosi mi takiego odprężenia, jak dobre malarstwo, mogę je kontemplować godzinami — i wtedy właśnie przychodzą mi najgenialniejsze pomysły do głowy. Tym razem prosto z galerii sztuki poszedłem do obskurnej restauracyjki, gdzie po raz pierwszy półtora roku temu ujrzałem Helenę. Kelnerka, która podeszła do mego stolika, poznała mnie natychmiast.

— Proszę, proszę, pan Reynolds co pana do nas sprowadza?

Zamówiłem befsztyk krwisty i sałatkę z pomidorów i poprosiłem miłą panienkę, żeby na chwilę się przysiadła.

— Ma pani pozdrowienia od Heleny — skłamałem.

— Jak się cieszę — powiedziała panienka — proszę powiedzieć Helence, że ja też już jestem zamężna. Oczywiście, nie zrobiłam takiej świetnej partii jak ona...

— Pani żartuje — uśmiechnąłem się. — Cóż to za świetna partia, kiedy dziewczyna wychodzi za mężczyznę starszego od niej o lat dwadzieścia?

— Ale pan i Helena tak pasujecie do siebie — powiedziała ex-przyjaciółka mojej żony. — Myśmy zawsze przypuszczali, że Helena wyjdzie za intelektualistę.

— No, a dlaczegóż to?

— Bo Helena jest też intelektualistką. Zawsze żyła tylko książkami. I miała pierwszą lokatę w naszej promocji. To urodzona najlepsza uczennica...

Byłem zaskoczony tą opinią, bo sam wyrobiłem sobie akurat przeciwstawną. Moja rozmówczyni zasypywała mnie dalszymi rewelacjami.

— Czy Helena zapisała się na uniwersytet, tak jak planowała to sobie? Marzyła o matematyce.

Tego było już za wiele, widelec wypadł mi z ręki, zakrztusiłem się kęsem befsztyka. Przez rok cały ani razu nie widziałem Heleny z książką w ręku. Była w moim przekonaniu na intelektualnym poziomie 10-letniej dziewczynki. A tu nagle takie rewelacje.

— Naprawdę Helena zwierzała się pani z takich marzeń? — spytałem z niedowierzaniem.

— Tak, oczywiście — powiedziała moja rozmówczyni.

...wsze mówiła, że ... niezależność ma- ... potem pozycję w ... pozycję naukową. ...leżność już ma, bo prze- ...szła bogato za mąż. ... mi się wstąpić do ... knajpy, wiedzia- ... swej żonie wię- ...alorocznym z nią ... Znów wracałem ... domu, rozwa- ... dla której ... przede ...ż nie- ... żeby ...żkę lub ...chociaż ... ywała to uśmiechem i w... zeniem ramion. To mnie nudzi, mówiła, zgrywając się na idiotkę. W jakim celu?

W parę dni później miałem w ręku raport z agencji pana Listera. Obserwacje wykazały, iż Helena nie ma żadnych kontaktów towarzyskich, mogę więc nie, być zazdrosny. Ale Lister był świetnym detektywem: jednak coś znalazł: powiedział mi o tym jakby z zawstydzeniem, gdy regulowałem należność.

— Pana żona kupiła w sądnim mieście pewien preparat chemiczny. Czy wie coś o tym?

— Słucham pana — powie... czując niemiły chłód ...u. — Co to za prepa...

— ... związek arszenikowy, ... niebezpieczny.

— Trucizna?

— W pewnym sensie. Jeśli ją stosować przez dłuższy czas w małych dawkach, może doprowadzić do śmierci.

— A jakie objawy daje ta trucizna?

— Właściwie żadnych, chyba tylko pewną suchość w ustach.

Wytarłem kark chusteczką, chrząknąłem i poprosiłem o szklankę wody, bo zaschło mi w gardle. Od pewnego czasu wciąż mi zasychało w gardle. Zapłaciłem należność za usługi pana Listera i wróciłem pieszo do domu. Po drodze przyszło mi mnóstwo genialnych pomysłów do głowy, jeden z nich zrealizowałem natychmiast: przestawiłem mianowicie nieznacznie lustro w hallu i teraz mogłem ze swego gabinetu obserwować wnętrze pokoju Heleny.

Tego wieczora, kiedyśmy jak zwykle, wrócili z restauracji (jadaliśmy bowiem w sąsiedniej restauracji, słynnej z dobrej kuchni) Helena zaproponowała, że przygotuje mi cocktail. Robiła to co wieczór. Dałem nura do swego gabinetu pod pozorem jakiejś błahej sprawy i oto podejrzenia moje się sprawdziły: lustro ukazało mi piękną sylwetkę mej żony nachylającą się nad stolikiem-barem, przygotowującą cocktaile i wsypującą do jednego z kieliszków zawartość małej, papierowej torebki.

— Przyjdziesz tu na drinka czy mam ci kieliszek przynieść do gabinetu? — spytała Helena i głos jej był wesoły i radosny jak zwykle.

— Przynieś mi tutaj — poprosiłem. W gabinecie panował półmrok, udało mi się więc nieznacznie przelać cocktail do przygotowanej zawczasu flaszeczki.

Nazajutrz pan Lister powiadomił mnie, że analiza wykazała w tym smacznym trunku ślady preparatu, o którym była mowa. Tak oto w ciągu krótkiego czasu dowiedziałem się, że jest jeszcze i druga osoba, która pragnęłaby wykreślić mnie spośród żyjących.

Przez parę dni chodziłem codziennie na wystawy malarskie, potrzebowałem relaksu, musiałem zebrać myśli. Helenę osądziłem spokojnie, ostatecznie nieraz sam zabijałem dla pieniędzy. Problemem było dla mnie tylko to, jak się pozbyć tego arcydzieła natury, jak usunąć ze swych zbiorów tę przepiękną kobietę. Oczywiście, powiadomienie policji nie wchodziło w rachubę, mój zawód wykluczał taką możliwość. Rozwód również był nieaktualny. Helena mogłaby zacząć działać bardziej zdecydowanie. Nauczyłem się liczyć z jej inteligencją, wolałem nie ryzykować. Chwilowo nie groziło mi żadne niebezpieczeństwo, bo pod nieobecność mej żony w domu, bez wielkiego trudu odnalazłem ów śmiercionośny preparat i zamieniłem go na identycznie wyglądające paczuszki sody oczyszczanej. Było ich jeszcze szesnaście, miałem więc szesnaście dni czasu, potem Helena mogła zmienić technikę działania, szesnaście dni czasu, byłem pewny, że coś genialnego wymyślę, tym bardziej, że czułem się teraz zupełnie dobrze, dużo lepiej, niż dwa tygodnie temu, bo przeszła nieprzyjemna suchość w gardle.

W dniu, w którym wypiłem w cocktailu ósmą z kolei porcję sody, w drzwiach mego mieszkania stanął Walter Brandt. Wrażenie było piorunujące. Omal nie wypuściłem kieliszka z ręki.

— Czy mógłbym z panem pomówić, panie Reynolds — powiedział Brandt, a twarz jego nie zdradzała absolutnie żadnej emocji. Olśniła mnie myśl, że ten skąpiec pożałował 20 tysięcy dolarów, jakich zażądałem w korespondencji z nim i że przyszedł mnie zamordować własnoręcznie. Za jego plecami na korytarzu sprzątaczka odkurzała chodnik. Postanowiłem włączyć ją do naszej rozmowy i tak się zabezpieczyć.

— Ależ oczywiście, panie Brandt, huknąłem na cały korytarz. To wielki zaszczyt dla mnie, proszę niech pan wejdzie. Millie, spójrz, to jest pan Brandt, właściciel tego domu. Sam wielki Brandt!

Sprzątaczka spojrzała na nas ze zdziwieniem, a ja mogłem już wpuścić w swe progi człowieka, który mi listownie zaproponował morderstwo i który dybał właśnie na moje życie.

W pięć minut później siedzieliśmy w moim gabinecie. Tym razem sam nalałem whisky, Helena gdzieś na chwilę wychodziła.

Pewnie jest pan ciekaw, co mnie tu sprowadza — powiedział Walter Brandt — sądzę, że będzie pan zaskoczony — pociągnął trochę whisky i spojrzał na mnie swym zimnym wzrokiem. — Od półtora miesiąca prowadzę rokowania z człowiekiem, który ma pana zabić.

Musiałem mieć minę przerażoną, bo Brandt zaczął mnie uspokajać.

— Ale niech się pan nie denerwuje, panie Reynolds — rokowania trwają i właśnie w tej sprawie tu jestem.

— Mój Boże — powiedziałem — pan chyba żartuje!

— Zaraz pan wszystko zrozumie — powiedział Brandt. — Widzi pan, dwa lata temu została zamordowana niejaka pani Hudson, policja podejrzewała jej męża, ale miał on murowane alibi...

Hudson był moim klientem (Znałem jego alibi. Sam je opracowałem).

Otóż trzeba panu wiedzieć, że pani Hudson była moją siostrą — ciągnął Brandt. — Ja też podejrzewałem Hudsona, który zresztą nie wytrzymał nerwowo i popełnił samobójstwo. Przed śmiercią zwierzył mi się, że moją siostrę zabił wynajęty morderca, któremu on zapłacił 20 tysięcy dolarów za tę zbrodnię. Widzi pan, Hudson nie znał tego mordercy, komunikował się z nim za pośrednictwem skrzynki poste-restante. Numer tej skrzynki udało mi się zdobyć...

— Zawiadomił pan chyba policję — powiedziałem. Brandt skrzywił się z niesmakiem.

— Miałem przez moment taki zamiar, ale potem doszedłem do wniosku, że byłoby to pociągnięcie niewłaściwe. Nie bardzo ufam naszej policji, nie chciałem zresztą wyciągać na światło dzienne tej kompromitującej dla całej rodziny historii. Rozumie pan: Hudson, główny winowajca, sam sobie wymierzył sprawiedliwość. Można by więc całą sprawę uznać za zamkniętą. Tak myślałem przez cały rok. Ale potem zmieniłem zdanie i postanowiłem ukarać tego płatnego mordercę. Uczynić to tak, żeby nie kompromitować nazwiska mej rodziny. Nawiązałem więc z tym płatnym mordercą kontakt listowny i zacząłem z nim pertraktować.

— Ale dlaczego wybrał pan mnie na swoją ofiarę — wybuchnąłem.

Brandt uśmiechnął się wyrozumiale.

Nie mam żadnych wrogów i dlatego wybrałem pierwsze lepsze nazwisko. Tak się złożyło, że akurat tego dnia administrator domu powiadomił mnie, że pan nie godzi się na przeprowadzkę. Więc akurat pańskie nazwisko wpadło mi do głowy.

Tylko dlatego, że ktoś nie chce się wyprowadzić z pana kamienicy, wielkie nieba, przecież to najbardziej wyrafinowane morderstwo o jakim słyszałem! — wybuchnąłem z oburzeniem.

— Spokojnie, spokojnie, drogi panie — powiedział Brandt przyciszonym głosem, przecież ja ani myślę dopuścić do zbrodni, przeciwnie, przyszedłem tu dzisiaj do pana, żeby wszystko z panem omówić. Chcę mianowicie zapłacić tę 20 tysięcy, które ode mnie żąda za morderstwo ów straszny człowiek i wyznaczyć mu dokładny termin, kiedy zbrodnia ma być dokonana. A wtedy go tu, u pana, przyłapiemy i oddamy w ręce policji. Rozumie pan? Zrobimy zasadzkę — złapiemy bandytę, a reszta pójdzie jak z płatka.

— Myśli pan, że on da się na to nabrać?

— Przecież mu za to płacę 20 tysięcy dolarów — powiedział Brandt z przekonaniem. — To najemny morderca, to jest jego zawód. Omówimy tylko szczegóły: termin i rodzaj broni jaką ma się posługiwać, jeśli oczywiście zgodzi się pan na przeprowadzenie tej zasadzki w pana domu. Ale mówił pan wówczas w klubie o zbrodniach z takim przekonaniem, że sądzę...

— Niech mi pan da chwilę do namysłu — powiedziałem — lubię hazard... I zbrodnia powinna być ukarana. Więc zgoda, pomogę panu, chociaż z duszą na ramieniu.

Cały wieczór układaliśmy ten plan. Przyjęliśmy termin odległy o 5 dni, Brandt miał dostarczyć bandycie klucze do mego mieszkania, postanowił też, iż zażąda od mordercy użycia jakiegoś tępego narzędzia a nie broni palnej. Zasadzkę mieliśmy urządzić w moim gabinecie, Brandt ukryje się w niszy za kotarą. Przedyskutowaliśmy każdy szczegół tej ryzykownej operacji, niczym oficerowie sztabu generalnego plan wielkiej ofensywy.

W wyznaczonym dniu Brandt zjawił się u mnie o umówionej porze. Wprowadziłem go do gabinetu.

— Myślałem już, że pan nie przyjdzie — powiedziałem — taka ważna sprawa i jest pan niepunktualny.

Brandt zdziwił się i spojrzał na zegarek.

Bez słowa pokazałem mu swój zawczasu przestawiony zegarek, a potem wielki ścienny zegar, który odziedziczyłem po dziadku i biurkowy elektryczny.

— Widocznie mój późni się o pół godziny — powiedział Brandt, regulując wielką złotą cebulę, wysadzaną rubinkami — Czy jest pan sam w domu?

— Nie, jest jeszcze moja żona — powiedziałem — ale wychodzi do teatru i wróci późnym wieczorem. Ma pan broń?

Brandt pokazał mi mały rewolwer, wykładany masą perłową. Sprawdzałem czy jest nabity, gdy w drzwiach gabinetu stanęła Helena gotowa do wyjścia, jak zwykle przepiękna i jak zwykle bardzo elegancka.

— Heleno, to jest pan Walter Brandt — powiedziałem, będziemy trochę zajęci dziś wieczorem. Interesy.

Moja żona taktownie wycofała się. Brandt patrzył za nią w ślad dziwnym wzrokiem. Potem powiedział.

— Jest bardzo piękna.

— Miło mi to słyszeć — przerwałem — Mamy jednak mało czasu. Wstawmy to krzesło do niszy. I na Boga niech pan nie spuszcza ze mnie oka. Moje życie jest w pana ręku. Bandyta powinien tu być za 10 minut. Mamy tylko tyle czasu, by wypić dla kurażu.

Podałem mu kieliszek i powiedziałem — za powodzenie! — po czym wypiliśmy jednym haustem. Brandt usiadł w niszy.

— Wysłałem dziś temu bandycie 15 tysięcy na wskazany adres. Ale zapłaci mi za to... głos jego nagle urwał się, głowa opadła na piersi. Pan Brandt spał snem kamiennym. Preparat, który mu dosypałem do whisky działał niezawodnie. Miałem czasu niewiele. Trzeba było działać szybko i precyzyjnie. Przestawiłem zegarki na właściwą godzinę, uregulowałem i wielką cebulę Brandta. Potem spokojnie wyczekałem w hallu na powrót swej żony, która nie poszła do teatru, a zgodnie z moim poleceniem zjechała tylko do apteki po proszek od bólu głowy. Zjawiła się w wyznaczonym czasie, i w chwili gdy zdejmowała kapelusz zabiłem ją. Użyłem do tego celu zawczasu przygotowanego ciężkiego łomu ołowianego po czym upewniwszy się, że Helena nie żyje, wróciłem na swoje miejsce w gabinecie i czekałem aż Brandt się obudzi. Usłyszałem za plecami jak się poruszył, akurat w czasie, w którym narkotyk przestał działać. Wiedziałem, że Brandt nigdy nie zda sobie sprawy z tego, iż na całe pół godziny zasnął, teraz należało naszą zabawę kończyć.

— On się spóźnia — powiedziałem. Brandt znów wyciągnął tę swoją olbrzymią złotą cebulę. Nie rozumiem co się mogło stać — mruknął z niepokojem.

— Nie trzeba było mu dawać 15 tysięcy zaliczki.

— Sądzi pan, że on zrezygnuje z pozostałych 5 tysięcy — zaniepokoił się Brandt.

W 10 minut później znaleźliśmy ciało Heleny w hallu i oczywiście zaraz zawezwaliśmy policję. Brandt musiał przyznać, że nie spuszczał ze mnie ani na chwilę oczu. Musiał też wyjaśnić dlaczego siedział w tej niszy. Cała sprawa nabrała ogromnego rozgłosu, odgrzebano znów zapomnianą już historię Hudsona i śledztwo przybrało niebywałe rozmiary. Nikt zresztą niczego nie zdołał wykryć, jedno było pewne, że bandyta, który miał mnie zamordować i na którego zrobiliśmy zasadzkę natknął się w hallu na Helenę.

Byłem oczywiście złamany po stracie żony tak pięknej, i tak inteligentnej, bez wahania zaskarżyłem Brandta o odszkodowanie, musiał mi wypłacić 25 tysięcy dolarów to znaczy tyle samo ile wynosiło ubezpieczenie mojej żony. Oczywiście, nie wziąłem tych pieniędzy Brandta, przeznaczyłem je na cele dobroczynne, co cała prasa skwitowała głośnymi pochwałami.

A moje konto bankowe oraz środki, które posiadam w akcjach pozwolą mi spokojnie dożyć starości. Zawsze marzyłem by interesować się tylko malarstwem. Mój dawny zawód stawał się ostatnio coraz bardziej denerwujący.

POMÓŻ W REDAGOWANIU SWEGO TYGODNIKA

DROGI CZYTELNIKU! Redakcja prosi Cię o wyrażenie opinii o „ODGŁOSACH". W naszej ankiecie zaznacz znakiem plus (+) działy, które Cię interesują i które uważasz za dobrze redagowane. Znakiem minus (—) zaznacz te działy, które oceniasz negatywnie.

Prosimy Cię również o inne uwagi o naszym piśmie.

Każda nadesłana ankieta weźmie udział w losowaniu cennych nagród, a redakcji pomoże w lepszym zrozumieniu potrzeb czytelniczych Łodzi i regionu łódzkiego.

Wypełnione ankiety prosimy nadsyłać do redakcji „Odgłosów", na adres: Łódź, ul. Piotrkowska 96, III p., w terminie do dnia 10 stycznia 1966 r.

	+	—
sprawy międzynarodowe		
zagadnienia ekonomiczne		
problemy obyczajowe		
reportaże ze świata		
opowiadania pisarzy polskich		
przekłady z języków obcych		
fragmenty powieści		
poezja		
publicystyka kulturalna		
recenzje książkowe		
ze świata filmu		
sprawy telewizji		
sprawy teatru		
felietony		
nowela kryminalna		

Miejsce na Twoje inne uwagi o piśmie:

Nazwisko i imię

wiek

zawód

adres

OBY NAM SIĘ!

U schyłku roku felietoniści łagodnieją. Nie, żeby brakowało ostrych tematów, lub nie było się z czego pośmiać. Owszem — afery, nonsensy wcale nie przestają się trafiać, tylko że pisać o nich nie wypada. A tak by się chciało.

Ostatnio przeczytałem w prasie o doskonałym wprost pomyśle stacji pogotowia ratunkowego w Piotrkowie. Szosy teraz śliskie, służba drogowa stoi w ogonkach po ryby, nie ma kto posypywać piaskiem jezdni, samochody jeżdżą rzadko, stąd też wezwanie, aby ci, którzy połamią sobie tylko ręce zgłaszali się na całych nogach do dyżurujących lekarzy. Świetny pomysł, ale połowiczny, przecież ludzie, którzy połamią sobie tylko nogi, mogliby przyjść do pogotowia na rękach, prawda?

Albo sławny już druczek Banku — Polska Kasa Opieki. Jest w nim mowa o ciężkiej zimie w Polsce i trudnościach z zaopatrzeniem w węgiel i równocześnie prośba do krewnych za granicą, aby przysyłali do kraju węgiel. Znowu świetny pomysł i znowu tylko połowiczny. Przecież apelując do czułych serc naszych rodaków za granicą, moglibyśmy sobie zaimportować bezdewizowo bateryjnie ogrzewane ineksprymable. Zresztą, jeżeli możemy pisać o braku węgla u nas, czemuż nie wzruszyć drogich krewnych brakiem na rynku wielorybów, grającego papieru toaletowego, albo klepek do podłogi? Wszystko przyślą, nawet wódkę eksportową made in Poland.

No, ale felietonista, który kończy swój pracowity rok jest łagodny, szanuje świąteczny obyczaj i pisze w duchu — kochajmy się, a grzmotnijmy sobie, rypnijmy, gruchnijmy na zdrowie! Oby nam się — trzepnijmy sobie, trzaśnijmy, gorzalinka łyku łyku, dobrze idzie po języku. Felietonista zapomina o złodziejach, którzy kradną samochody milicji, nie myśli o tym, że mógłby zagryzać lepszą wędliną, gdyby nie setki aferzystów branży kiełbaśniczej, jest serdeczny, skory do udzielania przyjacielskich rad.

Mnie także ogarnia nastrój pogodny, jakaś życzliwość dla wszystkich, troska, abyście sobie dobrze wypoczęli. Nie biegajcie więc zbyt długo po sklepach, szkoda nerwów. Nie lepiej to w domu posiedzieć i zrobić sobie wszystko samemu? Panom polecałbym gorąco przygotowanie dobrej, taniej i praktycznej nalewki. A oto przepis: skórki z 18 cytryn i 1½ pomarańczy (najlepiej marokańskie) zalewamy dwoma litrami rodzimego spirytusu. Dodajemy następnie po 10 deko — kminku, rabarbaru, dzięgiu, anyżu, jałowca, tataraku, bobku, kordianu, angielskich korzeni, imbieru, kardamony,

[illegible] nia fiołkowego, mięty, majera
rumianku, płucnika, ozanki c
kowej, macierzanki, do tego
binę kwiecia bzu, rozmarynu
biodki. Płatki róży solis nie są
znowu konieczne, jak utrzymują
niektórzy. Przepis jest prosty, łatwy
do wykonania, wszystko można bez
trudu dostać w najbliższym samie,
częściowo w składzie aptecznym.

Oczywiście, bardziej pracowici panowie mogliby spróbować produkcji alkiermesu, który tak gorąco poleca sławny botanik polski Syreniusz. Kupujemy w najbliższym sklepie monopolowym litr wódki różanej, wzmacniamy ją ćwiartką spirytusu, rozpuszczamy następnie w tym boskim płynie kawałek jedwabiu, koniecznie surowego, przysypujemy cukrem z domieszką mielonego drzewa rajskiego, a reszta do drobiazgi, a więc — cynamon, ambra, kamień lazurowy (zetrzeć, koniecznie zetrzeć, to się łatwiej rozpuści) ze dwie do tego perły uriańskie i odrobina cieniutko krajanego złota dukatowego. Gości zatyka sam widok takiego nektaru. Jeżeli zaprosicie ludzi ważnych, dobrze umocowanych na świeczniku — awans murowany, jak cię widzą, tak cię awansują.

No i uważać trzeba, żeby nie prze-

CIOS DZIEŁA NIEPOSPOLITEGO

Są książki, które przyciągają ku sobie magią nazwiska ich autorów, opromienionych sławą i legendą. Są książki, które kuszą rewelacyjnymi treściami, w nich zawartymi. Są książki, które zjednują nas wyjątkowo udaną i piękną szatą graficzną. I są wreszcie takie dzieła, które prezentują wszystkie te walory razem: dobrego autora, ciekawą zawartość, smakowite wyposażenie edytorskie. Do takich pozycji należą bez wątpienia „Dzieje Teatru Narodowego na trzy części podzielone oraz Wiadomość o Życiu Sławnych Artystów", które napisał Wojciech Bogusławski, a ogłosiła w Warszawie w roku 1820 zasłużona drukarnia Glücksberga. Otóż książka ta ukazała się obecnie w wydaniu fotooffsetowym, czyli zachowując czcionkę, ryciny, układ i nawet okładkę, zaprojektowaną według pierwowzoru. Ośmielę się powiedzieć, że jest to prawdziwy rarytas i kto rzeczy tej nie nabył, niech gorzko żałuje. Stracił więcej, niż może przypuszczać.

Jedyne, co w tej publikacji jest dzisiejszego, to posłowie, pióra Stanisława Witolda Balickiego, napisane językiem współczesnego krytyka i złożone czcionką nowoczesną. Po przeczytaniu „Dziejów Teatru Narodowego" musimy się nisko pokłonić Wojciechowi Bogusławskiemu. Z kart tej książki wychodzi ku nam człowiek światły, o szerokich horyzontach, świadomy roli teatru w życiu narodu, ale i świadomy siebie i swoich zasług. Nie tylko przedni artysta, lecz i przedni obywatel. Nie tylko znakomity pisarz, lecz i znakomity patriota. Nie tylko doświadczony reżyser, lecz i doświadczony polityk. Żadna, choćby najlepsza monografia o Bogusławskim, nie da nam tego, co daje ta właśnie publikacja. Żadna, najlepsza nawet monografia o Bogusławskim, nie odsłoni nam jego wielkości lepiej, niż on sam mocą swojej myśli i swojego pióra.

Wszyscy ci, którym z tych lub innych względów wypada znać losy i dzieje sceny narodowej, winni zaopatrzyć się w tę książkę Bogusławskiego, mieć ją w podręcznej bibliotece i zaglądać do niej w potrzebie. Wszyscy krytycy i recenzenci teatralni winni czytać stale część ostatnią tej pracy, w której Bogusławski nakreślił dwanaście sylwetek najwybitniejszych aktorek i aktorów swojego czasu, a więc Kazimierza Owsińskiego, Agnieszki Truskolawskiej, Tomasza Truskolaskiego, Barbary Sierakowskiej, Karola Świerzawskiego, Salomei Deszner, Andrzeja Mierzyńskiego, Magdaleny Jasińskiej, Jakoba Hempińskiego, Franciszki Pierożyńskiej, Dominika Kaczkowskiego i Petronelli Drozdowskiej. Są to doprawdy doskonałe portrety, podające w sposób zwięzły i obrazowy zarazem ludzkie i sceniczne losy artystów, z którymi Bogusławskiemu przyszło współpracować. Nie znam równie udanych, z talentem i wyczuciem narysowanych karier artystycznych. Postaci wyżej wspomniane jawią się nam jak żywe w całej swojej barwności i niezwykłym bogactwie. Owe portrety to nie zwietrzały, nie historyczny, złożony do lamusa, lecz wciąż aktualny, godny naśladowania i kontynuacji wzór, jak należy pisać o aktorach i w jaki sposób przybliżać ich naszej wyobraźni.

Osobna pochwała należy się językowi Bogusławskiego. Jakże ubogo na tym tle przedstawia się posłowie, napisane przecież sprawnie i fachowo. Tyle, że język to publicystyczny, mało zasobny, odarty z wdzięków dorodnej polszczyzny. Należałoby się właściwie zastanowić, czy tak bardzo posunęliśmy się w rozwoju bogactwa językowego. Język, którym piszemy, nie wydaje się językiem barwniejszym, soczystszym, wykwintniejszym, niż pisali nasi przodkowie z pierwszej połowy XIX wieku. Z pierwszej połowy i wcześniej. Dodajmy: przodkowie utalentowani. Bogusławski pisał dramaty, grał i reżyserował. Wiedzieliśmy o tym. Ale książka jego, obecnie wznowiona, ukazuje nam narratora i myśliciela przedniej klasy. Bogusławski potrafi wzruszyć i rozśmieszyć, nadać wagę rzeczom głównym, ale i o drobiazgach nie zapomnieć, o szczegółach owych, które ukazują dzień powszedni sztuki i malują niepowtarzalną atmosferę epoki. Rok 1797 rozpoczyna Bogusławski opisywać w sposób następujący: „Rok następny, wcale odmienny w letnich Miesiącach, nowych trudów, zabiegów, i nowych nakładów stał się przyczyną. Często bardzo padające deszcze, niezmiernie przeszkadzały ogrodowym re-

ZAMIAST NOTATNIKA

Łódź jest dziwnym miastem; wszystko w nim kwitnie, o każdej porze roku, pomimo atmosfery nieco zadymionej oraz braku naturalnych bieżących i stojących wód. Latoś nie mieliśmy posuchy, wręcz odwrotnie — powódź jubileuszów nasyciła miasto aż po dziurki od kominów, wilgoć wzruszeń zrosiła czoła! Można by wprawdzie pogrymasić, że to, że owo, że nie tak, że wspak, że nie wszyscy, że nie wszystkim, ale po co? Wiadomo, rok jest krótki, a nawet, gdyby trwał dziewiętnaście miesięcy, albo dłużej, to i tak każdemu nie dogodzi. Bo można to wszystkich nagrodzić? Bo można to wszystkich odznaczyć? A każdy ma pierś i każdy zasługi, które nosi w sobie, a w innych ich nie widzi. Więc precz z malkontenctwem, warcholstwem i sobiepaństwem — tym kultury nie zbudujemy. Nie zbudujemy jej również płaskim praktycyzmem, tępą prywatą i ciasnym subiektywizmem.

W dziwnym naszym mieście, pomimo atmosfery nieco zadymionej, wszystko rozkwita i nikt nie depce zieleni; kto kocha ją prawdziwie. Zakorzeniło się to drzewo dobrego, a trochę i złego — bo któżby rozpoznał pierwsze nie porównując z drugim, bo któż zna miarę i granicę obu? — a z drzewa wystrzeliły gałęzie sztuk wielu i wszystko rozkwita. Jest jakaś „fatalna siła" w tej głębi i źródła, które biją, a biją; i ludzie, którzy piją a piją.

Bo kultura (łódzka) jak matka, a my wszyscy bez niej — szczeniaki ślepe. Sięgnijmy zatem do korzeni, by zbadać istotę kolorów. — „Pewien mędrzec, otrzymawszy wiadomość, że mu się syn urodził, rzekł: „Miły to dar i dobrodziejstwo natury, lecz rozkazuję, by syn mój nigdy innego nie ssał mleka, tylko z piersi najdzikszego zwierzęcia".

Zapytano go: „Więc może wilczycy poszukać?" „Bynajmniej", odpowiedział. „To może lwicy?" „Nie!" „Tygrysicy?" „Niech Bóg broni!" „Smoka?" „Nigdy w świecie!" „Któreż więc zwierzę jest najdziksze?" Odrzekł: „To samo, które jest najłagodniejsze: kobieta". Alpowiem wszelka łagodność kobieca jest okrutniejsza nad wszelką srogość, sroższa nad wszelką okrutność". (Bajka o mędrcu. Wincenty Kadłubek). Jesteśmy skazani na „Naszą Okrutną", chociażbyśmy próbowali lwicy, tygrysicy i smoka, chociażbyśmy jeździli do teatrów i na wystawy do innych miast, chociażbyśmy nie czytywali książek autorów rodzimych, nie słuchali i nie oglądali audycji łódzkich. To i tak... Co i tak? Nie unikniemy. Bo kultura jak chmura wirusów, niewidoczna niby, a robi swoje. Drąży, przenika, opanowuje. Bez mała wszystkie przejawy życia nią przesiąknięte, jak naftaliną. Skręcasz radio, a u sąsiada... idziesz do drug.ego pokoju, a tam dzieci dyskutują książkę pisarza łódzkiego; z furią wybiegasz na ulicę, a przy ulicy kamienice (może między kamienicami ulice?), a w kamienicach sklepy, które mają wystawy, projektowane przez plastyków, odwracasz oczy, a na słupach i murach afisze; łakniesz przestrzeni, wpadasz na plac, a tam pomnik; szukasz schronienia, ostatkiem sił wpełzasz do przyjaciela(ółki), a tam telewizor: „Telewizja łódzka nadaje...", padasz pokonany na fotel i otrzymujesz krople wzmacniające w ozdobnej filiżance — masowa produkcja projektu plasty...

Nie ma schronienia! Są tacy, co noszą ciemne okulary i watę w uszach. (Najmodniejsze). Oni też jeżdżą tramwajami, taksówkami, robią zakupy, usiłują prenumerować gazety, czekają na dworcach i między dworcami, chodzą do lokali i na spacery — w ciemnych okularach i z watą w uszach. Ich też, potrącają, kopią, orzynają, oklinują, okradają, ograbiają i obijają (vidi — spacery), tylko, że oni ani nie słyszą, ani nie widzą przyczyn takiego stanu rzeczy. To etyka i kultura społeczeństwa, które, chcąc nie chcąc, podlega prawom rozwojowym w danym mieście, kraju itd. Delikatne anastomozy łączą naukę i sztukę z życiem miasta i jego obywateli; z życiem w pracy, w rozrywce, w handlu, komunikacji, na wczasach... z okrągłym życiem. Jesteśmy skazani na siebie: twórcy kultury z organizatorami kultury i odbiorcami; jesteśmy splątani, zrastamy się — byleby nie plecami. A, że „nie ma w człowieku doskonalszego nad niedoskonałość" (znów Kadłubek) musimy sobie tymczasem wybaczyć.

Przepraszam. Nie tak powa[illegible] chciałem, boć wiem, że czę[illegible] pod maską dostojnej powag[illegible] się zwyczajne (zwyczajne!) [illegible] stwo.

Chciałem świetlanie i no[illegible] nie — z życzeniami, marzen[illegible] nawet snami.

Więc śnił mi się rok [illegible] imię jego 66 było. — Wchod[illegible] „Estradę" naszego życia niezapr[illegible]szony, ale niezbędny jak Komisja Programowa czuwająca nad doborem tekstów muzycznych, literackich i oprawy plastycznej w upowszechnianiu sztuki w narodzie; więc wchodzi, teraz już zaproszony i z zapartym tchem podziwia: siedzą mędrcy z siwymi, czarnymi, a nawet bez bród i chórem skandują Kadłubka: „Miły to dar i dobrodziejstwo natury, lecz rozkazuję by syn mój (artysta — przyp. aut.) innego nie ssał..." — Źle! Od początku: „Miły to dar i dobrodziejstwo natury, lecz rozkazuję by syn mój innego nie ssał mleka..." tylko z piersi Naszej otwartej szeroko, ciepłej i wypełnionej sercem dla niego, boć przecie mamy go tylko jedynego syna w miłości Naszej, a chuligany, bandziory, opoje i czystej krwi cwaniacy nie zrobią nam kultury, u podstaw której byt leży zwyczajny „Tako" śpiewając mędrcy pochylają swe twarze bliżej czeladzi wszelakich sztuk pięknych i widzą, jak na spowiedzi, u tego, że piegary, u tamtego dzioby, a u „inszego" brodawkę okrutną z włosem pośrodku. Cóż — wzdychają — dzieci nasze, z „krwie" naszej własnej, ale wnuków ojcowie. Mają też miarę i wagę (własną), jako i artysta, co mieć ją musi, byle nie fałszowaną.

Trzy sny ponoć człowiek pamięta z nocy. Ten drugi mniej wyrzeźbiony klasycznym dłutem, lecz równie wyraźny, bo podbarwiony: młodziankowie, mężowie dojrzali i ci młodzi duchem w skupieniu czytają. Ślinią palce, a przewracają, przewracają, a ślinią palce, „w te i we wte" wertują, trud czoło im żłobi szlachetnym marsem. To kry[illegible] Łódzcy. Są, a jakże, nie przy[illegible]jając, jak w Wawelskim Gro[illegible] Kombinują (nie po swojemu) [illegible] pięknu i pożytkowi myśli swe wiodąc frasobliwi, lecz w środku (w sercu) radzi i życzliwi.

Poniektórym wąs dopiero sypnął się pod wargą, innym sztuczne zęby, lecz to nic — postulują odpowiedzialnie, z namysłem, drogi karczują i ścieżki prostują; w „Osnowie" pisują — pokrzykują (z zapałem). Eseje: o literaturze, o plasty[illegible]ce, o mieszance i w ogóle, ja[illegible] grzyby po deszczu i pod niebio[illegible] ale bez kłamstwa, swój kraj [illegible] ciągną głosami bez chrypki. [illegible] Łódź? Ależ jest i z pełn[illegible]sem, bo i „Odgłosy" m[illegible] krajowy. Malarze w [illegible] pisarze w uściskach [illegible] gim, czasem małżeń[illegible] rozmiłowane w te[illegible] zdrowe, podrastają, [illegible] klap, klap... wiersze, [illegible] ty, rodzice radzi, radzą [illegible] bą, co robić; jest wy[illegible] Łódzkie, ręce tam zacie[illegible] teksty nikt nie czeka, pełne [illegible] roboty, jak to w rodzinie — z[illegible] każdy z kimś krewny — nie [illegible] problemu, lecz błogie uszczęśliwie[illegible] nie. W pięknych klubach (oby takich więcej jak MPiK, nie muszą być także duże) w nowych dziel[illegible] nicach (np. na Rokiciu, Osiedlu Wł. Bytomskiej) odczyty, wieczory autorskie, wystawy; galeria i w operze tłok. Malarze czytają pisarzy, pisarze oglądają malarzy — gremialnie, dyskusje, pasja.

„Wsi spokojna, wsi wesoła" nikt nie woła, nikt nie woła, nikt nie wzywa natarczywie? „Ale gdzie ta", sen mi blednie, wieś zaklęta, wiem, bo byłem. Rozczytana, prawda szczera. Wiem, bo byłem, sen mi blednie, a rok nowy — imię jego 63 — stawia przed tzw. terenem nowe i doniosłe zadania. Powoli, ale konsekwentnie postępująca „decentralizacja kulturalna" wymaga solidnego i solidarnego wysiłku wszystkich czynników kulturotwórczych. Obyśmy tylko nie przespali. Wesołych Świąt i

Szczęśliwego sześćdziesiątego szóstego!

P. Żołnowa

Redaguje zespół: — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem: na „Odgłosy". Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17. Zam. 3382. XII.65. N-3

10840-A

WIMBP im. A.P.